

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

Odgłosy

NUMER 7 (1403) ROK XXVIII

16 LUTEGO 1985 ROKU

CENA 15 ZŁ

- Sposób na powodzenie reformy gospodarczej
- Pieniądze za Bońka leżą na boisku
- Szopka
- Śmierć przeszła obok
- Świadek dojrzałości

Wielka płyta trzyma się mocno

MAREK MAMOS

Uspolecznione budownictwo mieszkaniowe przekazało do użytku w ciągu trzech kwartałów bieżącego roku 3067 mieszkań, a więc o 5,7 proc. mniej niż przed rokiem. Zaawansowanie wykonania planu rocznego wyniosło na koniec września tylko 55,8 proc., czyli było gorsze niż w roku 1983. Pociągającym objawem jest fakt skrócenia cyklu budowy jednego budynku mieszkalnego z 15,2 miesiąca do 13,8 miesiąca obecnie.

(z komunikatu Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego w Łodzi)

„To jest ogromne nieporozumienie — mówi inżynier Ludwik Andrzejewski — pełnomocnik dyrektora „Inwestprojektu” do realizacji technologii „płyta-słup” — nieporozumienie polegające na tym, że ci sami ludzie, którzy doprowadzili nasze budownictwo do katastrofalnego stanu, do przemarzających ścian, w których niszczy się żelazna mineralna, do rabunkowej gospodarki cementem, energią, do fatalnego wykonawstwa, teraz mają budownictwo ratować. Czy pan sobie nie wyobraża? Gdyby gdziekolwiek na świecie, do jakiegokolwiek przedsiębiorstwa przyszedł konstruktor i powiedział, że ma technologię oszczędniejszą o 5 proc., co ja mówię, chociaż o jeden procent, to by go po rękach calowano, dostabymy pracownię, pieniądze, kreślarnię. A u nas, proszę pana, każdy chowa ręce za siebie, aby nie mieć kłopotów.

Jeszcze dokładamy do interesu. W ciągu ostatnich 3 lat straciliśmy przynajmniej pół miliona. Gdybyśmy robili tzw. składankę czyli projektowali typowe budynki z gotowych elementów, jak w innych pracowniach to spółdzielnia dawałaby po 200 proc. premii, a tymczasem jedziemy na pożyczkach. Wszystkie elementy trzeba na nowo rozrysować, każdy pręt stalowy musi być osobno zaprojektowany, policzony. Pracochłonność jest zatem kilka razy większa, a pieniądze znacznie mniejsze. Ludzie odchodzą. Każdy chce zarobić”.

Inżynier Ludwik Andrzejewski i prof. Kazimierz Godycki-Cwirko zaczęli pracę nad technologią płytowo-słupową prawie dziesięć lat temu. I od samego początku popełnili błąd, bowiem rzecz całą wzięli na rozum, a nie na układy. Zamiast szukać możliwych prototypów sędzieli, iż sama technologia lepsza przecież, oszczędniejsza, a jak twierdzą eksperci — ponad najlepsza ze znanych dotychczas w świecie — utoruje sobie drogę na placu budów. Na początku lat siedemdziesiątych było to jeszcze możliwe. A tak, na najwyższym szczeblu postanowiono, że marzenia tysięcy rodzin o własnym mieszkaniu spełni wielka płyta. Zaczęto budować fabryki domów.

Mamy ich teraz w kraju ponad 200. W najlepszym roku 1970 dały one około 300 tysięcy mieszkań. Nam zaś potrzeba 600 tysięcy rocznie tylko dla zaspokojenia najpilniejszych potrzeb, dla zlagodzenia głodu mieszkaniowego. Stąd prosty rachunek, że trzeba wybudować jeszcze 200 fabryk domów, a do tego ileś tam kopalni, hut, elektrowni. Jaki kraj to wytrzyma? Tymczasem liczba zawieranych małżeństw stale rośnie i jest coraz większa od liczby oddawanych mieszkań.

„Jestem realistą — mówi inż. Andrzejewski — fachowcem od budownictwa, który chce abyśmy budowali dobrze. Dobrze to na pewno nie w wielkiej płycie. Już teraz przy innych technologiach z tego samego materiału moglibyśmy wybudować o 30 procent mieszkań więcej. Co tu dużo mówić. Proszę pojechać do któregoś z krajów wysoko uprzemysłowionych i zobaczyć. Oni są bogaci, bo budują tanio. A jeśli budują tanio, to mają więcej mieszkań”.

Głównym grzechem wielkiej płyty jest ogromne zużycie drogiego betonu. Wszędzie na świecie beton stosuje się tam, gdzie wymagane są wielkie wytrzymałości, gdzie musi on przenosić duże obciążenia, a nie tak jak u nas na ścianki działowe. W wielkiej płycie możliwości betonu są wykorzystywane w 10-20 procentach. Jesteśmy w światowej czołówce producentów cementu — a okazuje się,

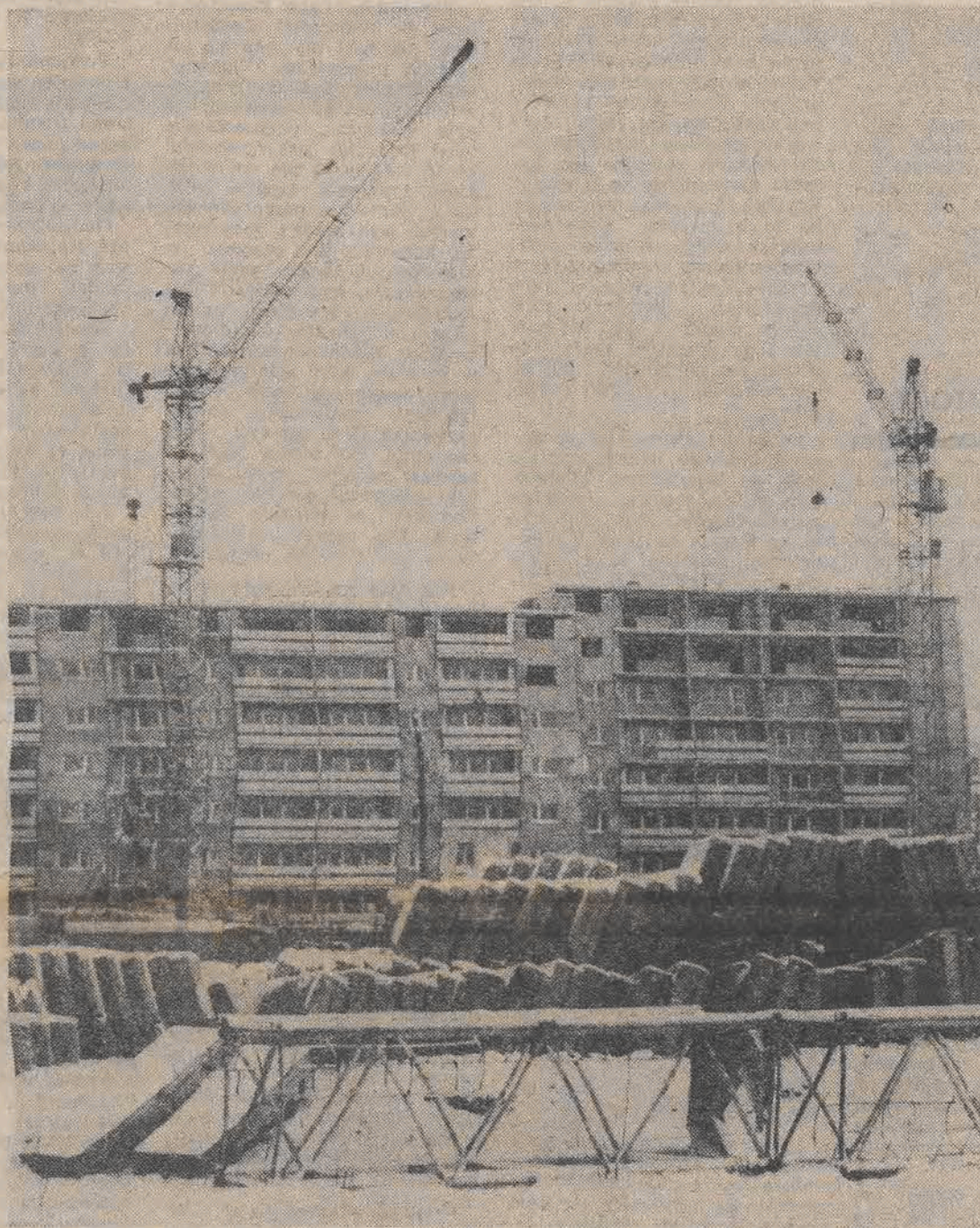


Foto: Grzegorz Galasiński

Wyrośliśmy z tradycji polskiej demokracji

Rozmowa z przewodniczącym Łódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego — STANISŁAWEM ŻALOBNYM

— Trwa kampania sprawozdawczo-wyborcza przed XIII Kongresem Stronnictwa, wkrótce wojewódzka konferencja — będzie Pan kandydował?

— Będę zobowiązany mnie do tego trzy trudne lata przepracowane w prezydium na funkcji przewodniczącego. Ale nie tylko. Bez minorderii mogę powiedzieć, że chcę kandydować, że liczę na wybór. Wziemy w ciekawych i trudnych czasach. Właśnie teraz warto być tam, gdzie coś się dzieje...

— Która to będzie kadencja? Bo zakładamy — życząc tego panu — że zostanie pan wybrany?

— Czwarta kadencja w składzie Prezydium LK, druga w funkcji przewodniczącego.

— Objął pan tę funkcję — o ile sobie dobrane przypominam — w stanie wojennym?

— Tak. Podjąłem się tej pracy w najtrudniejszym momencie. Stronnictwo przeżywało ciężki okres, ulegało najróżniejszym naciskom. Prezydium LK zostało zawieszono po uchwale w sprawie stanu wojennego. Była to uchwala nie tylko polityczna — nazwijmy to najogólniej — chybiona. Była niezgodna ze statutem, niezgodna z zasadą dyscypliny partyjnej i sprzeczna z naszą strategią polityczną — strategią koalicji z PZPR i ZSL. Nie byłem — niestety — na tym posiedzeniu. Chorowałem. Nie mogłem przeciwdziałać.

Zostałem przewodniczącym komisarycznym. Nie jest to łatwa sytuacja... Ale było, przeszło. Było chyba nie najgorzej, bo później zostałem demokratycznie wybrany, zdecydowaną większością głosów. Najbardziej przeciwna temu wyborowi była... moja żona. Rozumie pan, rzadko wtedy bywałem w domu. Kiedy komisja obliczała głosy, było koło jedenastej wieczorem, zatelefonowałem do niej. Życzyła mi sukcesu i trzymała kciuki! Jednak...

— Wróćmy jeszcze do tego trudnego okresu. Mówił pan o naciskach, jakim podlegało Stronnictwo. Może coś bliżej na ten temat?

— W burzliwych latach 80-81 Stronnictwo — nie tylko ono przecież — przeżyło okres polaryzacji postaw i poglądów. Ukazaliłowało się — nieliczne wprawdzie, ale głośnie — skrzydło „reformatorskie”. Kwestionowało usytuowanie SD na mapie politycznej kraju. Kwestionowało też fundamentalną zasadę naszej polityki — uczestnictwa w trójsojuszu PZPR, ZSL, SD. W najłagodniejszej formie przejawiało się to w poglądzie, że uczestnictwo w koalicji traktować należy jako doraźny, taktyczny i przejściowy tylko wspólny front, z którego należy się stopniowo wycofywać.

— Czy w tym okresie i później, już w stanie wojennym, mieliście duży ruch członków?

— Oczywiście. Ciekawe przy tym, że ogólny stan, ogólna liczebność organizacji łódzkiej nie zmieniła się. Zbilansowały się „straty i zyski”. Ostatnio notujemy wzrost — zaczęliśmy kadencję z trzema tysiącami członków, dziś jest ich trzy tysiące pięćdziesiąciu. A w wyniku przeprowadzenia weryfikacji skreślono aż 394 osoby. Z powodu zgonów straciliśmy stu trzydziestu kolegów. Przyszli jednak nowi na ich miejsce.

— Młodzi?

— Niestety, młodych przyszło niewiele. Starzenie się Stronnictwa jest faktem niepokojącym. Koło Młodych Demokratów, działające przy Łódzkim Komitecie liczy zaledwie 18 osób. Pozyskanie młodzieży dla naszych szeregów jest sprawą szczególnie mi bliską — sam byłem kiedyś członkiem takiego

Pawilon numer trzy

ROBERT GLUTH

Nigdy nie oszukuję czytelników. Kiedy umieram to umieram. Inna rzecz, że zawsze zdarżają się lekarze, którzy mnie z tej śmierci wydobydą. Tak więc uwiarygadniam całą tę historię — momentami optymistycznie, momentami koszmarną — własnym przeżyciem, cierpieniem i obserwacją.

Zeby nie było nieporozumień — główne części materiału dotyczą spraw i miejsca nie poruszanych na łamach żadnego pisma Łodzi. Będzie to rzecz o szpitalu psychiatrycznym zwanym potocznie „wariatowem”, rzecz wstydliva, dlatego że społeczeństwo nasze nie dorosło do uogólnień humanitarnych, bo jest nieco dzikie.

No, to tyle wstępu.

WIELKI LEKARZ OD DOLARÓW

Zachorowałem w sposób straszny. Lekarze określają to

jako uszkodzenie splotu barkowego. Zeby Czytelnikom wyobrazić to schorzenie, nazwijmy je paraliżem całej prawej ręki od barku aż po palce. Przejął się to kompletnym zanikiem mięśni, tak że zostaje skóra przyległa do kości, potworny ból nerwów, kompletny bezwład, niemożność wykonywania najmniejszego ruchu. Lekarze z komisji inwalidzkiej potrafią rąbnąć drewnianym młotem w dłoń, izy pokazują się w oczach z bólu, ale ręka nie drgnie. Przeróżające uczucie nieustannego bólu i niemożności reagowania nań. Lekarka która waliła tym młotem powiedziała „o, bardzo przepraszam”.

Cała ręka od barku do dłoni wyglądała jak szkielet własny. I to by było wszystko.

A potem wyblagano, aby się mną zajął wielki profesor od

rehabilitacji obdarzony wieloma tytułami naukowymi, sława ponad sławy, zajmujący oddział w szpitalu X. Czytelnicy wybaczą, że zarówno nazwę szpitala, jak i nazwisko pana profesora opatruję tutaj kryptonimami, bo nie stać mnie na procesowanie długie a kosztowne, tym bardziej że faceta nie chwyciłem za łapę.

Przebywałem u niego przez cały miesiąc. Napatrzylem się wiele. Specjaliści od rehabilitacji głównie flirtowali z fizjoterapeutkami na strychu, robili sobie zdjęcia, a chorzy pozostawali sami sobie.

Co jakiś czas przychodziła młoda słuźnotka i ludziom kompletnie niesprawnym aplikowała gimnastykę na zasadzie „rączka w górę, rączka na dół, rączka w bok, rączka na dół”.

5

4

3

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113
Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
i zastępca redaktora
naczelnego 36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70.
Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Tomasz Sas.
Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorosiński,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman
Kubiak, Jerzy Kwieciński,
Bogda Madej,
Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują:
Tadeusz Błaziejewski,
Edward Bryl, Krzysztof
Drzewiecki, Grzegorz
Gazda, Bohdan Gadomski,
Witold Kasperkiewicz,
J. Stanisław Krupiński,
Włodzimierz Krzemieński,
Edmund Lewandowski,
Marek Mamos,
Zenon J. Michalski,
Krystyna Namysłowska,
Jerzy Panaszewicz, Ewa
Pankiewicz, Karol
J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch” 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Redakcja nie zwraca nie zamówionych rekwizytów i zastrzega sobie prawo do skrótów.
Warunki prenumerat: 1 dla instytucji i zakładów pracy: zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajduje się siedziba Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucji i zakładach pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2 dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 3 dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratę Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch” 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki ma RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddziału w Warszawie nr 1153 201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy Terminy przysyłania prenumerat: na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półroczny rok następnego oraz cały rok następnego — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.
Zam. 376, P-2

Ogłosy

2 ODGŁOSY

Przegląd prasy

Ludzie lubią różne zjawiska dzielić, łączyć, grupować, systematyzować. Na ogół utrzymuje się na przykład, że muzyka dzieli się na dobrą i złą, ale powszechnie jednak mówi się o muzyce poważnej, lekkiej, rozrywkowej, tanecznej, współczesnej, barokowej. To samo jest z literaturą. Na ogół też uważa się, że literatura dzieli się na dobrą i złą, ale przecież mamy literaturę klasyczną, współczesną, kryminalną, sensacyjną, rozrywkową, wagonową oraz literaturę science fiction. Podział na dobrą i złą może nastąpić wewnątrz każdego z tych gatunków. I wszystko byłoby dobrze, gdyby wszystkie te gatunki funkcjonowały zgodnie koło siebie — powiedzmy — na zasadach partnerstwa. Ale tak przecież nie jest. Każdy gatunek uważa się za lepszy od innych. Tak przynajmniej uważają zwolennicy tego gatunku literatury.

W „SZTANDARZE MŁODYCH” (z 8-10 lutego 1983 roku) Jerzy Pasternak pyta autora powieści science fiction

CZY ISTNIEJE LITERACKIE GETTO SF?

— „Mówiąc o getcie science fiction — odpowiada Janusz Andrzej Zajdel — nikt nie precyzuje, o jakie tu getto chodzi. Czy aby nie są to wórcy i miłośnicy tej literatury, którzy się sami grupują, a tylko inni nie wchodzi na ich teren? (...) W tym sensie getto science fiction istnieje. Przy czym nie wiem, dlaczego nie mówić o getcie poetyckim, które też „wytwarza” ludzi niszczących, a nikt ich prawie nie czyta. Znam takich poetów, których tomiki wydawane są w nakładach 500 czy 1000 egzemplarzy. Przy czym istnieje wyspecjalizowana krytyka i właściciel ci poeci pisze jedynie dla niej i dla siebie. Jest to malutka enklawa w literaturze, ale nikt nie mówi, że istnieje ona poza głównym nurtem. Podczas gdy getto utwory science fiction drukowane są w nakładach 50 000 lub 100 000 egzemplarzy i czytelnik je rozchwytuje. Jeżeli jest jedno z kryteriów, oczywiście nie główne, oceny jakości i potrzeby danej literatury przyjmujemy społeczne zainteresowanie, to science fiction stanowi bardzo duże getto”.

Przytoczyłem ten dłuższy cytat, bo ukazuje on zarówno głęboką kompleksję, jak i nieporozumienia. Wiele mówimy o tolerancji. Czy w kryteriach ocen literackich gatunków nie powinna też obowiązywać tolerancja? Starożytni Rzymianie przestrzegali, aby nie dyskutować o gustach. I mieli rację, ale stale wracamy do bezprzedmiotowych dyskusji o gustach. Starożytni Chińczycy woli, żeby kwitło sto kwiatów, próbowali to wcielić w życie Chińczycy współcześni, ale skończyło się to tragedią „rewolucji kulturalnej”. Czy rzeczywiście nie mogą współistnieć obok siebie różne ga-

tunki literatury na tych samych prawach, a jedynie wewnątrz gatunków musi obowiązywać kryterium dobrej i złej jakości?

Okazuje się, że nie bardzo. Janusz Andrzej Zajdel wspomina, że Stanisław Lem „zawsze zwracał wszystkim uwagę, że pierwszą powieścią, którą napisał, była niefantastyczna trylogia „Czas nieutrącony”. Dziś na ogół wiedzą o tym historycy literatury. Stanisław Lem zasłynął jako pisarz science fiction i w tym gatunku zdobył mistrzostwo. Stał się klasykiem. Ale okazuje się, że „ma kompleks literatury będącej poza granicami science fiction”. Zapewnie niezastudzenie i niepotrzebnie.

Ktoś jednak ponosi winę za to, że jedne gatunki są preferowane, a inne poniżane. A przecież mistrz w jednym gatunku może być patałachem w innym. Powieści kryminalne pisuje się u nas dla zarobku, i między innymi dlatego są one takie złe, ale pisuje się je pod pseudonimami. Bo to dyshonor pisać kryminalki. Gdyby te knoty, podpisywane były prawdziwymi nazwiskami autorów, to i musieliby się rzeczy dbać o ich poziom. A tak? Wiadomo, że czytelnik kupi, bo nic lepszego nie znajdzie w księgarni. Krytyka tym się nie zajmie, bo to byłby dla poważnego krytyka wielki dyshonor pisać o kryminalach czy science fiction. Kwitną więc w tych dziedzinach literatury różne, kakole, chabry i osty. Może to jest i sto kwiatów, może i to składa się na piękny bukiet, ale potrzeba tu też reki ogrodnika.

O każdej twórczości powinna decydować jakość, wartość tego, co się tworzy. Tymczasem ludzie szukają różnych przymiotników, aby podparć to, co starają się robić z wewnętrznej potrzeby. Stąd wzięła się „TYGODNIU KULTURALNYM” (nr 4 z 27 stycznia 1985 roku) polemika Władysława Biszewskiego (stały korespondent „Ogłosów”) z Rochem Sulimą i Janiną Koźbiel pod wielo znaczącym tytułem

KTO SIĘ BOI TWÓRCZOŚCI ROBOTNIKÓW?

Pytanie to jest również widomym znakiem kompleksu. Cała zresztą polemika Władysława Biszewskiego oparta jest na wewnętrznej sprzeczności. Zarzuca ona swoim oponentom, że rzekomo boją się twórczości robotników piszących, bo mają o tej twórczości zdanie krytyczne, ale zaraz pisze zupełnie szlachetnie.

„Nie ma również żadnych ideologicznych oddziaływań robotniczej i chłopskiej, która usiłuje się wzmocnić. Istnieje wyłącznie jedna kultura — ogólnopolska, w której nie powinno zabraknąć miejsca dla twórczości robotników i chłopskiej. Czy faktycznie jest w tym coś złego? Chyba nie.”

Prawdziwa twórczość nie powstaje na zasadzie zdalnego sterowania, inspirowania, a głównie z wewnętrznej potrzeby przelania swych myśli na papier, celem przekazania ich innym. Amatorzy, jeśli parają się piórem, to nie dla sławy, rozgłosu, stawiania na piedestale, uzyskania honorarium, lecz zgoła z innych pobudek i przyczyn.”

Roch Sulima odpowiada na zarzut leku przed twórczością robotników w następujący sposób:

„W strukturze dwudziestowiecznej każda „samorodność” jest anachroniczna i marginalna. Takie są przymusy współczesnego życia kulturalnego, życia literackiego przede wszystkim. Z „osobnościami” i „samorodnościami”, która może być tylko świadomym lub nieświadomym unikiem wobec centralnych problemów epoki, nie znaczącego wynikać nie może. Dziś „piśmiennictwo robotnicze” mogłoby zaistnieć tylko w ten sposób, że zdolne by było podjąć te problemy i te pytania, które są pytaniami nieobojętymi dla warszkiejskiej wizji świata i wizji człowieka, które moglibyśmy wspólnie uznać za idee kierownicze ludzkości, narzucone nam jako prawdy artystyczne, jako prawdy sztuki.”

Nie sądzę, aby ktokolwiek lekkał się twórczością robotników, jak nikt nie lekka się piszących męczosów, lekarzy, stomatologów itd. Zresztą żaden redaktor, ani wydawca nie pyta autora przynoszącego tekst kim pan jest z zawodu, bo to dla tekstu nie ma większego znaczenia. Ocenia jedynie wartość przyniesionego tekstu, jego walory artystyczne, konstrukcyjne, zawarte w nim idee. A to, czy autor jest naukowcem, hydraulikiem, kamieniarzem, lekarzem, urzędnikiem w zasadzie nie powinno mieć żadnej wartości. Pisze w zasadzie, gdyż niektórzy autorzy podpierają swoje teksty tytułami naukowymi, co dla czytelnika jest przecież bez znaczenia. On ocenia tekst i zawarte w nim myśli, a nie cały poprzedni dorobek autora wyrażony w tytułach naukowych. Dla danego tekstu może to być zupełnie obojętne.

Podobnie ma się sprawa z piszącymi robotnikami. Doskonale rozumiem, że różni ludzie mogą i powinni zwracać się w różne stowarzyszenia. RSTK i STL — w moim rozumieniu — potrzebne są jako miejsca spotkań i wymiany doświadczeń warsztatowych, jak niegdyś pomocne różnym autorom były koła młodych przy ZPCh, a teraz są różne kluby piszących. Dokonuje się tu niezbędnej wymiany myśli, doświadczeń, ocenia się próby literackie, formułuje nawet programy literackie. Ale z przynależności do takiego klubu, koła, stowarzyszenia nie powinno wynikać, że danej twórczości nie powinno być ocenianej. Człowiek piszący powinien bowiem być oceniany wedle tego co pisze, a nie wedle tego do jakiego stowarzyszenia czy klubu należy. Ten klub, koło czy stowarzyszenie może i powinno mu tylko pomóc w tym, aby pisał lepiej, piękniej i mądrzej. I to wszystko!

Przeistniał więc bać, że ktoś się boi i to tylko z powodu jakiegoś przymiotnika. Nie wyróżmy nowych mitów. Nie ma tu się czego bać. Trzeba się raczej cieszyć, że potrafimy wyzwać w ludziach różnych zawodów chęć do pisania, do tworzenia. To naprawdę jest pięknie! Niech piszą tramwajarze, chłopcy, ślusarze, szewcy, urzędnicy i kto czuje tego potrzebę! Byłoby pięknie, mądrze i dobrze!

LUCJAN BOGUSZ

Ideologia, polityka ekonomika a... życie

Raz jeszcze potwierdziła się prawda, że najtrudniej rozmawia się o rzeczach z pozoru oczywistych, znanych, iż rzetelne dyskusje na tematy ideologiczne nie należą ani do łatwych, ani prostych. Mogłem się o tym przekonać przysłuchując się do konferencji ideologicznej, zorganizowanej w dniu 1 lutego br. przez Komitet Dzielnicowy PZPR Łódź—Śródmieście. Obrady toczyły się pod hasłem: „Spójność ideologii, polityki i ekonomiki”.

Gośćmi śródmiejskiego aktywu byli: Henryk Bednarski, sekretarz KC PZPR oraz Andrzej Hampel, sekretarz KL PZPR. Wprowadzenie do dyskusji stanowią dwa referaty. Pierwszy, zatytułowany: „Jedność ideologii, polityki i ekonomiki. Istota, związki i dylematy”, wygłosił doc. dr hab. Alfred Lutrzykowski z Międzyuczelnianego Instytutu Nauk Politycznych UL. Drugi był materiałem Egzekutywy KD: „Sprawowanie przez partię jej funkcji przewodniej na podstawie doświadczeń dzielnicy Łódź—Śródmieście”. Wygłosił go tow. Stanisław Zaręba, I sekretarz KD PZPR.

Przypomnijmy kilka podstawowych tez, określających związki i zależności zachodzące pomiędzy ideologią, polityką a ekonomiką. Po pierwsze — wszystkie te kategorie stanowią wyraz pełnej treści terminu „panowanie klasowe”. Panowanie bowiem to uczestnictwo w sprawowaniu władzy politycznej, wpływ na to, co określamy stosunkami własności i sposobu produkcji; ponadto — ideologia klas panującej musi być akceptowana przez resztę społeczeństwa.

Oddziaływanie władzy politycznej na rozwój ekonomiki może być trójakiego rodzaju. Otóż, decyzje polityczne mogą przyspieszać lub spryjać rozwojowi ekonomicznemu, ale także przeciwdziałać, hamować, spowolniać ten proces lub wręcz, w przypadkach skrajnych — zagradzać drogi dalszego rozwoju.

Ekonomika i polityka to jakby dwa pozornie niezależne od siebie procesy, w rzeczywistości silnie i wielostronnie warunkujące się. Ekonomika w ostatecznym rachunku determinuje decyzje polityczne, określa ich szanse, realność i trafność. O polityce zaś mówimy, że „jest skoncentrowanym wyrazem ekonomiki”, jej uogólnieniem. W nadbudowie społecznej, a więc tam, gdzie usytuowane są instytucje polityczne i gdzie biorą swoje źródła decyzje polityczne, tam też potwierdza się w ostatecznym rachunku panowanie polityczne.

Jak uczy teoria, a także życie, doświadczenie i polityka nie może posiadać bezwzględnej primatu nad ekonomiką. Nie może być w żadnym razie uprawiana woluntarystycznie, w oderwaniu od realiów ekonomicznych, możliwości gospodarczych i aspiracji społecznych. Nauczylimy się tego nie tylko z podręczników, ale i tych kilku „zwrotów” i „zakrętów”. Zawsze bowiem życie potwierdza, iż nieskuteczna, błędna i kosztowna (w sensie społecznym) jest polityka uprawiana w oderwaniu od realiów. Dotyczy to zarówno doświadczeń końca lat sześćdziesiątych, kiedy to jakby próbowano opóźnić, spowolnić rozwój; hamować dojrzale i uzasadnione potrzeby społeczne. Kryzys sierpniowy ujawnił zaś ile kosztuje woluntaryzm w polityce, jaką cenę i jak długo trzeba płacić za decyzje polityczne nie liczące się z realiami ekonomicznymi, z możliwościami gospodarczymi kraju na danym etapie.

Czy można powiedzieć, że dzisiaj zawsze i wszędzie pamiętamy o tych, jakby się zdawało oczywistych prawdach? Czy nie obserwujemy swoistych napięć, sprzeczności (pozornych, rzeczywistych) na linii: polityka — ekonomika, ideologia — polityka, teoria a praktyka? W jakich pozostają zależnościach te dwie wielkie kategorie społeczne w warunkach wychodzenia z kryzysu? Oto pytania, które moim zdaniem mogły być niecia przewodnią dyskusji, jeśli ta miała udzielić odpowiedzi na problemy postawione przez organizatorów.

Dlatego więc dyskusji wokół tych zagadnień, istotnych tak dla teorii, jak i praktyki było tak mało? Czy tylko dlatego, że... najtrudniej rozmawia się o ideologii?

Materiał przygotowany przez Egzekutywę KD koncentrował się głównie na problematyce sprawowania w praktyce, w okresie podwórka dzielnicy roli przewodniej i kierowniczej przez PZPR. Przypomniano przy tym, iż niezmienne pomocnym w tego typu rozważaniach jest określenie zawarte w Tezach Biura Politycznego na XVII Plenum KC:

„Sua kierowniczą i przewodnią rolę pojmujemy (...) jako powinność wnikliwego rozpoznawania najistotniejszych problemów społecznych i nadawania postulowanym rozwiązaniom dojrzałego kształtu, odpowiadającego interesom ludzi pracy”.

Stąd Egzekutywa proponowała poszukiwanie w trakcie dyskusji odpowiedzi na pytania: Jaki praktyczny model działania PZPR zapewni skuteczność wypełniania przewodniej roli organizacji partyjnych w dzielnicy? Jaka winna być optymalna struktura takiego modelu? Jak osadzić ją w społecznej świadomości? itd...

I znów dyskusja, jej główny nurt, przeszedł jakby obok postulowanych do rozstrzygnięcia zagadnień. Dlaczego?

Zastanawiam się — z czego wynika fakt, iż tak często spotykamy się znowu ze zjawiskiem, że określenie gremia, w tym także partyjne dyskusyjnego o wszystkim, także ważnym, ale to przecież to nieświadomie unikając rozmowy o tym, co gremia te w danym czasie i miejscu zgromadziły? Sądzę jednak, że jest to temat na osobną publikację.

W przeddzień zebrania w UME odbyła się dekoracja łódzkich pisarzy Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski otrzymał Leon Gomułka. Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski — Tadeusz Chróścielewski, a Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski — Eugeniusz Iwanicki.

Złoty Krzyż Zasługi otrzymał: Mirosława Wadowska i Józef Antek; a Srebrny — Tadeusz Błaziejewski i Dorota Chróścielewska Kuźniak.

Medale Czterdziestolecia otrzymał: Wacław Billski, Henryk Hartenberg, Eugeniusz Iwanicki, Wiesław Jażdżyński, Józef Kononowicz, Tadeusz Papier, Edward Suster, Jerzy Wawrzak i Jerzy Wilmański.

Wszystkim odznaczonym składamy serdeczne gratulacje!

L. BOGUSZ

ZLP — połowa kadencji

W piątek, 8 lutego 1985 roku, odbyło się zebranie sprawozdawcze Zarządu Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Obradom przewodniczył wiceprezes Zarządu — Jerzy Wawrzak. Sprawozdanie z prac Zarządu złożył przez — Władysław Orłowski. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej — Henryk Hartenberg. O pracy Komisji Kultury PRON zebranych poinformował Wiesław Jażdżyński. Wśród zaproszonych gości byli między innymi wiceprezydent Łodzi Jan

Nosko i dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UME — Ryszard Czubaczynski. Łódzki Oddział ZLP skupia w swoich szeregach większość pisarzy zamieszkujących i pracujących w Łodzi. Część z nich pozostaje jednak poza ZLP. Do Związku przyjęto natomiast wielu pisarzy nowych, którzy swoim dorobkiem twórczym spełnili stawiane wymagania. Mimo nam doniesie, że wśród ostatnio przyjętych do ZLP jest nasz kolega redakcyjny Karol Józef Stryjski. Składający sprawozdanie Zarząd

Łódzkiego Oddziału ZLP działał w niełatwym okresie. Trzeba było przezwyciężyć nie tylko różne uprzedzenia, ale i trudności, z jakimi borykali się pisarze. Z pomocą przyszły władze miasta. Udało się zaspokoić najpilniejsze potrzeby, w tym mieszkaniowe. Nie widać dziwnego, że w dyskusji na zebraniu Łódzkiego Oddziału ZLP dominowały sprawy bytowe. Szeregi Związku uzupełniały wprawdzie pisarze młodzi wiekiem, ale wielu pisarzy jest schorowanych, potrzebujących szczególnej pomocy, aby mogli wypełniać swój społeczny i twórczy zawód. Mówiono więc o konieczności udzielania stypendiów, tak socjalnych, jak i twórczych.

Pisarzom niezbędny jest kontakt ze światem. Nie wszyscy mają jednak jednakowe możliwości wyjeżdżania za granicę. Na 9 wniosków złożonych w ZG ZLP pozytywnie załatwiony został tylko jeden. Pozostali nawet nie wyjaśniono, jakie były powody odmowy. W tej sytuacji istnieje potrzeba, aby władze miasta, organizując wyjazdy do miast zaprzyjaźnionych z Łodzią, włączaly pisarzy w skład delegacji. Przewidywane stosunek UME do środowiska pisarzy — co wie-

lokrotnie podkreślano — pozwala mieć nadzieję, że sprawa ta będzie pozytywnie załatwiona.

Uprawianie zawodu pisarza — powiedział I sekretarz POP przy Zarządzie ŁO ZLP — Mirosław Kuźniak — staje się coraz trudniejsze. Autorzy przez wiele lat czekają niekiedy na wydanie książki. Bywa i tak, że autor ma kilka książek złożonych w wydawnictwach, przyletych do druku, a nie ma z czego żyć. Mówiono również i o tym, że niektórzy wydawnictwa nie chcą podpisywać umów, a jedynie dają zapewnienie na piśmie, że podpiszą umowę w dogodnej chwili. Ta dogodna chwila powstaje wtedy, kiedy okresowo kończą się knoody z panterem lub w którejś z drukarni powstają nieoczekiwane luzy. Pogarszająca się sytuacja w zaopatrzeniu drukarni w papier czyni sytuację pisarza jeszcze trudniejszą. Na ten temat jednak najmniejszej dyskusowano.

Zebrani zaakcentowali wniosek Jana Czarnego, aby Zarząd ŁO ZLP dokooptował do swego składu trzech nowych członków. Potrzeba taka wynika z rosnących zadań i potrzeb.

11. DETERMINACJA

30 stycznia 1905 roku gubernator piotrkowski, stale w te dni rezydujący w Grand Hotelu w Łodzi, podpisał odezwę do robotników wzywając ich do powrotu do pracy. 31 stycznia odezwa została rozplakatowana. Nie wywołała spodziewanego wrażenia. Odezwa była zrywana i zdrapywana. Policja zatrzymała Jana Joachimiaka. Dużym kuchennym nożem zdrapywał odezwę gubernatora piotrkowskiego. A nie był jedynym, który tak czynił.

Partie polityczne wezwały do walki. Łódzki Komitet PPS w wydanej odezwie zwracał się do robotników:

„Do ataku, towarzysze! Do strajku powszechnego! Ani jedna fabryka, ani jeden zakład przemysłowy nie powinien pracować. Niech z woli uświadomionych robotników zamrze całe życie przemysłowe.”

Najlepiej robotniczą determinację wyraził w odezwie Łódzki Socjaldemokratyczny Komitet „Bundu”:

„Czy padniemy w walce i przeżyjemy naszym dzieciom w testamentie zemstę nad samowładztwem, czy samowładztwo runie pod szturmem naszych sił rewolucyjnych — tak czy inaczej cofnąć się nie możemy i musimy iść naprzód.”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Pierwsze starcia

Sytuacja była tak napięta, że musiało dojść do starcia. Władze carskie dysponując wzmocnionym garnizonem wojskowym i policją czuły się pewne swej sily. Poczynano więc sobie coraz brutalniej. Robotnicy mieli świadomość, że musi dojść do starcia z wojskiem i policją, że burzuzacja dobrowolnie nie ustąpi. Nie bał się tego starcia. 30 stycznia 1905 roku doszło do starcia z wojskiem na ul. Ogrodowej, gdzie padł jeden ranny. 30 stycznia policmajster łódzki Rarion Chrzanowski nawoływał żołnierzy i policjantów do bicia uczniów, którzy spokojnie spacerowali przed Grand Hotelu. 30 stycznia podczas ataku robotników na gazownie obrzucono kozaków i żołnierzy kamieniami i oddano kilka strzałów. Raniono jednego z rewirowych.

30 stycznia 1905 roku gubernator piotrkowski Michał Arcimowicz zwrócił się listem do arcybiskupa warszawskiego Wincentego Chościaka-Popiela z prośbą o uspokajanie ludzi. Na swoje pismo otrzymał odpowiedź 1 lutego.

„Na skutek pisma Waszej Ekscelencji z dn. 30 stycznia nr 1945 — pisał arcybiskup warszawski — mam zaszczyt zakomunikować, iż poleciłem duchowieństwu dekanatów wchodzących w skład powierzonych Panu guberni, by wpływały na lud w duchu unikania wszelkich wszelkiego rodzaju publicznych zamieszek, w związku z czym przelałem odpowiedni tekst odezwę do wiernych...”

Korzystając z okazji proszę Waszą Ekscelencję przyjąć wyrazy prawdziwego poważania i szczerzej zyczliwości”.

Jednakże wszelkie próby uspokojenia robotników nie mogły dać pozytywnych rezultatów. 1 lutego Michał Arcimowicz wielce zdenerwowany dyktował tekst depezy do general-gubernatora warszawskiego M. Czertkowa.

„Sytuacja pogarsza się nadzwyczajnie, tłum awanturuje się, gasi latarnie. Kilka tysięcy ludzi usiłowało wywołać awanturę w pewnej fabryce. Po odmowie zejścia się i zadaniu ciężkiej rany jednemu kozakowi do tłumy dano kilka salw. Stwierdzono na razie 23 rannych, z których dwóch zmarło...”

W dniu jutrzejszym i następnym oczekuje się wzrostu zamieszek...”.

1 lutego 1905 roku nie był dla Michała Arcimowicza dniem spokojnym. Nie był to też dzień spokojny dla Łodzi. Ciągłe do Grand Hotelu napływały meldunki. Gubernator poczuł się więc w obowiązku przesłać do Warszawy następującą wiadomość:

„Donoszę dodatkowo, dla przeszkodzenia ruchom wojsk tłum budował dziś na ulicach zaskieki z drutu. Do magazynu monopolu wódecznego rzucono bombę, która wybiła 150 szyb”.

12. NA WIDZEWIE

1 lutego była w Łodzi wypiata. Płacono też w fabryce Heinzla i Kunitzera na Widzewie. Płacono za miniony tydzień, a w tym za trzy dni strajku. Będą z tego powodu jeszcze mieli fabrykanci wielkie kłopoty, ale nie uprzedzamy wypadków. U Heinzla i Kunitzera wypłata rozpoczęła się 13.00. Przyszło po pieniądze 3.600 osób. Spory to tłum. Ludzie wzięli pieniądze, ale nie poszli do domu. Gromadzili się na Szoście Rokicińskiej (Armii Czerwonej). Stali, gadali, czeka-

li. Zaniepokoiło to fabrycznych urzędników i policjantów będących w fabryce. Do robotników fabryki Heinzla i Kunitzera przyłączyli się robotnicy z innych fabryk. Tłum rósł. Wezwano na pomoc rotę 39 Tomskiego Pułku Piechoty. Dowodził nią kapitan Jasiński.

Kiedy żołnierze szli do fabryki, robotnicy wołali:

— Dać drogę, nie ruszać żołnierzy, nie mamy nic przeciw nim!

Żołnierze spokojnie weszli do fabryki. Z tłumem nadal padły okrzyki. Ale tym razem wołano:

— Dwadzieścia kopiejek za jedną godzinę, ośm godzin na dzień!

Wojsko robotników nie przestraszyło. Okrzyki ludzi jednak podnieśli. Zaczęto domagać się wydania ogólnie znienawidzonego dyrektora tkalni, Jeziorkowskiego. Była to już godzina 16.30.

Dyrektor Jeziorkowski wiedział, że ludzie go nienawidzą. Gdy zobaczył robotników gromadzących się na Szoście Rokicińskiej doszedł szybko do wniosku, że będzie lepiej, gdy zniknie z fabryki. Tylnym wyjściem, bocznymi drogami uciekł z Widzewa do Łodzi. Robotnicy zgromadzeni pod fabryką nadal domagali się wydania im dyrektora Jeziorkowskiego.

Administracja fabryczna czuła się pewna pod osłoną wojska. Jeziorkowski dawno już nie było w fabryce. Ale nikt, tego robotnikom nie powiedział. Zresztą, czy by uwierzyli? Wreszcie grupa robotnicza nie wytrzymała rosnącego napięcia i siła wdarła się do kantoru. Szukały Jeziorkowskiego. Nadjechała półsotnia kozaków. Z tłumem oddano do niej kilka strzałów. Jeden z kozaków został ranny. Wtedy wezwano wojsko do pomocy.

Kapitan Jasiński kazał dać salwę ostrzegawczą. Tłum rozbiegł się i podzielił na dwie części. Jedną znajdowała się na Szoście Rokicińskiej od strony Andrzejowa, drugą od strony Łodzi. Kapitan Jasiński ustawił swoją rotę frontem w obie strony. Robotnicy nie przeleki się wojska. Tłumnie ruszyli na żołnierzy. Padły strzały. Na Szoście Rokicińskiej tego dnia było 4 zabitych (2 zmarło z ran) i 24 rannych.

Ale nie byli to jedyni ranni i zabici w Łodzi. Do starcia doszło bowiem na ulicy Piotrkowskiej koło fabryki Ludwika Geyera, gdzie

było 2 zabitych i 5 rannych. Demonstrowano na Górnym Rynku (Plac Władysława Reymonta) i Wodnym Rynku (Plac Zwycięstwa). Znowu było 2 zabitych i 5 rannych.

Strzelano nie tylko do demonstrantów. Tego dnia niebezpiecznie było chodzić po ulicach. Żołnierze — jak pisano w „Z pola walki” — „tu i ówdzie wyłapywali jakiegoś przechodnia i bili go, kilku przekuli bagnietami”.

13. PŁACIĆ ZA STRAJK

2 lutego 1905 roku ruszyły w Łodzi tramwaje. 3 lutego ukazał się „Goniec Łódzki” i „Neue Lodzer Zeitung”. Walka się jednak nie skończyła. Miał jej punkt kulminacyjny. Zmienił się jej charakter. Komitet Łódzki SDKPiL postanowił zakończyć walkę polityczną, a nadal prowadzić walkę ekonomiczną.

6 lutego doszło do ponownego starcia przed fabryką Ludwika Geyera na ulicy Piotrkowskiej. Zginął jeden robotnik, trzech odniosło rany.

7 lutego 1905 roku w 38 małych fabrykach przystąpiło do pracy 2.290 robotników.

10 lutego odbyła się słynna narada fabrykantów w Grand Hotelu, na której postanowiono skrócić czas pracy i podnieść płace. 20 lutego wycofano się z tych postanowień. Co się w tym czasie zmieniło?

1 lutego płacono za ostatni tydzień stycznia, w tym zapłacono za trzy dni strajku. Następna wypłata wypadła 8 lutego i należało zapłacić za pełne sześć dni strajku. Fabrykanci odmówili. Robotnicy postanowili zapłatę tę wymusić siłą. 9 lutego czterech nieznanymi inteligencji wpadli wraz z robotnikami do kantoru fabryki Karola Steinerta i pod groźbą rewolwerów wymusili obietnicę zapłaty za sześć dni strajku.

Do starcia z policją i wojskiem tego dnia doszło w Pabianicach, gdzie czterotysięczny tłum robotników obrzucił patrol kozacki kamieniami. Jeden robotnik został zabity, dwóch odniosło rany.

10 lutego 1905 roku gubernator piotrkowski M. Arcimowicz depešował do Warszawy:

„Wobec tego, że strajkujący robotnicy uporczywie wysuwają żądania zapłaty za wszystkie opuszczone dni, popierając to żądanie groźbami i gwałtami, wskutek czego niektórzy fabrykanci zmuszeni są dać uratowania życia zadośćuczynić temu żądaniu, proszę o szybkie wydanie obowiązującego postanowienia zabraniającego fabrykantom spełniać to żądanie oraz zobowiązującego ich do zamknięcia fabryk, w razie gdyby robotnicy nie stawili się w poniedziałek, 13 lutego, inaczej strajk przelece się na czas nieokreślony, wiele fabryk zrujnuje się, tłum zaś przywyknie do terroryzowania. Już i obecnie wszyscy fabrykanci są ogromnie nastrojeni przez tłum i gotowi spełnić każde jego żądanie.”

M. Arcimowicz zabronił płacić za strajk w fabryce Ludwika Geyera, gdzie przygotowywano się do takiej wypłaty. Jeszcze tego samego dnia telegrafował do Warszawy:

„Sytuacja w Łodzi staje się coraz bardziej niepokojąca. Gromady strajkujących chodzą po fabrykach żądając pod groźbą gwałtu zapłaty za wszystkie opuszczone samowolnie dni. Zachowując się niesłychanie wyzywająco, nie tylko odmawiają zejścia się pomimo żądań patroli wojskowych ostrzegających, że będą strzelać, ale nawet strzelają do wojska i policji z tłumem i z domów. By rozproszyć tłum, trzeba było dziś w kilku punktach dać ognia; liczba zabitych i rannych jeszcze nie ustalona...”

Z Warszawy nadeszła jednak wymijająca odpowiedź. General-gubernator M. Czertkow nie chciał się oficjalnie mieszać w spór między robotnikami a fabrykantami. Przynajmniej nie w tym momencie. Pisał w depešy:

„Aprobuję w zasadzie propozycję Pana co do niepracujących dni uważam za niewłaściwe nadanie im formy obowiązującego postanowienia. Uznaję za odpowiedniejsze nakłonienie do takiego rozstrzygnięcia kwestii fabrykantów drogą osobistych Pańskich pertraktacji. Ogłosze-

nie z groźbą zamknięcia fabryk uważam za niepożądaną”.

Ludzie byli zmęczeni już walką. Upór fabrykantów pogorszył sytuację robotniczych rodzin. Zdarzyły się wypadki zasilnięcia na ulicy z głodu. Strajk musiał więc powoli wygasnąć.

12 lutego 1905 roku przystąpiło do pracy 27 tysięcy robotników.

13 lutego pracowało 170 fabryk, które zatrudniały 22 tysiące osób.

17 lutego w Łodzi i okolicy pracowało 370 fabryk z 35 tysiącami zatrudnionych.

20 lutego na naradzie w Grand Hotelu fabrykanci odwołali ustalenia z 10 lutego.

22 lutego rozpoczęto przyjmowanie do pracy na zasadach ustalonych 20 lutego.

23 lutego zakończył się strajk powszechny w Łodzi. Prace podjęły 422 fabryki, w których pracowało 43 tysiące robotników.

Tak zakończył się pierwszy etap walki.

14. RUSZYLI RZEMIEŚNICY

Zakończenie strajku powszechnego nie oznaczało wcale zakończenia strajków w ogóle. Bo w tym samym dniu 23 lutego rozpoczął się strajk kolejarzy Królestwa Polskiego. Stacje Droga Żelazna Fabryczno-Łódzka. Żądano 25 proc. podwyżki plac, podwyżki dodatku mieszkaniowego, wydawania raz na kwartał opatu do mieszkań, zapłaty za godziny pracy poza normą, ustanowienia szybkiej pomocy lekarskiej, pomocy finansowej dla kształcenia dzieci. Pracownicy kolei Łódzko-koluszkowskiej, która była przedsiębiorstwem prywatnym, żądali wybudowania domu dla urzędników i służby kolejowej w Koluszkach. Żądania te zostały w większości spełnione. Strajk kolejarzy zakończył się 27 lutego 1905 roku.

Rząd carski wprowadził natychmiast stan wojenny na kolejach całego Imperium, gdyż trwała nadal wojna z Japonią i strajki kolejarzy komplikowały i tak trudną sytuację wojsk rosyjskich na frontach Dalekiego Wschodu.

Zupełnie nowym zjawiskiem w Łodzi był ruch strajkowy rzemieślników. 25 lutego 1905 roku zastrajkowali rzemieślnicy gazet.

27 lutego władze ogłosiły wznowienie zajęć w szkołach, ale uczniowie szkół łódzkich zaprotestowali przeciw rusyfikacji szkolnictwa i wyrazili solidarność z młodzieżą Królestwa Polskiego.

3 marca zastrajkowali piekarze. Strajkowali też tkacze, chałupnicy, czerzy, farmaceuci, handlowcy, pracownicy banków.

Na początku marca zastrajkowali pomocnicy fryzjerscy. Powołali delegatów, a ci przedstawili panom majstrom fryzjerom i felczerom swoje żądania. Czego się domagano? Warto ich żądania zacytować w całości, jako dokument. Tamtych czasów:

1. Obowiązkowe świętowanie całych dni niedzielnych; w dni poświęcone zakłady fryzjerskie powinny się zamykać od godziny 2 po południu.
 2. W dni powszednie praca powinna trwać nie dłużej jak 13 godzin, to jest licząc od godz. 8 rano do godz. 9 wieczorem, z 1-godzinną przerwą obiadową. W przeddzień wszystkich świąt praca może trwać dłużej według uznania.
 3. Przyjąć do echu wszystkich bez wyjątku czeladników, którzy ukończyli 20 lat i wypracowali w jednym i tym samym zakładzie nie mniej niż 1 rok, przy czym sztuki rzemieślniczej należy wymagać przy wyzwalaniu czeladnika na majstra.
 4. Z powodu niniejszych żądań nikt nie powinien być wydalony z zakładu, gdzie dotąd pracował. Gdyby majster miał jakieś powody do wydalenia pomocnika, obowiązany jest uprzedzić go na miesiąc przed tem.
 5. W razie zmniejszenia liczby dni i godzin pracy placu pomocnika nie może ulec żadnej zmianie.
- Dobiegł końca luty 1905 roku. Skończył się jeden etap walki. Ale walka w różnych formach trwała nadal.

Wyrośliśmy z tradycji polskiej demokracji

Dokończenie ze strony 1

Koła Młodych SD w Politechnice Warszawskiej... Kiedy to było? Jak przebiegała pana działalność i kariera w SD? — Trudno to chyba nazwać karierą... Wstąpiłem do Koła Młodych już po studiach. Mieszkałem jeszcze w akademiku, byłem mocno związany ze środowiskiem studentkim. Grałem w hokeja w drużynie AZS. W pierwszej lidze!

Był rok 1957. Na uczelniach wrzało. Po rozwiązaniu ZMP, do którego oczywiście należałem, wcześniej budowałem Nową Hutę, powstało kilka a nawet kilkanaście organizacji politycznych młodzieży. Wybór był szeroki, bardzo szeroki... Zerknąłem się wtedy właśnie z SD. Ta formuła ideologiczna, te tradycje okazały się mi najbliższe. A — jak wspominałem na początku — zawsze uważałem, że warto być tam, gdzie coś się dzieje. Wkrótce potem znalazłem się znow w rodzinnym Zgierzu drogą transferu. Tak by to dziś nazwano... Warszawski AZS spadł z pierwszej ligi hokejowej, drużyna się rozpadła, a mnie kupiła „Boruta” Zgierz. Do stałem pracą w Łodzi i zostałem tu do dziś. Łódź to bardzo ciekawe miasto dla architekta.

— Był jednak okres, kiedy porzucił pan swój zawód dla kariery administracyjnej? — Tak, w roku 1971 Stronnictwo wysunęło mnie na funkcję zastępcy przewodniczą-

cego Rady Narodowej dzielnicy Śródmieście. Okoliczności tego awansu były dość humorystyczne. Mój ówczesny partyjny zwierzchnik powiedział: — kolego Stanisławie, jesteście aktywnym działaczem, macie doświadczenie, będziecie wiceprzewodniczącym na śródmieściu”. Byłem przekonany, że chodzi o funkcję w dzielnicowym Komitecie Stronnictwa. Zgodziłem się bez wahania, bo z zasady nigdy nie stroniłem od roboty społecznej. Kiedy dowiedziałem się o co naprawdę chodzi, było już za późno. Ruszył cały mechanizm uzgodnień międzypartyjnych, zaakceptował mnie Konwent Seniorów Dzielnicowej Rady Narodowej... Co miałem robić? Zamieniłem ciękawą i dobrze płatną robotę architekta — projektanta na niewdzięczną, trudną i kiepsko wynagradzaną funkcję administracyjną. Ale nie żałuję. Nauczyłem się dużo, poznałem mnóstwo ludzi, poznałem miasto i jego skomplikowane problemy. To dziś procentuje...

— Kiedyś mówiło się z przekąsem: — SD — stronnictwo radnych. Wielu obecnie członków Stronnictwa zasiada w radach? — W Radzie Narodowej Miasta Łodzi Stronnictwo Demokratyczne reprezentuje 18 radnych, w radach stopnia podstawowego działa 98 radnych. Ogółem 114 osób, czyli o 18 radnych więcej niż w kadencji poprzedniej. To więcej. Mam podstawy twierdzić, że wyborcy okazali zaufanie Stronnictwu wchodzącemu w skład Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. To ważne także dla nas — działania reprezentujących Stronnictwo radnych i posłów

to podstawowa forma współdziałania SD w procesie sprawowania władzy...

— Związana wobec niewielkiej liczebności Stronnictwa?

— Tak, jesteśmy najmniejszymi liczebnie stronnictwem w trójsojuszu. Tym niemniej mamy określoną pozycję, określoną wpływy polityczne.

— Reprezentujecie głównie rzemiosło, w pewnym stopniu także niemarkistowską inteligencję. Jaki to ma wpływ na zakres zainteresowań Stronnictwa, jak określa sferę jego działań?

— Nie, nie reprezentujemy głównie rzemiosła. Rzemiosło, drobna wytwórczość i spółdzielczość reprezentowana jest w szeregach stronnictwa przez około 30 procent jego członków. Większość, bo prawie 70 procent to inteligencja. Obydwe grupy społeczne znajdują w Stronnictwie pole działania i reprezentację polityczną. Obydwe są bardzo ważne. Po XII Kongresie SD jest otwarta także dla innych grup i warstw społecznych.

— Jeśli idzie o rozwój rzemiosła, to polityka Stronnictwa zmierza do ustabilizowania jego statusu prawnego, uporządkowania przepisów prawnych, zwłaszcza podatkowych. Jesteśmy zdania, że rzemiosło jest niedoceniane jako ważna gałąź gospodarki, jako czynnik stabilizujący rynek, element równowagi tegoż rynku. Wreszcie jako poważny kooperant z przemysłem państwowym, jako eksporter. Jako — wreszcie — producent przedmiotów o wysokiej wartości, artystycznych. Nie waham się nazwać je dziełami sztuki...

— Poprzez swoją reprezentację w Sejmie, poprzez przedstawicieli kierownictwa SD w rządzie możecie działać na korzyść ustabilizowania rzemiosła. Ale tu, na łódzkim podwórku, możliwości są chyba żadne? Skoro głównie chodzi o regulacje prawne, o przepisy podatkowe itp.?

— Oczywiście, na szczeblu wojewódzkim możliwości są mniejsze. Ale są. Na zorganizowanym niedawno wspólnym posiedzeniu naszego Prezydium i Egzekutywy KL PZPR pod-

jęliśmy np. ceną i oryginalną inicjatywę zorganizowania konferencji teoretycznej, która pomogłaby sformułować rolę i określić miejsce sektora drobnotowarowego w gospodarce socjalistycznej na obecnym etapie budownictwa socjalizmu. Nie tylko w gospodarce — w życiu społecznym również.

Zresztą ustawa uchwalona przez Sejm 31 stycznia 1985 r. to kolosalny krok naprzód w dziedzinie właściwego usytuowania rzemiosła w naszym systemie gospodarczo-społecznym. Przed nami jednak dalsza praca. Najdoskonalsze ustawy nie działają automatycznie. Trzeba dbać o ich właściwe, zgodne z intencją ustawodawcy wprowadzanie w życie.

— W minionych latach utrwalilo się przekonanie, że Stronnictwo Demokratyczne jest taką półpartią, „afiliowaną” przy PZPR. Partią bez własnego oblicza politycznego, bez własnej tożsamości. Proszę mnie przekonać że tak nie jest...

— Takie przekonanie było rzeczywiście powszechne i — niestety — często słuszne. Zasadniczy zwrot dokonał się na XII Kongresie Stronnictwa. Proszę przeczytać dokumenty i materiały. Przypomniano w nich bogate tradycje ruchu demokratycznego w Polsce, ruchu ciężającego zawsze ku lewicy, tradycje naszego Stronnictwa, zawsze szukającego sojuszników w robotniczych i chłopskich partiach rewolucyjnych.

Kongres sformułował także własny, integralny program polityczny wyrosły z tych tradycji. Program własny, oryginalny — w zasadniczych swych założeniach zbieżny z myślą programową naszych sojuszników: PZPR i ZSL. W wielu elementach różny, ale nie rozbieżny, z polityką partii, której kierowniczą rolę uznajemy i popieramy. Jestem głęboko przekonany, że XIII Kongres tę ideę pogłębi i rozwinie.

— Dziękuję za rozmowę i życząc powodzenia w wyborach.

Rozmawiał: ANDRZEJ KAROLCZAK

(Wywiad przeprowadzony został 1 lutego 1985 r.)

Dokończenie ze strony 1

Ale ten oddział miał i drugą ciemną stronę. Profesor ordynator wzywał członków rodzin pacjentów i dawał do zrozumienia, że bardzo lubi zielone papierki i za te papierki to gotów uzdrowić niczym Faris.

Przykład szedł z góry. Siostra oddziałowa kradła na potęgę leki, jej podwładna rzecz jasna robiła to samo. Ale właśnie ona padła ofiarą, bo przecież w takich układach najniższą rangą dostają zdrowo po pysku.

Nic więc dziwnego, że ja, który żadnych zieleńców z portretami prezydentów USA nie posiadałem, dostawałem po miesiącu kartę szpitalną wypisującą mnie bez żadnej poprawy. W karcie oczywiście zaznaczono, że nastąpiła ogólna poprawa zdrowotna, to znaczy, że po prostu poprawiłem się nieco na głębie. Był rok 1975.

REGULY PAWILONU NR 3

Przy szosie aleksandrowskiej tramwaj nr 44 zatrzymuje się na krótko przy przystanku niewielkiej osady. Jest tu sklep, kościół, kilkanaście ruderywnych domków, wśród których znajdują się i te zawierające skrzętnie ukryte meliny piątki. Głównym jednak akcentem Kochanówki pod Łodzią jest biały mur, za którym w ogromnym parku znajdują się budynki kliniki psychiatrycznej Akademii Medycznej, Miejskiego Szpitala Psychiatrycznego, kliniki Wojskowej Akademii Medycznej... Okoliczni mówią o tym kombinacie „głupiejowo”, ale wbrew obelżywej nazwie mieszczą się tutaj nie tylko zakłady leczenia chorób psychicznych. Właśnie w pawilonie nr 3 w zupełnie niewystarczających jak na potrzeby warunkach rozlokował się Oddział Neurologiczny szpitala miejskiego.

Na dole w palacyku — część kobieca oddziału, na piętrze część męska. Jest to siedlisko nieprawdopodobnego bólu i cierpienia. Ludzie po wylewach z połowicznym paraliżem ciała, pacjenci z lokalnymi niedowładami po wypadkach, balansujący na pograniczu śmierci chorzy z krwawieniem podpajęczynówkowym, chroniczne rozległe dyskopatie zmieniające w niespodziewanych atakach ludzi w kłębi bólu, o jakim się nie śniło zwyczajnym „korzonkowcom”. Są też ofiary strasznej choroby paraliżu ruchowego — choroby Parkinsona, których kończy nie znajdują ani sekundy spokoju, trwając w nieustannych drgawkach. Zresztą chyba cały podręcznik neurologii można by tu przeczytać. Na pewno znalazłoby się tam każde z opisanych schorzeń.

W okresie gdy tam przebywałem — a czas wypadł piękny: sierpień, wrzesień i październik 1975 — obsada lekarska składała się z kilku młodych pan, ordynatora i jednego autentycznego lekarza — cudotwórcy. Trudno inarzej bowiem określić doktora Szemraję, osobę tak szczególną, że można by mu poświęcić odrębny reportaż. Niezbyt tegi, do przesyady skromny, o ruchach jakby nieco płochliwych, wypowiadający zdania z pewnym wahaniem — po bliższym poznananiu okazał się człowiekiem, który absolutnie wie co robi w każdym przypadku, umiającym podejmować ryzyko, wzywającym kojąco na chorych.

Oprócz lekarzy bardzo ważną część personelu stanowiły fizjoterapeutki, a wśród nich Ewa — smagła, czarnowłosa, zawsze wzbudzająca zawieszę toleżanek.

Oczywiście, jak w każdym szpitalu, personel uzupełniały pielęgniarki i salowe — różne — żywcicie, onryskliwie, ambitnie, intruzgnie... Krótko mówiąc, jak to w życiu.

Oddział neurologiczny w szpitalach w Łodzi jest wiele. Ten jednak wyróżnia się dwoma cechami. Jedną z nich to głęboko zakorzeniony w plebejskiej tradycji Łodzi przesąd, że leczenie się w „studiejowie”, obojętne na jakim oddziale, to dyshonor, infamia, piekielne piekno.

Druga cecha tego oddziału jest bardzo prosty fakt: oddział neurologiczny w Kochanówce jest bodaj najlepszy w całej naszej aglomeracji i może poszczycić się najlepszymi wynikami.

Rzecz jasna, dla mnie — właściciela kompletnej sparaliżowanej prawej ręki, w której szalał ból, było zupełnie obojętne co głosi plebejska fama, natomiast nawet diabłu bym oddał duszę, żeby móc z powrotem zobaczyć mięśnie barku, ramienia i przedramienia i móc wykonać chociaż najmniejszy ruch.

Z pomocą przyszedł niezapomniany kolega z ławy szkolnej, znakomity psychiatra dr Jerzy Sujka. Poszedłem do niego i powiedziałam:

— Chłopcze, czy ty wiesz, że Szemraj jest cudotwórcą?

— Oczywiście, że wiem.

— No to załatw mi przyjęcie na jego oddział.

— Zrobi się, stary — powiedział nieociekany Jurek.

I zrobiło się. Surowa pani w ogólnej kancelarii szpitala spisała moje dane personalne, następnie kazała podpisać mój lewym łapskiem uniwersalną zgodę, którą każdy pacjent Kochanówki musi stwierdzić podpisem swoim, względnie opiekuna, czy najbliższej rodziny. Zgoda obejmuje wszystko: zabiegi operacyjne, punkcję kręgosłupa, odmę mózgową... Wszystko czego dusza zapragnie.

Potem krótkie pożegnanie z żoną i młodszym jeszcze psurkiem Biziakiem (mój Boże! — Jak ten czas leci: Biziak ma już dziesięć i pół roku). Jeszcze pakuneczek z własnymi pidzami — i zegnaj otwarty świecie. Witaj wpatliwa jak każda nadziejo.

JASIEK, SZAKAL I STRASZNY OBCHÓD

Pierwszy raz stanąłem w gabinecie lekarskim przed doktorem Szemrajem wzywany razem z fizjoterapeutką panią H. Badanie trwało długo, Szemraj nie mówił, tylko z cicha mruczał swoim sympatycznym niedźwiedzim głosem. Ośmieliłem się wtedy zadać pytanie o to czego się panicznie bałem: „Czy będę miał robioną punkcję panie doktorze?” Doktor Szemraj uśmiechnął się i powiedział: „Ja wprawdzie bardzo lubię kluc i to mi niezłe wychodzi — ale w pańskim przypadku diagnozę można postawić na sto procent bez takiego badania”.

Później powiedział mi coś mniej wyczerpującego: „Ja ci, bracie, będę dawał takie środki, które mają pobudzić mięśnie do ich powrotnych narodziń, ale głównie to ty musisz nam pomóc. Będzieś ćwiczył bez przerwy pod kierunkiem tu obecnej pani, będą to ćwiczenia różnorodnie, nieraz bardzo bolesne, ale bez twojej wiary i twojego wysiłku wszystko się zda psu na budę”.

Od tego dnia dzień w dzień otrzymywałem zastrzyk miotofosu i ogromne ilości witaminy E trzy razy w ciągu doby. I dzień w dzień całe godziny spędzałem na „sali tortur”. Nigdy sobie nie wyobrazałem, że niewielka sala gimnastyczna może przejmować takim lekciem i napełniać taką wiarą. Po serii masażu elektrycznych, przychodziła gimnastyka ogólna, a następnie wyciągnięciu na łóżku moja fizjoterapeutka aplikowała bezbolesne ćwiczenia neruohomej ręki. Tylko raz ustaliła wszystkie granice bólu, a potem mechanicznie uosiła, opuszczając, przesuwając w bok — dręczyła tę martwą kończynę.

Po jakimś czasie pani H. wyjechała na kurs do katowickiej AWF i to było moje wielkie szczęście. Dostałem się bowiem w ręce czarnowłosej Ewy — kobiety obdarzonej jakimś szóstym zmysłem i szczególną filozofią oraz cholerycznym uporem. Z grubszą Ewą dzieliła pacjentów na dwie grupy: tych którzy walczą i niedowiarów. To była prawda. Na przykład — stary pułkownik po wylewie, ledwo tylko zajął się innym pacjentem — zapadał w drzemkę, zamiast ćwiczyć na przemyślnie zbudowanym systemie dźwigni i wielokrążków.

— Widzi pan — powiedziała Ewa — ruch jest cudownym lekarstwem, ale działa nie tylko boleśnie, ale i niezwykle powoli. Trzeba bezgranicznej wiary, aby ćwiczyć stale, jak najczęściej, jak najszybciej wzywać się z pomocą fizjoterapeuty. Tak trzeba.

Zanudziłbym Czytelników opisem długich tygodni, które minęły do chwili, gdy sam już brałem kluc do sali gimnastycznej od Ewy, wkładałem prawą rękę w pasy i lewą podciskałem miarowo za linkę. Ewa

sama skonstruowała dodatkowe szyny i urządzenia pozwalające na utrzymywanie ręki na różnych poziomach, dozorowała każdą godzinę moich ćwiczeń, cieszyła się razem ze mną, gdy po raz pierwszy bez przyrządów powoli zgiąłem rękę w łokciu.

Wszystko to byłoby niezwykle monotonne, gdyby nie fakt, że człowiek w szpitalu nie przeżywa przecież sam. W ciągu miesięcy kuracji jest się skazanym na towarzystwo, którego się nie wybiera. Ale co to za typy wspaniałe, mój Boże! O wszystkich chyba powieść trzeba by napisać, tylko kto się tego podejmie za marne trzy tysiące w „Odgłosach”.

O niektórych warto i trzeba powiedzieć. Taki Jasiak na przykład. Gość przemily, dowcipny i chyba bardzo nieszczerliwy. Był magazynierem. Jak twierdził, ktoś go podprowadził i powstało gigantyczne manko. Na domiar złego porzuciła go żona. Nerwy odreagowały straszliwie: choroba wrodzona żółdka i dwunastnicy, częściowy niedowład nog.

Leczono go intensywnie, stosując końską kurację. Aż truchlałem na widok tych obrzydliwych spryc hydrokortyzonu, które walono mu w żyły — chyba dwa razy dziennie. Zrosły w żyłach miał tak straszne, że już tylko wybitnie wykwalifikowane pielęgniarki podejmowały się zastrzyku.

— Ty Janek chyba już śniadania nie potrzebujesz jesie — żartowałem ponuro, gdy byłam codzienną garsie medykamentów.

Po miesiącu u Janka nastąpiły zdecydowane zmiany na lepsze i wtedy nastąpił dramat. Zaczeli go odwiedzać koledzy, jakaś sympatyczna dziewczyna, a wszyscy chórem agitowali: „Ty Jasiak wyrwij z tego głupiejowa, bo w firmie będziesz spalony, ludzie palcami cię będą wytykali”.

Wtedy już przestawały działać na Janka „rozsadne argumenty kolegów z sali i pielęgniarzek”. Stawał się zaszepiony, rwałymi gdzieś błądził, zaczął sobie wmawiać, że nie pamięta dat i pod poduszką zaczął gromadzić gazety i kalendarze, do których ciągle zaglądał. A w dniach odwiedzin mił koleżkowie i rodzina pogłębiała jego psychozę. W końcu podjął decyzję desperacką: wypisał się na własne żądanie. Nie pomogli perswazje lekarzy, pielęgniarzek ani nasze. Był na najlepszej drodze do zdrowia i padł ofiarą ciemnogrodu. Czy żyje jeszcze? Nie wiem.

Zbieracie w zamkniętym pomieszczeniu ludzi prawdziwie cierpiących, bezsensnych z bólu i zakazanych lekciem przed śmiercią — a zobaczycie jak bardzo oni są wrażliwi dla siebie i tolerancyjni. Nawet największy egoista w końcu się dotrze. Dlatego wszyscy byśmy nieba przychylił Szakalowi, każdy dla niego coś robił — ale Szakalem w nomenklaturze potocznej został i już.

Zanim Szakal trafił do Pawilonu nr 3, był żołnierzem, wspaniałym chłopakiem, żona pokazywała nam jego zawodowe zdjęcie. Junakiem był jak się patrzy. Do bitki, kobitki i wypitki. Jechał odkrytą ciężarówką śpijącą na całej gardło, przydrożną gałąź rąbnęła go w głowę, wypadł na szosie i już nie pamiętał. Jacyś chirurdzy poskielejali go po powiatowemu, ale nerwy i narządy wewnętrzne wyglądały jak groch z kapustą, kiedy trafił pod opiekę Szemraja. Nie nie słyszał, ledwie artykułował dźwięki, nie chciał się ruszać. Co tu dużo gadać — u każdego innego byłoby to już dawno trup wedle rozkazu i na zawsze. Przez wszystkie długie miesiące widziałem „jak chłopisko się męczy, a przyszedł długo przede mną i gdy wychodziłem, jeszcze leżał”.

Tak więc Piotrek dostarczał mi regularnie ciepłych napojów, pielęgniarki z własnej nieprzymuszonej woli karmiły go, ładowano mu niewiarygodne ilości specjalnych — nawet zaczęto podawać hydrozyny kwasy izonikotynowe, bo odkryto ni stąd ni zowąd jakąś kawę. No mówię wam, wszyscy coś dla Szakala robili.

Tylko ja mam charakter okrutny i dosłowny. Najszybciej zorientowałem się, że facet powoli kona. Dlatego chciałem zrobić dla niego coś, co uważałem za najcenniejsze. Ofiarowałem mu godność. Pisałem mu czynną lewą łapą całe elaboraty, wywierałem cały czas taką presję psychiczną, aż osiągnąłem zamierzony cel. Któregoś dnia Szakal usiadł na łóżku, oparł się o podsunięte przede mną krzesło i tak zgłety wpół przeszedł w moim towarzystwie i przy pomocy Piotra do łazienki, gdzie odbyło się gołenie, pucowanie, zmiana pidzamy... W tym czasie siostra Agnieszka zmieniła pościel, zrebiła porządek w szafce i Szakal jakby odżył. Zaczął gestykulować, uśmiechał się. Nawet wydawało się, że traktuje nas z jakąś wyższością. To trzeba było powtarzać, aż wreszcie niepostrzeżenie coraz mniej musiał korzystać przy tych prostych zabiegach z naszej pomocy. Znow coś zawodackiego pojawiło się w jego przegąsłym spojrzeniu.

A dlaczego Szakal? Sprawa

gładząc starowlnę po policzku, sama trzęsąc się nerwowo. To był pierwszy i ostatni obchód tego typu w czasie całej mojej obecności w szpitalu. Nie wiem, jakimi słowami przemawiali do ordynatora lekarze w zaciszu jego gabinetu, przypuszczam jednak, że zdrowo sobie użyl W każdym razie znormalniak

MIGAWKI BEZ POINTY

Zapiski pacjenta oddziału neurologicznego w Kochanówce: *Jaki piękny, pogodny dzień jesienny. Dziś w południe odwiedziła mnie Henia z Biziakiem. Opalona, ostrzyżona na grzywkę, piesio też efektownie przystrojony. Jak zwykle mieli trudności przy wejściu (dzień powszedni), więc sforsowali mur po drugiej stronie szpitalnego parku. Po południu z Grześkiem pijemy kawę w szpitalnej kantine — kafejka.*

Pawilon numer trzy

prosta jak drut. Wszyscy, chłop w chłopa cierpieliśmy na bezsensność. Głównie z przyczyn bólu. Pielęgniarki wieczorem roznosili do wyboru gmidów, fanodorm, tardyl, luminal. Może to z punktu widzenia rygorystycznej medycyny zła metoda — ale skuteczną psiakrew, bo bez snu taki pólparaliż czy inny parkinsonista długo by nie pociągnął, a w najlepszym wypadku zakwalifikowalby się jako pacjent innych pawilonów, tych „psychicznych”.

Około drugiej w nocy, gdy już wszystkich lekko rozbięrały środki nasenne i człek się zanurzał w błogosławioną studnię zapomnienia — z jednego łóżka rozległo się potworne wycie. To nie był krzyk ludzki, to było autentycznie wilcze wycie. Zawarty w nim był cały lek przed ciemnością, samotnością i śmiercią, a również błaganie o uśmiechniętą morfinę. To właśnie wyl nasz nieszczęśliwy kolega ochrzczony Szakalem. Zapalało się światło, wbiegała pielęgniarka ze sprycą „rózowego zastrzyku” i rzecz dziwna — co zaobserwowałem — w niespełna kilkanaście sekund po wstrzyknięciu morfiny wycie ustawało. I wtedy zaproponowałem ulubienicy wszystkich chorych, posagowo pięknej Ani, rzecz ryzykowną.

— Aniu — powiedziałem — przecież czas działania morfiny nie następuje tak nagle. Spróbuj raz podać zwykłą wodę destylowaną albo witaminę B.

— Chyba pan wie, że mi tego nie wolno zrobić — powiedziała Ania — ale spróbuję w jego imieniu, przecież później gdy bole się nasila, morfina już nie pomoże.

Wybaczyć wszystkie dobre i złe duchy akademickiej medycyny Ani i jej zlemu podszepetywaczowi, Szakal usnął po aqua destilata jak dziecko.

Właściwie piszę tutaj o niektórych pacjentach, ale nie mogę w tym miejscu pominąć również pewnego lekarza. To on właśnie zademonstrował nam niejako przypadek charakteropatii. Ordynator oddziału różnił się biegunowo od doktora Szemraja. Nic ze skromnej łagodności tamtego wielkiego lekarza. Sama agnacja i pewność siebie wypisana na twarzy. I oto któregoś ranka doktor X zarządził obchód ordynatorski. Boże, cóż to była za straszliwa tragedia!

Wszedł do sali w towarzystwie wszystkich lekarzy oddziału i wszystkich pielęgniarek z dyżuru. W śmiertelnym milczeniu stawał przy każdym chorym, zaglądał do małego czarnego notesiku, przesywał pacjenta spojrzeniem i wskazując na niektórych palcem, mówił krótko i ostro: „ten PL”, „ten PL”. A PL to nic innego jak punkcja ledźwiowa, zawsze niebezpieczny zabieg diagnostyczny, a w szczególnych wypadkach leczniczy. Na skutek tej nieco sadystrycznej celegy i pokazu ordynatorskiej władzy nie trzeba było czekać. Sała ogarnęła zbiorowa histeria. Pierwszy zaczął szlochać starszy działunio, do którego podbiegła jedna z lekarek i przełamując ciszę ordynatorskiego obchodu coś perswadowała,

rozwał. Ale śpiewa naprawdę ładnie i jest bardzo łagodny. Dajemy mu herbatniki, cukierki, co kto ma. Zupelnie swobodnie chodzi po całym terenie. Jest tu właściwie dożywotnim pensjonariuszem. Takich wielu wśród „psychicznych”. Są łagodni, pracują w jakimś warsztacie — to terapia zajęciowa. Dostają za to papierosy i kiełbase.

To co dziś widzieliśmy, było potworne, w jakiś sposób niewytłumaczalne, chociaż logiczne. Z pawilonu ciężkich psychotyków wyrwał się pacjent, roztrącając wszystkich po drodze biegnąc parkiem w kierunku wyjścia. Dopadły go dwie pielęgniarzki. Bałbym się tych kobiet o zmroku. Nie mogły go obezwładnić od razu, więc zaczęły katować. Tkły, kopoty, wreszcie związały niesczepny strzęp ludzki.

Znow ogarnia mnie wielka radość. Mięśnie w prawej ręce już nie są wiotkie, mogą wykonywać zdecydowane ruchy. Wędrownie bóle ustępują, pozostaje tylko sporadycznie występujący szokalizowany ból, jak określała lekarze — tak zwany bark bolesny. Ale są na to konkretne środki kuracyjno-przeciwobólwe. Zresztą ten „bolesny bark” będzie mi towarzyszyć do końca życia i na pewno jakoś się przyzwyczaję. Tylko prawa dłoń nie poddaje się żadnym zabiegom. Zwiśa jakoś tak głupio i bezwładnie i kiedy ja mam momenty wielkiej radości — ta dłoń prowadzi w zaspalenie doktora Szemraja i Ewy. Coś jest nie tak.

W szpitalu zgierskim znajduje się unikalne urządzenie. Komputer produkcji daitoko-japońskiej z licznymi przystawkami. Jest tam czarna szafka, w której zwijsają się zdrukowane tajemniczymi wykreśkami taśmy, do tego ekran i głośniki. Całość obsługuje wybitna specjalistka szkolona za granicą i cała czerecha asystentek.

Szpital wysyła mnie tam na własny koszt. Koperte z pieniędźmi wiezie kierowca, bo honorarium za usługę płaci się natychmiast. Badanie trwa ponad pół godziny. Kładę się na koczecie przykrytej przeszcieradłem. Na prawy przegub zakładają mi węzeł przedziwnego metalu, który sam się zatrzaskuje — to jedna elektroda. Funkcje drugiej elektrody spełnia zawsze krótki platynowa igła, a igiel takich jest bez liku i ubliżane są w określone punkty włókien nerwowych. Takich włókien w ręce są tysiące. Łatwo domyślić się, że urządzenie bada przewodnictwo elektryczne nerwów i niezblednie potrafi stwierdzić, gdzie cały system jest uszkodzony bądź przerwany.

Cała filozofia polega na tym, żeby leżąc patrzeć na ekran i dużo gadać z prowadzącą badanie. Kolega, który był wysłany razem ze mną, popatrzył w bok na leżankę, zemdlał i został odesłany z adnotacją „pacjent nie nadaje się do badania”. Ja dopiero, gdy wstałem popatrzyłem na leżankę ze zbrzyganym dokładnie prześcieradłem. To oczywiście była moja krew, ale teraz nie robiła wrażenia.

Komputer powiedział całą prawdę. Dla tej dłoni już nie było ratunku. Ani talent doktora Szemraja, ani wysiłki Ewy nie tu nie mogłyby pomóc. Natury się nie przeszkoczy. To zresztą później potwierdził prześwietlenie: niewiarygodnie zwąpnienia stawów paliczkowych, kompletne sito zamiast stawu nadgarstkowego. Dłoń będzie szponieć. Trzeba ją będzie w zimie amputować, żeby ocalić resztę ręki. I całą moją radość i wdzięczność przesłania ten cieni na twarzach Szemraja i Ewy. A przecież zrobili co mogli, zrobili więcej niż ktokolwiek inny. Przemienili mnie z kłębką bólu ze zwijsającym bezsensownym przedmiotem zamiast ręki — w kalkiem sprawnego inwalidę. Chcieli pełnego zwycięstwa. Nie będą mogli ich nigdy zapomnieć, mimo chmury w oczach, z jaką mnie żegnają”.

Franus dał koncert. Jest on dorosłym mężczyzną o psychice dziecka. Kompletny niedo-

ROBERT GLUTH

A może raczej jeden ze sposobów, czyli racjonalne zatrudnienie, racjonalne rozmieszczenie siły roboczej. Czy jednak jest to możliwe? Cz. Bobrowski pisał: „Rok 1981 ujawnił, że przy 15 proc. spadku produkcji zatrudnienie nie drgnęło, że przy nieobsadzeniu stu kilkudziesięciu tys. miejsc pracy w jednym zakładzie tylko kilkudziesięciu tys. ludzi poszukuje pracy, że reszta trwa uporczywie tam, gdzie została zatrudniona”. (Akt odwagi, „Życie Warszawy” 17.II.82). Autor ocenia, że przyrost zatrudnienia, będący „prywatną armią bezrobotnych”, dyrektorów zakładów pracy, jest jedną z chorób, która była, jest i będzie najtrudniejszą do przezwyciężenia.

Zasiedzenie na miejscu pracy zostało częściowo rozładowane urlopami macierzyńskimi i wcześniejszymi emeryturami. Z pracy odeszły bardzo młode kobiety oraz wielu ludzi doświadczonych, w pełni sił produkcyjnych, a problem rąk do pracy na właściwym miejscu i właściwie wykorzystanych pozostał.

Maria Jarosińska, autorka książki „Rynek siły roboczej w opinii publicznej” wydanej przez Polską Akademię Nauk, Instytut Filozofii i Socjologii w 1984 roku w nakładzie 300 (słownie: trzysta) egzemplarzy, napisała: „Problematyka zatrudnienia ma tyleż wymiar ekonomiczny co społeczny i psychologiczny, są w nią uwikłane bliższe i dalsze interesy grup i jednostek, ich prawa i obowiązki” (s. 115).

Szkoda, że cenna w swej warstwie informacyjnej i mądra w interpretacji wyników badań przeprowadzonych w 1981 i 1982 roku książka nie będzie dostępna dla ludzi zajmujących się w tak zwanym terenie problemami zatrudnienia. Szkoda, że nie dotrże do tych wszystkich, dla których problem stosunku ludzi do pracy w Polsce jest ważny, bo wiem muszą biec się z organizowaniem pracy, właściwym wykorzystaniem rąk i umysłów, nakłanianiem, jak lubimy mówić, motywowaniem ludzi do pracy.

Jak wynika z wielu opracowań naukowych, publicystyki, a także z własnych obserwacji w naszym kraju nie naszych miejscach pracy, bardzo wielu Polaków nie jest łatwo skłonić do rzetelnej, wydajnej pracy. Wszyscy Polacy w latach 70 i obecnie doskonale znają i egzekwują swoje pracownicze prawa. Doskonale wiedzą, że Konstytucja gwarantuje prawo do pracy, że socjalizm realizuje prawo do pracy zapewnią, choćby nawet była to praca niskowydajna, a niekiedy opłacana jest tylko go-

łowość do pracy, a nie sama praca.

Wielu jest krytyków naszej gospodarki, realnego socjalizmu. Wielu z nich korzysta z prawa do pracy, uchylając się od powinności pracowniczych. M. Jarosińska pisze: „Wyobrażenia socjalistycznego ładu społecznego wykluczają istnienie bezrobocia, oznaczającego nie powszechną realizację prawa do pracy, ale wykluczają także pasożytniczość jednostki na tym prawie, polegającą na czerpaniu korzyści z faktu zatrudnienia przy zamierzonym niewykorzystaniu się z wynikających z niego zobowiązań”. (s. 116). O ile państwo socjalistyczne z całą stanowczością, niezadko wbrew zdrowemu rozsądkowi i poczuciu ludzkiej sprawiedliwości wypełnia swoje zobowiązania wobec obywatela, to obywatel nie zawsze wypełnia swój patriotyczny, człowieczy obowiązek pracy.

Z wielu badań, realizowanych w różnych okresach czasu, także i prowadzonych w połowie lat 70-tych w przemyśle lekkim wynikało, że ludzie nie obawiali się bezrobocia. Sytuacja ta zmieniła się nieco w warunkach kryzysu gospodarczo-społecznego 1981/82 roku, pod wpływem głośno, a chyba zupełnie bezzasadnie ogłaszanej możliwości ogromnego, szybko gwałtownie bezrobocia, rezultatem czego były decyzje o wcześniejszym emerytowaniu urlopów wychowawczych, aby do bezrobocia nie dopuścić. Okazało się, że przewidywania były błędne, a obecnie cierpiemy na brak rąk do pracy, ale młodzi jeszcze reńceni, emeryci ani myślą o powrocie do pracy, nawet gdyby mogli znacząco poprawić swoją sytuację materialną. Zdziwiałoby ogłoszenie w gazecie w rubryce praca, brzmiałoby: „33-letni rencista podejmie pracę w sektorze prywatnym”. Chyba nie ma zamiaru zrezygnować z renty i chyba nie jest aż tak niesprawny, skoro nie informuje, że szuka pracy lekkiej i na kilka godzin dziennie. Czy takie sytuacje, jakie mają miejsce u nas, praca rencistów i emerytów w pełnym wymiarze godzin przy pobieraniu pełnych świadczeń emerytalnych, są gdzieś na świecie możliwe? Nie chcę nikogo przekonać, że tak postępują wszyscy reńceni i emeryci, ale jestem przekonana, że tak postępuje zbyt wielu. Powstaje pytanie, dlaczego pracują lub szukają pracy w sektorze prywatnym? Dlaczego nie szukają lub nie chcą podjąć oferowanej im pracy w sektorze państwowym? Odpowiedź znam, i chyba zna ją każdy! Jest to wyraz stosunku ludzi do pracy, do zakładu, do sektora gospodarczego.

W latach 1981/82 ludzie, jak wynika z badań M. Jarosińskiej, pod wpływem kształtującej opinii propagandy, prze-

widywali możliwość bezrobocia, przewidywali ją, ale częściej — tak w ogóle — aniżeli dla siebie. Uważali, że jeżeli będą zwolnieni z pracy, to dołączą do innych ludzi, innych zakładów. Statystyki odnotowały „trzymanie” się pracy, wyrażające się w mniejszej liczbie porzucania pracy lub wypowiedziania pracy przez pracowników. Na pytanie, czy zwolnieniem z pracy mogą być objęte także osoby, którym zadano to pytanie, w 1981 roku negatywnie odpowiedziało 81

było kiedy tych zadań realizować. Odnotowany stan zamykania, w kwestii bezrobocia, nie spowodował poczucia zagrożenia, nie rozhisteryzował społeczeństwo, bo każdy głęboko wierzył, że w Polsce nie może być bezrobocia, że w socjalizmie nie może być bezrobocia, a wiara ta miała uzasadnienia w doświadczeniach powojennych. Czy jednak nie było żadnych problemów z zatrudnieniem? Czy nie było zarządów na rynku pracy? Autorka przypomina, że niekorzyst-

Można byłoby wysunąć wniosek o konieczności tworzenia zagrożenia, ale nie byłby on zgodny z założeniami ustroju. Powstaje pytanie, czy zagrożenie lub obawa przed bezrobociem jest jedynym skutecznym czynnikiem w motywowaniu ludzi do dobrej, wydajnej pracy? Takich czynników jest wiele i rzecz chyba w tym, że i pozostałe nie funkcjonują, co podnosi rangę roli, przynajmniej psychologicznego w dopięgowaniu do pracy. Nie działa taki czynnik ekonomiczny, nie tylko w

złą pracę demobilizuje” lub „praca jest zupełnie nieopłacalna ze względu na niskie zarobki”. Ci ostatni jednak nie szukają pracy lepiej płatnej. Wolą brać niskie pensje niż podjąć pracę lepiej płatną, lub dodatkową. Na uwagę zasługują zbieżność wyników z badaniami prowadzonym w Łodzi w latach 1982—83. Na podobnie sformułowane pytanie, czy warto poświęcić się pracy 71 proc. osób dało odpowiedź pozytywną, a 29 proc. negatywną, co oznacza, że na każde 100 pracowników 30 uważa, że nie warto poświęcać się pracy. W Łodzi najczęściej uważają, że nie warto poświęcać się pracy robotnicy i urzędnicy administracji państwowej, a najrzadziej pracownicy sektora prywatnego. Wyniki badania z 1983 roku są bardzo zbliżone do uzyskanych przez M. Jarosińską, a nawet odnotowujemy wzrost liczby osób przekonanych, że nie warto poświęcać się pracy. Dlaczego tak się dzieje? W jakim sensie odpowiedź znajdziemy w zdaniu zdecydowanej większości ludzi pracujących, że gdyby nie pewność, że praca czeka, ludzie pracowaliby lepiej. Można dodać, że gdyby nie doświadczenie, że za gorszą pracę otrzymuje się takie samo wynagrodzenie jak za pracę dobrą — ludzie pewnie także pracowaliby lepiej. Zarobki, może nie zawsze zgodne z oczekiwaniami czy potrzebami, ale stałe, pewne, jak i świadczenia społeczne, stwarzają pełen komfort psychiczny. Szkoda że nie mobilizują do dobrej pracy.

Ustanowienie podatku od wynagrodzeń (nie kwestionując takich podatków) może powodować przy bardzo wysokim poziomie cen na niektóre, wcale nieukusosawa artykuły, że człowiek traci chęć do wysiłku, bo podwyższając go dużo traci (podatek), a zyskuje niewiele, bo za posiadane pieniądze nie może kupić potrzebnych rzeczy. Innym czynnikiem motywującym jest świadomość oceny własnej pracy przez jej odbiorcę. Ale skoro producent jest anonimowy, skoro odbiorca jest anonimowy, powstaje sytuacja produkcji dla produkcji, a nie dla odbiorcy.

Czynników takich można wymienić wiele. Autorka o nie nie pytała w badaniu, pytając czy w zakładach, w których pracują warto solidnie pracować czy nie warto. 77 proc. odpowiadających jest zdania, że warto solidnie pracować, 13 proc. że nie warto, a 10 proc. nie ma zdania (s. 106). Ludzie, którzy są zdania, że nie warto solidnie pracować uzasadniają to tak: „dobra praca nie jest doceniana”, „wyróżnia się ludzi nie za pracę”, „brak sprawiedliwej oceny” lub że „dobra praca nie opłaca się finansowo”, „istnieje antybodyce takie jak praca w wolne soboty lub w nadgodzinach”. Właśnie w nadgodzinach się zarabia, więc w czasie pracy można pracować mniej wydajnie, mniej się zmęczyć, a wyjdzie się na swoje. Niewiele osób (4 proc. wskazań) jest zdania, że „brak kar za

STEFANIA DZIĘCIELSKA-MACHNIKOWSKA

Sposób na powodzenie reformy gospodarczej

proc., (w tym 46 proc. — nie i 35 proc. — raczej nie), a w 1982 roku 74 proc. — z tym, że w 1982 roku aż 14 proc. nie miało w tej kwestii zdania. Niepewność zatrudnienia w 1982 roku charakteryzowała 14 proc., ale zagrożenie deklarowało 10 proc. respondentów ogólnopolskiego badania.

W 1982 roku 58 proc. osób nie przewidywało, aby zwolnienia mogły mieć miejsce w ich zakładzie pracy, małe zwolnienia przewidywało 23 proc., spore 7 proc., a likwidacji zakładu spodziewał się 1 proc. respondentów. Warto pamiętać, że takie opinie wyrażane były w czasie kiedy dość dużo mówiono o bezrobociu, o likwidacji złych, nierentownych zakładów.

Dobrze, jeżeli nawet w tak trudnych czasach, w skomplikowanej sytuacji gospodarczej, społecznej i politycznej większość ludzi pracujących ma głębokie przeświadczenie, że nie stracą pracy, ma poczucie bezpieczeństwa w odniesieniu do egzystencji materialnej. Szkoda tylko, że ci sami ludzie byli głusi na apele o lepszą, wydajniejszą czy dłuższą pracę. Można próbować tłumaczyć zmasowaną „obronę” wolnych sobót jako obronę stanu zatrudnienia, krótki czas pracy, a zatem potrzeba większej ilości rąk do pracy, aby wykonać te same zadania, ale przy likwidacji pracy nocnej nie

ne zjawisko braku pracy objęło część absolwentów wyższych uczelni. W roku 1981 — 18,8 proc. absolwentów uczelni nie znalazło pracy (s. 84). Charakterystyczne, że inteligenci mniej bali się trudności w uzyskaniu pracy w przypadku zwolnienia aniżeli robotnicy, a szczególnie robotnicy bez kwalifikacji, w tym samym czasie, kiedy ich dzieci miały kłopoty z jej znalezieniem. W tym czasie ludzie zaczęli przechodzić do sektora prywatnego lub nawet wyjeżdżać za granicę w poszukiwaniu nie tyle pracy, co dobrobytu. Autorka ciekawie mówi o lokalnym rynku pracy udowadniając, że w małych miastach zaniepokojenie ewentualnym bezrobociem było mniejsze aniżeli w miastach dużych — co określa jako sytuację paradoksalną (s. 89).

Na szczególną uwagę zasługują wyniki odpowiedzi na pytanie „Jak Pan(i) sądzi, czy gdyby w Polsce było trudno o pracę, czy ludzie pracowaliby lepiej czy gorzej?”. Ludzie pracujący w 71 proc. odpowiadali, że pracowano by lepiej, a 22 proc. że ani lepiej, ani gorzej, 1 proc. że gorzej, a 1 proc. nie miał zdania. Czyli gdyby rzeczywistość było bezrobocie to zdecydowana większość ludzi w Polsce pracowałaby lepiej. Oznacza to, że zabezpieczenie każdemu człowiekowi pracy na cześć z dnia demobilizujące, i to część znacząca, decydująca o bogactwie całego narodu.

szawie jest zwykłym sabotażem. Ministerstwo Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych wydało niedawno zarządzenie, na mocy którego trzeba uzyskiwać świadectwo dopuszczające do ogólnego stosowania wszelkiego typu ściany. Świadectwa wydaje Instytut Techniki Budowlanej. Dyrektor Instytutu w piśmie do wojewodów zapewniał, że wydanie atestu nie będzie trwało dłużej niż trzy miesiące. „Wystąpiłszy w wnioskiem o odpowiednie badania przeszło rok temu. Wielokrotnie prosił się o przyspieszenie pracy. Dopiero po interwencji sejmowej komisji okazało się, że ITB zagubił gdzieś nasze zlecenie (Oni twierdzą, że w ogóle nie dostali)”.

Ściana rozdzielcza ma szansę być pierwszą w przemyśle budownictwie mieszkaniowym ścianą osłonową lekką i ciepłą. Pomyśl o rozdzieleniu warstwy nośnej od warstwy izolacyjnej — stąd nazwa. Pierwsza powstałaby w zakładzie prefabrykacyjnym, druga bezpośrednio na placu budowy — to jeszcze jeden plus technologii.

Konstruktor ma nadzieję, że uda mu się wprowadzić nowy materiał izolacyjny — piankę mocznikową — „pianizol”, wytwarzaną z krajowego surowca — karbamidu. Pianizol produkowano kiedyś w Jaśle, ale prawdopodobnie dlatego, że był za tani, nikt się nim nie interesował, więc zamknięto linię technologiczną. Kilka lat temu inż. Andrzejewski przedstawił zalety pianizolu na forum sejmowym. Przyjęcie było entuzjastyczne. Minister Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych obiecał wszechstronną pomoc przy uruchomieniu produkcji. Potem nastąpiła długa cisza, z jaką bardzo często mieli do czynienia konstruktorzy.

Pianizol jest trzykrotnie tańszy od wełny mineralnej, niepalny, lekki jak styropian. Możliwy do produkcji na placu budowy w prostych agregatach pianotwórczych. Jedyną jego wadą jest kruchość, co zmusza do delikatnego obchodzenia się z nim. Znaję jednak dokładnie wszystkie właściwości można tak ustawić technologię, aby wykorzystać dobre cechy, a wyeliminować złe. Od tego mamy inżynierów.

„Człowiek chciałby w życiu czegoś dokonać — kończy inż. Andrzejewski — ale okazuje się, że często i życia może nie starczyć żeby cokolwiek zrobić do końca. Stąd mamy mało wynalazków, że technologicznie... Najlepszy przykład — Instytut Techniki Budowlanej. Dopełniliśmy wszystkich formalności, zebraliśmy konieczną dokumentację. Na pozytywną odpowiedź czekaliśmy przeszło rok. Kamienieć by się w tym czasie wybudowało. Ci sami ludzie, którzy wprowadzali wielką płytę, czym doprowadzili do katastrofy nasze budownictwo, nie powinni tego budownictwa ratować”.

MAREK MAMOS

Dokończenie ze strony 1

że tego podstawowego składnika betonu nam brakuje. Kończy się kruszywo. Brakuje stali dlatego, że pożera ją wielka płyta.

W naszym kraju oddano 200 fabryk domów, a zabrakło wyobraźni na to, że potrzebny jest materiał izolacyjny — wełna mineralna. W Polsce produkuje się ok. 3 kg materiałów izolacyjnych na jednego mieszkańca, w Szwecji ponad 30 kg i Szwedzi jeszcze importują, bo im się to opłaca. Materiał izolacyjny wbudowany w ścianę domu zwraca się po dwóch, najwyżej trzech latach w postaci energii oszczędzanej na ogrzewaniu.

Nie dość, że wełny jest mało, to jeszcze się ją marnuje. W powszechnie stosowanej ścianie osłonowej o kryptonimie WK-70, tak zaprojektowano technologię, że wełnę kładzie się na mokry beton. Każdy zamoczony materiał izolacyjny przestaje być materiałem izolacyjnym. Dlatego ściany przemarzają.

Inna sprawa — okna. U nas ciągle mają dwie szyby, gdy na świecie już od kilkunastu lat stosuje się okna z trzema szybami. Przez 1 m kw. naszego zimnego okna ucieka rocznie około 120 kilogramów węgla. Przez dodanie trzeciej szyby można zaoszczędzić 50 kilogramów. Mnożąc to przez miliony metrów kwadratowych okien wychodzi, że całe kopalnie pracują na ogrzewanie atmosfery.

Wielka płyta zwyciężyła prawdopodobnie dlatego, że ekonomicy policzyli koszty między fabryką domów a placem budowy. A przecież koszty mieszkania powstają również w czasie budowy samej fabryki domów, podczas transportu wielkiej płyty na plac budowy. Nawiasem mówiąc twórcy tej technologii nie mieli fabryk domów. Elementy powstawały w tańszych wytwórniach poligonowych.

Do kosztów mieszkania trzeba dodać jeszcze koszty wydobycia węgla używanego tak w czasie bardzo energochłonnej produkcji, jak i potem na ogrzewanie mieszkań. Trzeba uwzględnić produkcję wielkiej ilości stali, wydobycie kruszywa, budowę linii energetycznych i wiele innych elementów. To się nazywa rachunek ciążynowy. Wystarczy dobrze policzyć, a okaże się, że wielka płyta jest jedną z najdroższych, jeśli nie najdroższą metodą wznoszenia domów. My, jako biadacy, powinniśmy robić to co się najbardziej opłaca. Często są koszty są sztucznie zaniżane. Tak jakby komuś zależało na tym, aby budownictwo doprowadzić do całkowitej katastrofy.

„Póki nie zmienimy technologii, mieszkań po prostu nie będzie” — stwierdza inżynier Andrzejewski i zaraz proponuje swoje rozwiązanie: dom budowany metodą nazwaną „płyta-słup”. Sama idea nie jest odkrywcza. Już przed wojną w Polsce tak budowano Hotel Solecia w Warszawie, kilka budynków w Łodzi przy alei Kościuszki czy choćby niektóre pomieszczenia magazynowe są dobrymi przykładami. Płyta-słup to znany od dawna szkielet. Konstruktorzy proponują dwie modyfikacje, bezryglowe stropy i

nowy rodzaj ściany osłonowej — opracowany przez inżyniera Andrzejewskiego. Cały budynek trzyma się mocnej konstrukcji klatek schodowych i kilkunastu pionowych słupów z betonu. Żadna ze ścian nie pełni w związku z tym roli ściany nośnej. Dzięki temu można je dowolnie kształtować, a mieszkania można modelować wedle najdłuższych nawet pomysłów lokatorów. To tylko jeden plus wcale nie najważniejszy. Dech w piersiach zapiera dopiero obliczenia przewidywanych oszczędności.

Wielka płyta trzymać się mocno

Po dziesięciu latach starań udało się wreszcie doprowadzić do rozpoczęcia budowy prototypu. Będzie to dwunastokondygnacyjny, dziewięcioklatkowy blok nr 501 przy ulicy Puszczyńska na terenie osiedla Widzew—Wschód. Zamieszka w nim ponad 200 rodzin, czyli blisko 750 osób. Jeśli zastosujemy rachunek ciążynowy to oszczędności z takiego budynku wyniosła około 60 milionów złotych, w porównaniu do jego bliźniaka z fabryki domów. Przy samej tylko budowie zaoszczędzić można 3,343 tony węgla. Corocznie na ogrzewanie nie trzeba będzie spalić 723 tony węgla. Nie trzeba go przywozić dziesiątkami wagonów. Nie trzeba budować magistral energetycznych, elektrowni. Przejście na tego typu budownictwo pozwolił zaoszczędzić w Polsce rocznie około 10 mln ton węgla. Pomnożymy je przez 50 dolarów za tonę. Ileż kopań pracuje niepotrzebnie tylko na potrzeby budownictwa?

Oszczędności wynikają między innymi z zastosowania oryginalnej, bardzo ciekawej ściany osłonowej, tzw. rozdzielczej. Będzie ona prawie pięciokrotnie „cieplejsza” niż ściana o grubości 2 cegieł. Wydawałoby się, że wszyscy powinni być nią zainteresowani. Tymczasem to co robi Instytut Techniki Budowlanej w War-

W ubiegłym tygodniu stanęło na tym, że Mercedes nie mógł się zatrzymać, przez co uczennica Barbara nie mogła się poskarżyć mamie, iż koleżanka Jola straszyc ją po ciemności nocną rabanką w dzikich plenerach. Ale ten Mercedes wcale nie jeździł w kółko jak głupi, ponieważ miał za kierowcę mądrego milionera. I ani się Baśka nie obejrzała, a już siedziała w jasnej od polysku szklanej knajpie „Słoneczko” na niechętnych Piotrkowski rubieżach, które oderwano od piersi Matki — Łodzi, jak nas byli promienni dzielił na enklawy sukcesu. Na szczęście granicę można było przekroczyć bez paszportów, toteż pasażerowie mercedesa spokojnie spżyli kolację na obcej ziemi. Troje piło. Baśka z Albinem nie używali środków wyskokowych.

— Albinie — zapytała Barbara — ty nie pijesz ze względu na mnie czy na samochód?
— Ze względu na ciebie! — warknął czule milioner.

RYSZARD BINKOWSKI

7. la się bać naprawdę, i to jak diabli. Uciekać też się bała, bo dokoła pola i ciemny las. Zdrętwiała ze zgrozy...

Potem zobaczyła Marka z Maksem.
— Są kłopoty z zameldowaniem oświadczył Marek.
— Cooo? Czemu? — zdenerwował się Albin.

— Nikt, cholera, nie ma do wodu tożsamości. Ale gdyby trochę bilonu, to by się załatwiło.
Albin miał drobne, jak każdy milioner zresztą, przeło Marek już po pięciu minutach otrzymał klucz do zacisznego domku. Natoriast ów ozdoby Maksio zachował się jak prawdziwy kanibal z kolczykiem w nosie Dorwał w chaszczach pomoc kuchenną z tubylczej obsługi i konsumował, aż mu w zębach trzeszczało.

— Tyle godzin udreki — jęknął rozczarowany — a teraz chwilkę przyjemności...
— Nieudolne bydle! — chipnęła dziewczyna.
— Ale wydolne! Nastrajałaś mnie godzinami, toteż z niejśca eksplodowałem, kochanie...

8. Albin dokonywał zniszczeń ze złości, ponieważ zmuszony był pracować jedną ręką. Działo się tak dlatego, że po wylamaniu zamka ofiara wróciła do przytomności i zaczęła się bronić. Nic więc dziwnego, że porwał na niej rajstopy i figi. Musiał chyba mieć piątkę z wufu, albowiem przytrzymując wierzącą kochankę, zdołał się rozebrać do naga. Zwalił się na nią niby zapaśnik w stylu klasycznym, a gdy zaczęła wrzeszczeć, zakneblował jej usta osobistą skarpetką. Następnie wdarł się między zaciśnięte uda ofiary i dokonał czynu defloracyjnego. Czyn trwał około pięciu minut.
— Tyle godzin udreki — jęknął rozczarowany — a teraz chwilkę przyjemności...
— Nieudolne bydle! — chipnęła dziewczyna.
— Ale wydolne! Nastrajałaś mnie godzinami, toteż z niejśca eksplodowałem, kochanie...

9. Albin dokonywał zniszczeń ze złości, ponieważ zmuszony był pracować jedną ręką. Działo się tak dlatego, że po wylamaniu zamka ofiara wróciła do przytomności i zaczęła się bronić. Nic więc dziwnego, że porwał na niej rajstopy i figi. Musiał chyba mieć piątkę z wufu, albowiem przytrzymując wierzącą kochankę, zdołał się rozebrać do naga. Zwalił się na nią niby zapaśnik w stylu klasycznym, a gdy zaczęła wrzeszczeć, zakneblował jej usta osobistą skarpetką. Następnie wdarł się między zaciśnięte uda ofiary i dokonał czynu defloracyjnego. Czyn trwał około pięciu minut.
— Tyle godzin udreki — jęknął rozczarowany — a teraz chwilkę przyjemności...
— Nieudolne bydle! — chipnęła dziewczyna.
— Ale wydolne! Nastrajałaś mnie godzinami, toteż z niejśca eksplodowałem, kochanie...

Tajna broń zjadaczy chleba

„Kończymy już prace nad superbronią przeciwko bylejałości i zawyżonym cenom usług. Szczegóły ujawnimy wkrótce!” — tajemnicza ta zapowiedź padła z ust przewodniczącego Związku Obrony Konsumentów w Łodzi podczas konferencji prasowej zwołanej przez ZOK. Na sali powiało grozą...

Związek Obrony Konsumentów w Łodzi jest niezależną, samorządną organizacją społeczną, próbującą osłaniać nas przed pazernością oraz tumiwiśmizmem producentów, handlowców i usługodawców. Od ponad trzech lat toczy on — bywa że zwycięskie boje, ze wszelkiej maści cwaniakami, kombinującymi jak podstępnie albo jawnie łupić nas za pośrednictwem bandyckich cen, tandentnej jakości czy zwyczajnej fuszerki. ZOK regularnie okłada się z „Otexem”, „Argedem”, „Polmozbytem”, spółdzielnią „Zystość”, miłoścywie nam panującym handlem detalicznym, nieśmiertelną biurokracją zżerającą kolejną podwyżkę czynszów w mieszkaniowej spółdzielni, etc., etc. Skutkiem precyzyjnych ciosów Związku Obrony Konsumentów, białą flagę wywiesiła łódzka gazownia, mocno dotąd przesadzająca w kalkulacji kosztów instalowania gazowych kucharek. W kieszeniach odbiorców gazu pozostało 11 min zł!

Obroncom konsumentów schodzą z drogi firmy polonijne, „Pewex”, niektórzy producenci bublei, niesumieni rzemieślnicy.

Jeśli wróciwszy z zakupów, stwierdzisz z przerażeniem, iż cud techniki, który nabyłeś za zroszone Twym potem złotówki, okazał się klasycznym bubleń, nie wkurzaj się — zatelefonuj do Związku Obrony Konsumentów (33-93-60); idź na Piotrkowską 104a — spacer dobrze Ci zrobi. Tam będziesz wysłuchany, a przy odrobinie szczęścia doznasz satysfakcji w równym pojedynku z oszustem. Twoim sekundantem będzie ZOK.

Jeśli odbierając ubranie z pralni spółdzielni „Czystość”, nowiutki Twój garnitur zmieni się w parczany worek w kolorze bordo-zielony, nie wkurzaj się — zatelefonuj do ZOK...

Jeśli oszłabił Cię spółdzielnia mieszkaniowa, sklepikarz, pan Kazio z „Polmozbytu”, kwiaciarka, urzędnik z administracji, nie wkurzaj się — idź na spacer Piotrkowską. Pod numerem 104a...

Trzeba Ci bowiem wiedzieć, że Związek Obrony Konsumentów interweniuje w trybie ekspresowym — dwóch dni. Dlaczego? Ano dlatego, że nie zdążył (jeszcze?) obronąć w stołki i stołeczki. Funkcjonuje na trzydziestu dziewięciu kwadratowych metrach, wyłącznie siłami społecznymi: nie ma ani jednego etatu! Ledwie, ledwie wiąże koniec z końcem, egzystując od pierwszego do pierwszego. Sam widział, że z takim partnerem można dogadać się jak równy z równym.

Bo oto nadszedł taki czas, kiedy my, szeregowi zjadacze chleba, naukowo zwani konsumentami, musimy łączyć siły. Musimy dochodzić swych praw w drodze walki z monopolistami, z wygodniczkimi producentami i handlowcami. Znana w cywilizowanym świecie taktyka walki orężem popytu, póki co jest w naszej rzeczywistości nieskuteczna. Góra ten, kto robi łaskę, w ogóle sprzedając cokolwiek. On to wypina się na nieśmiałe reklamacje wpuszczonych w maliny klientów. A więc łączy się! Związek Obrony Konsumentów liczy ponad 1300 członków. Za mało! Ławą mości panowie!

Przykład dali już właściciele czterech kółek. Skrzyknęli się i powołali klub obrony automobilisty. Podobno w „Polmozbycie” wybuchła panika... Krają słuch, jakoby rowerzyści zamierzali iść — albo raczej jechać, ich śladami. Po nich zjednoczą się użytkownicy butów krajowej produkcji, posiadacze mylnków do kawy, telewizorów kolorowych, łyżek, szczoteczki do zębów i zapalek z Sianowa. Zebrania klubów będą zwoływane tylko dwa razy w tygodniu, a przy zakupach powyższych dóbr otrzymamy stosowne deklaracje członkowskie. Każdy będzie mógł piastować godność prezesa, np. klubu obrony herbatopijcy albo klubu obrony palaczy „popularnych”. Oczywiście każdy prezes otrzyma pieczętkę oraz legitymację z fotografią.

Ludzie, a może po prostu nie kupować tych bublei? Może nie warto kupować samochodu (czytaj: kupy złomu), którego jedyną zaletą jest zdolność wywołania wrażeń estetycznych — nie najlepszych zresztą? Może lepiej będzie darować sobie wątpliwą przyjemność posiadania gratów, które niczemu nie służą, bo i tak przeważnie stoją zepsute?

O tym, że myślenie takie jest niemodne, niech świadczy miniony rok pracy Związku Obrony Konsumentów: 6 tys. telefonów od zdenerwowanych klientów, 4 tys. wizyt w lokalu na Piotrkowskiej, multum interwencji, porad prawnych oraz udzielonych informacji.

A co w roku bieżącym? ZOK zapowiada totalną wojnę ze spółdzielnią „Czystość”. ZOK myśli za urzędników ze spółdzielni ogrodniczo-pszczelarskich, gdzie magazyny jabłek pękają w szwach, a ceny detaliczne owoców odstraszą potencjalnych nabywców. ZOK występuje do Ministerstwa Sprawiedliwości o przyznanie mu prawa do wytaczania powództw na rzecz konsumentów. ZOK usiłuje zreformować system list tworzonych przez komitety kolejkowe, uznając zasadność istnienia takowych komit. tów. ZOK apeluje do chemii o duże, 2-3 kilogramowe opakowania proszków do prania. ZOK widzi konieczność powołania terenowych klubów obrony konsumentów: w miastach satelickich i pobliskich województwach. ZOK pomaga, radzi, interweniuje.

Ostatnio, częściej niż zwykle, dzwoni telefon w lokalu na Piotrkowskiej 104a. Trwają bowiem gorące konsultacje proponowanych podwyżek cen. Wedle wstępnych danych zgromadzonych w ZOK, gros telefonujących łódzian opowiada się za utrzymaniem reglamentacji, ze wskazaniem na... „wariant IV”, czyli na zachowanie dotychczasowego poziomu cen. Ludzie myślą więc prawidłowo: jeśli mają stracić np: 100, 500 albo 1000 zł, to wolą nie stracić ani grosza.

Podczas konferencji prasowej kierownictwo Związku Obrony Konsumentów w Łodzi odważnie przyznało, iż odczuwa brak młodych kadr zdecydowanych energicznie walczyć o słuszną prawa szeregowych zjadaczy chleba. Jako osobnik ustawowo zaliczony do młodzieży, deklaruje swą pomoc — przy rozpedzaniu komitetów kolejkowych.

R. K.

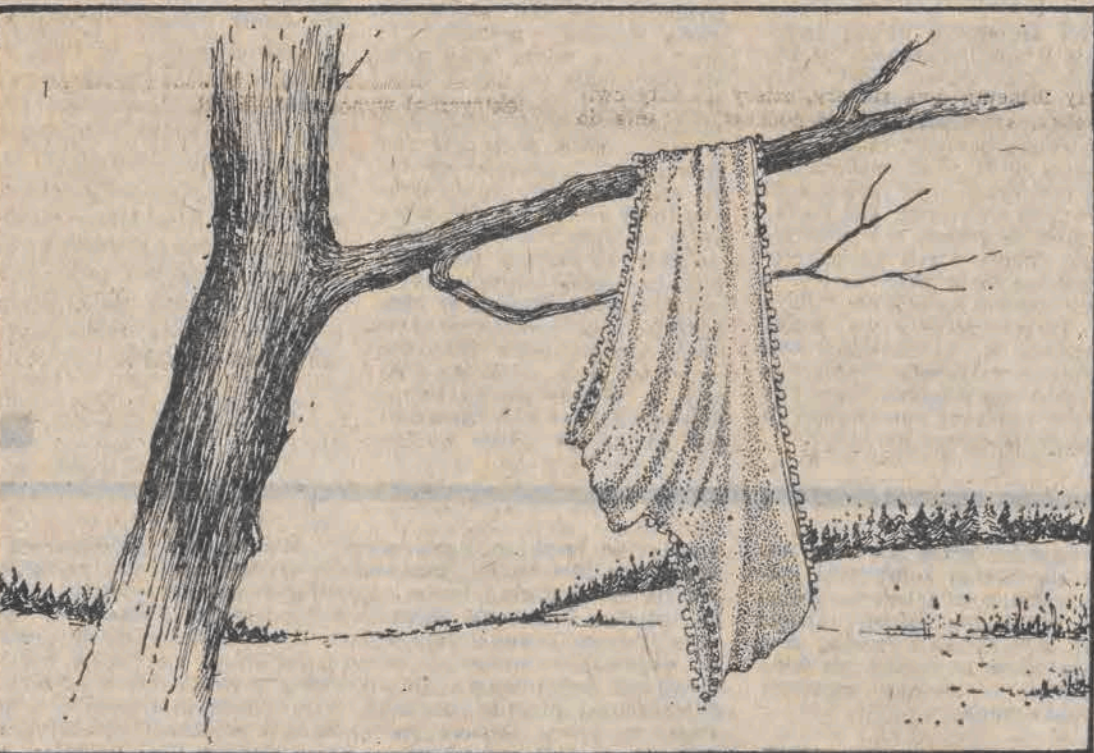
Świadectwo dojrzałości

— I musisz się tak skazywać na męki postne?
— Muszę, bom masochista.
— Jekku, co to będzie z tego wszystkiego — westchnęła Basia.
— Nie martw się! Ja z tej złości i udreczenia ładuję potencjalny mój akumulator.
— No, a gdybym wrzasnęła, że mnie porwano?
— Ha, spróbuj, kochanie
— Jak pomyślę o potencjale, to nie mogę wydobyć głosu ze ściśniętego łąkiem gardła.

Baśka ze strachu nie chciała wyjść z samochodu. Opiekun czy Albin wyciągnął ją z mercedesa i trzymając czule za rękę przeprowadził przez mrok, po czym wepchnął do domku. Marek z Jolką zatrzasnęli drzwi i natychmiast zniknęli w drugim pokoju.
Powiało chłodem, gdyż maj był taki listopadowy.
— Zimno mi — rzekła uczennica, szcękając zębami.
— Mnie również, kochanie — powiedział Albin i legł w ubranu na campingowym tap-

Baśka nie podzieliła jego zachwytu, ponieważ zamiast przyjemności doznała bólu. Znużony i zdeglustowany Albin poszedł do łazienki. Kiedy opuścił ją, udała się tam Barbara, aby umyć zdemolowaną twarz i partię niskie. Ablucja przywróciła jej przytomność umysłu. Gestem dumnej, zhańbionej kobiety pokazała Albinowi legitymację szkolną, aby się przekonał, co uczynił nieszczęśliwy.
— Znęcałeś się nad dzie-

10. Po przeprowadzonych badaniach i wielogodzinny snie uczennica przyszła trochę do siebie. Coś jej się przypominało...
— Mam — szepcze — ja coś wiem...
— Mam nie ma, córeczko — odpowiadał tata.
— A co się z nią stało?
— Wyjechała...
— Ojciec nie chciał jej powiedzieć, że matka, ta specjalistka od psychologii, załamała się psychicznie i trzeba było wezwać pogotowie.
— Szkoda — mówi Barbara — bo pamiętam, że w kawiarni Albin zapisał mi na serwetce numer swojego telefonu.
— Gdzie ta serwetka?
— Chyba w torebce...
— Ojciec znalazł kartkę, wykreślił numer i powiedział:
— Pani, ja pana zabije.
— Za co? — zdumiał się facet z tamtej strony.
— Pan zgwałcił moją córkę! — wrzasnęła nieszczęśliwa emeryt.
— A ja myślę, że pan ma drżączkę majaczeniową — stwierdził mężczyzna i odłożył słuchawkę.
Rozsierdzony tata zadzwonił za godzinę ponownie. Tym razem telefon odebrała starsza kobieta. Usłysawszy, czego dopuścił się jej syn, oświadczyła, że to niemożliwe, i na tym zakończyła rozmowę.
Za trzecim razem zgłosił się sam Albin. Nie próbował wykreślać się słanem. Powiedział, że wieczorem złoży wizytę w domu Basii.
Ale nie przyjechał ani wieczorem, ani nazajutrz.
Jednakże dzięki numerowi telefonu na serwetce milicja szybko ustaliła, że facet nazywa się Albin S. i posiada mercedesa nr. rej. LDG 6621. Osobnik o tym nazwisku w noc gwałtu zameldowany był w domku nr 3 na campingu w turystycznej gminie Andrespol. Prawie wszystko się zgadzało, z wyjątkiem tego, że Albin S. miał żonę, pięcioletnią córeczkę i był szewcem prowadzącym pracownię obuwniczą damskiego lekkiego.
Oskarżony został o to, że w nocy z 16 na 17 maja 1984 r. w domku na terenie gm. Andrespol przemocą polegającą na uderzeniu rękoma po twarzy, wykreśaniu rąk, zdejmowaniu siły i zrywaniu odzieży oraz kneblowaniu ust i rozuwaniu siły nóg doprowadził Barbarę K. do poddania się czynowi nierządному, tj. o czyn z art. 168, par. 1 kk.



Rys. Janusz Szymborski-Glanc

No i Baśka szeptała tylko cicho: „do domu, do mamy”, trzymając zarazem za rękę swego Albina, co ten przyjmował jako dowód wierności, zaufania i chęci pozostania z nim Basii na zawsze, aż do grobowej deski. Tak się ścisli, że w końcu nie można było rozpoznać, kto kogo trzyma za rękę, bo jak Baśka poszła do toalety, to Albin również się tam znalazł, trzymany lub trzymający za rękę, cholera wie. Odnosiło się wrażenie, że piękny milioner tak silnie dziewczęcej cnoty.
W końcu Albin uległ namowom Barbary i pojechali do Łodzi. Ale gdzieś na Chojnach nawalił układ sterowniczy i auto smygnęło nagle w boczną drogę. Baśka całkowicie straciła orientację, gdzie jąda. A gdy się ocknęła, stwierdziła, że stoja na campingu. Maks z Jolką i z Markiem poszli do jakiejś portierni, Albin zaś trzymał Basie za rękę i szeptał nabożnie, iż kocha ją szalenie, ale nie jest wariatem, toteż z tej miłości nic jej złego nie zrobi. Ale ta nie uswiadomiła chemika dopiero teraz zaczę-

czanie.
Z drugiego pokoju dochodziły dźwięki przypominające walkę karateków na zwolnionych obrótach.
— Rozgrzewają się — stwierdził w zadumie Albin. — Położ się koło mnie, Basiu, to będzie ci ciepło.
Dziewczyna przytuliła się, owszem, ale do ściany. Wtedy Albin strzelił jej na rozgrzewkę dwa razy w pośladek, tak że się oderwała od ściany. Ponieważ próbowała wrzeszczeć, milioner zamknął jej usta strzałem na odlew. Zachwiała się i upadła tak nieszcześnie na tapczan, że rozbiła sobie o coś wargę. Usta miała we krwi, a w głowie karuzela. Na chwilę karuzela zacięła się i wtedy Baśka chciała wysiąść, ale drzwi były zamknięte na klucz, który Albin przeczornie ukrył pod dywanikiem. Kiedy Baśka rzuciła się do drzwi, dostała dwa szerokie sierpowe, które ją oszłomiły na dobre. Naten-czas Albin wykreślił jej rece do tyłu, zdjął jej buty, a potem spódnice, wylamując przy okazji zamek. Ale ona nawet tego nie czuła...

9. — rzekła — która nie ma jeszcze osiemnastu lat. Sądziła, iż Albin pojmie, że może go to drogo kosztować, ale na milionerze nie zrobiło to żadnego wrażenia. W samochodzie, gdy już wszyscy wsiadli, Baśka oznajmiła, że powie o wszystkim rodzicom.
— Jeżeli ci życie miłe — stwierdził łagodnie Albin — to powiesz mamie, żeś była na dyskotocie.
Potem wysadził ją z galanterią na ulicy odległej od miejsc zamieszkania o niecałe pół kilometra.
Zjawila się o czwartej nad ranem. Rodzice uznali zgodnie, że marnotrawna znajduje się w stanie opisanym. To znaczy ona płakała, oni zaś płakali nad nią. Miała siniec pod okiem i rozbitą dolną wargę. Wyrwany zamek w spodniach świadczył o włamaniu, po którym każda nieszczęśliwa traci naj-

Panie wiesz, cały czas czuwałem...
— Powtarzam: był pan pijany.
— Po czym, panie wiesz, po ćwiartce?
— Nie wiem ile tego było, fakt jest faktem: nie pan nie widział ani niczego nie słyszał. A przecież pod drzwiami portierni włamywacze oddali kilka strzałów.
— Panie wiesz, pomyślmy spokojnie. Gdybym nawet się zdrzemnął, to przecież pies by zareagował, nie? A pies nic, leżał spokojnie.
— Panie N., przyznaj się pan, może pies także ździebko wypił, może dał mu pan dla towarzysztwa? Wiemy, że ani pan, ani pies nie zareagowaliście na strzały, spaliliście twardo obok siebie na podłodze...

Tak, portier pilnujący Spółdzielczego Klubu Sportowego „Społem” mieszkającego się w Łodzi przy ulicy Północnej 36 tej nocy spał wyjątkowo twardo. Spał także jego pies. A w budynku, ściślej w magazynie broni sportowej w tym czasie wyważano drzwi, pilnowano klódkę, odgiano białe zabezpieczającą, płańdowano bezceremonialnie, a potem — już dla hecy, dla wyglądu — pod drzwiami portierni oddano osiem strzałów z pistoletu.

W śledztwie portier Władysław N. powie dział do protokołu, że owszem, zabrał ze sobą na służbę ćwiartkę wódki, bo lubi sobie wypić podczas nocnego czuwania. Wypił ją około 3.30, kiedy dokonał obchodu. Tego dnia, a właściwie nocy, nie słyszał ani nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Pracę ma spokojną, miejsce też, bo tuż obok szpitala MSW. Zarabia 12 tys. zł., a praca nie należy do uciążliwych.

Wynik badania krwi na zawartość alkoholu wykazał, że jest go u Władysława N. 0,37 promille.

PIERWSZE USTALENIA

„...w dniu dzisiejszym ok. godz. 6.30... udałem się... do SKS „Społem” w Łodzi przy ul. Północnej 36, gdzie dokonano włamania do magazynu broni sportowej skąd skradziono amunicję oraz pistolety sportowe. Na miejscu zdarzenia zastaliśmy pełniącego służbę portiera Władysława N. W/w pełnił służbę od godz. 14.00 dnia 28.09. br. do godz. 8.00 dnia 29.09. br.”

Portier twierdził od początku, że ostatniego obchodu dokonał około godziny 24.00, ale nie podejrzanego nie stwierdził. Na portierni znajduje się specjalna książka służby, do której portierzy mają obowiązek wpisywać każdy obchód. Tego obchodu Władysław N. nie wpisał, twierdząc, że zapomniał. A może obchodu wcale nie było? Może właśnie popijał w towarzystwie psa? Rzecz nie do sprawdzenia.

Ponownie — jak twierdzi — ruszył na obchód około 4.15 i wówczas ku swemu przerażeniu zauważył, że ktoś się włamał do obiektu. Pobiegnął do telefonu, ale okazało się, że jest głuchy, jakby wyłączony. Dopiero około 5.00, kiedy się całkiem rozwidniało, udał się do szpitala MSW i stamtąd powiadomił milicję.

W magazynku broni sportowej jest zainstalowany system alarmowy. Właznik i wyłącznik są na portierni. Władysław N. twierdził, że system był wyłączony i nikt go nie wyłączał. Ale jego słowa mijają się z prawdą, przy sprawdzaniu okazało się, że system alarmowy był wyłączony wyłącznikiem na portierni. A więc, zachodzi podejrzenie, że nikt go na noc nie włączył. Milicjanci sprawdzili jego działanie. Okazało się, że jest sprawny, ale dzwonienie jest nikłe, jakby gdzieś chrobotala mysz. Po zbadaniu okazało się, że na grzybku dzwonka ktoś umieścił przedwódek doprowadzający napięcie do systemu alarmowego. Po usunięciu przewodu — system zaczął działać normalnie.

Oprócz samego włamania, które było ewidentne, milicjantów zdziwiło zachowanie się portiera. Był wyraźnie podpiity, choć zaprzeczał jakoby pił wódkę podczas służby. W tej sytuacji pobrano u niego krew do badania na zawartość alkoholu. Dopiero wówczas powiedział o tej ćwiartce i o tym, że lubi sobie wypić w czasie służby.

Drobiazgowo oględziny miejsca włamania pozwoliły na odtworzenie całego zajścia.

„Na podstawie przeprowadzonych czynności ustalono, iż portiernia znajduje się w tym samym budynku co magazyn broni, lecz w przeciwnym końcu. Jest oddalona od niego halą sportową o długości ok. 40 m. Wejście do magazynku jest usytuowane w ścianie północnej hali, a portiernia w ścianie południowej. Do magazynku wchodzi się przez podwójne drzwi zabezpieczone systemem alarmowym. Za drzwiami tymi znajduje się korytarz o dł. ok. 4 m. Po prawej stronie korytarza znajdują się podwójne drzwi obite blachą, również zabezpieczone systemem alarmowym, za którymi znajduje się właściwy magazyn broni. Pierwsze drzwi wyważono prawdopodobnie łomem. Drugie drzwi otworzono po uprzednim nadpłynianiu i ukreśnieniu klódek. Wyłącznik systemu alarmowego jest sprawny. Drzwi do właściwego magazynu obite są blachą, która jest rozzerwana i odgięta. Przewody z przełącznika alarmowego są wyrwane. W magazynie znajduje się broń sportowa palna, krótka i długa porozrzucana w nieładzie... W wyniku wstępnych ustaleń stwierdzono, że prawdopodobnie dokonano kradzieży następujących pistoletów...”

Tu następuje wyliczenie, typ i rodzaj skradzionej broni, choć bez dokładnego remanentu — sporo broni jest u sportowców w domu — ad hoc nie da się ustalić rzeczywistych braków. Ale to jest już drobiazgi, kwestia najbliższych godzin.

Natychmiast puszczono psa tropiącego. Pies „podjął ślad”. Milicjanci idący za psem odnaleźli jeden pistolet i dwa wyciory. Niestety, ślad wkrótce się urwał. Na jego trasie były przecież ulice: Źródłowa, Dwernickiego, Północna, Wierzbowa... Pies doprowadził do kanału biegnącego pod parkiem 19 Stycznia. W jego wylocie natrafiono na dwie torby podróżne z zawartością oprzyrządowania do broni i amunicji, wyciorami, ubiorami sportowymi, a także natrafiono na 5 sztuk broni długiej i 4 sztuki broni krótkiej. A gdzie reszta, skoro według prowizorycznych obliczeń włamywacze zabrali około 20 sztuk karabinów i pistoletów?

ALARM

Odpowiednie służby milicyjne zostały postawione w stan alarmu. Nie wiadomo przecież kto jest w posiadaniu skradzionej broni ani jaki zamierza zrobić z niej użytek. A jeśli ma ją jakiś furia? A jeśli jest ona w rękach recydywisty-mordercy? W Dzielnicowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych Łódź-Bałuty wrzalo jak w przysłowiowym ulu. Czas był sprzymierzeńcem włamywaczy. Każda minuta mogła kosztować czyjeś życie.

I oto jest pierwszy sygnał: dzwoni mieszkaniec z ulicy Lubeckiego, że właśnie dzisiaj rano, tak około piątej, słyszał strzały w okolicy cmentarza na Dołach. Było tych strzałów z dziesięć, w tym seria...

Jest dzień 29.09.1984 r., a więc zaledwie kilka godzin od momentu włamania do SKS „Społem”.

Radiowozy, które udały się na Doły, niczego

EUGENIUSZ IWANICKI

Śmierć przeszła obok

nie mogą stwierdzić, ani nie znajdują nikogo z bronią.

Tegoż samego dnia przychodzi drugi sygnał, już poważniejszy: telefonuje właściciel krowy mieszkający w okolicy Zajazdu Na Rogach i informuje, że nieznanemu sprawcy postrzelili mu krowę pasącą się na łące. Jest zrozpaczony, bo zwierzę cierpi i trzeba je będzie chyba odstawić do rzeźni.

Urywek z notatki służbowej: „W dniu dzisiejszym (chodzi o dzień 29.09.1984 r. — przypis E.L.)... udaliśmy się do Zajazdu Na Rogach gdzie miał oczekiwać mężczyzna, któremu w dniu dzisiejszym n/n sprawcy postrzelili pasącą się krowę na ulicy Rogowskiej 30. Udał się pod wskazany adres. Na miejscu, po zorientowaniu się w sytuacji i ustaleniu rysopisu sprawców, którzy strzelali z krótkiej broni, usłyszeliśmy strzały dochodzące z pobliskiego lasu. Były to strzały pojedyncze. Natychmiast udaliśmy się w kierunku skąd dochodziły strzały. Jednocześnie przez radiostację powiadomiliśmy dyżurnego o przysłaniu pomocy celem przeczesania terenu.

Czesaliśmy las w kierunku ulicy Wycieczkowej, a następnie dalej ulicą Kasztelańską i Żużką. Po około godzinie sprawcy zostali zatrzymani przez funkcjonariuszy biorących udział w pościgu.”

Była godzina 16.00 dnia 29.09.1984 r. Wydawać by się mogło, że dzięki błyskawicznej akcji zdołano zapobiec tragedii lub tragediom. Niestety, przy zatrzymanych były jedynie dwa pistolety i amunicja. A reszta? Twierdzą, że kilka sztuk broni podarowali kolegom, by ci mogli sobie postrzelać. A więc alarm trwa nadal!

Kim są zatrzymani? Dariusz P. rocznik 1968, ułomny, posiadający III grupę inwalidzką, uczeń szkoły specjalnej, gdzie powtarzał kilka klas, Mariusz S. rocznik 1966, kuzyn Dariusza znany milicji jako złodziej i rozbójnik. Już jako nieletni często uciekał z domu, nie chciał się uczyć, a praca go nudziła i nie dawała możli-

wości na życie beztrudne i łatwe. Broń miała urzeczywistnić marzenia o bogactwie, luksusie i sile.

Jak wspominałem, pierwsze strzały oddał przed portiernią SKS „Społem”. Potem strzelali gdzie się dało i do czego się dało: w powietrze, do drzew, do tablic z nazwą ulicy, do pasących się krow, wreszcie do ścigających ich milicjantów, a także do przygodnych mężczyzn, którzy usiłowali odebrać im broń. Popisywali się przed młodszymi, nie zastanawiając się, że każdy strzał mógł skończyć czyjeś życie. Oto zeznania ucznia VI klasy szkoły podstawowej Konrada Krzysztofa K.: „...o godzinie 14.00 przyjechał na podwórkę mój brat Arkadiusz lat 14. Przyjechał rowerem. Powiedział do mnie, że dwóch strzela z pistoletu i postrzelili krowę. Razem z Arkim przyjechał jego kolega Paweł... Ja byłem na podwórku z kolegą Mariuszem... Postanowiliśmy zobaczyć co się stało... Biegając zobaczyłem dwóch chłopców, którzy wchodzili na górę, znajdującą się obok łąki. Dobiegliśmy do krowy i zobaczyliśmy, że krowa jest ranna. Z obydwo boków uciekała jej krew.” Dalej Konrad mówi, że tamci dwaj, których w

niezdy i godziwą rozrywką. Zresztą ów Rysiek miał fantazję. Na pętlę tramwajowej przy al. Wióknarzy i Obr. Stalingradu upatrzyli podbitego mężczyznę. Rzucili się nań, skopali, sflekowali i gdy nie dawał znaku życia — obrabowali. Pieniądzy mieli sporo, odwiedzali restaurację. Ale najwięcej włożyli się z jednego końca Łodzi na drugi. Mariusz S. popisywał się przed kompaniami swoją odwagą i sprytem, chciał imponować.

— Widzicie tę kobietę? — pytał.

— Ehe.

— A chcecie mieć jej torebkę?

— Mowa.

Podbiegał, szarpał, wrywał i zostawiając za sobą krzyk obrabowanego, pedził w jakąś bramę, gnał przez podwórkę, chronił się w umówionym miejscu. Pieniądzy zabierał, dokumenty wyrzucał. Najlepiej trafił, mówi, obok Radiostacji. Kobięcina była niepozorna, ale miała przy sobie 3 tys. złotych, 2 dolary USA i 15 marek RFN. To już było coś, początek wielkiej fortuny, którą miał wkrótce zdobyć.

Wkrótce ów Rysiek od nich odłączył, zresztą dzielił zdobycz na trzy części to nie to samo co na dwie.

Plan włamania się do magazynku broni SKS „Społem” mieli już opracowany, teraz trzeba było tylko czekać nocy. Ważali się więc po ulicach, snuli plany na przyszłość, czuli się wspaniale i wiedzieli, że za kilka godzin staną się kimś, jak ci z gangsterskich filmów.

WŁAMANIE

Około północy znaleźli się przed Spółdzielczym Klubem Sportowym „Społem”. Zajrzeli do portierni: portier spał. Pies także. Przecieli druty telefoniczne, podważyli łomem drzwi, przepielowali klódkę. Wystraszyli się dopiero systemu alarmowego. Myśleli, że właśnie gdzieś tam jazgoczą dzwoni i ludzie w mundurach białą na ich kierunku. Postuchajmy jak o całej akcji mówi Mariusz S.

„Przed sforsowaniem pancernych drzwi zobaczyliśmy system alarmowy w lewym górnym rogu za drzwiami drewnianymi, które były zabezpieczone na jeden zamek. Przeszliśmy się i uciekliśmy na tor kolarski. Myśleliśmy, iż system alarmowy działał i obudził portiera.

Siedzieliśmy na ławce przy torze kolarskim i obserwowaliśmy portiera. Portier leżał na podłodze, obok było przewrócone krzesło, a pies leżał nawet nie szczełając. Pierwszy raz gdy widziałem portiera spał on siedząc przy stole. Teraz leżał na podłodze, pomyślałem sobie, że coś mu się stało, ale poruszyłem się. Widząc, że portier śpi, poszliśmy ponownie do magazynu broni.”

Już teraz nie zachowywali się ze zbytnią ostrożnością. Broni było sporo, ponad sto sztuk. Część ładowali do toreb podróżnych, inne zwyczajnie zwalali na podłogę. Jak później ustalono, zabrali 8 karabinków (typu: „Ural” i „Suhl”) i 12 pistoletów (typu: „Margolin” szybkostrzałowy i „TOZ”). Do tego amunicję (i to sporo), kurtkę, spodnie, buty, rakawice, przyrządy celownicze, dresy, trampki itp. W sumie szkody wyrządzone przez włamywaczy (doliczyć należy przecież uszkodzone drzwi, klódkę, instalację elektryczną) wynoszą 332.880 zł.

A tak na marginesie: a szkody za dwie postrzelone krowy? Za przeszczerzone okno w jednym z bloków? Za zniszczone znaki drogowe i tablice z nazwami ulic? Ze nie wspomnę o obrabowanych kobietach, o przedmiotach zabranych ze strzelnicy na Zdrowiu i uszkodzonych zabezpieczeniach na stadionie „Orla”. Wszystko to zaledwie w ciągu czterech dni „działalności”.

Obładowani bronią wyszli na zewnątrz i postanowili obudzić śpiącego portiera. Ot, szczeniacka zachcianka! Ale portier spał twardo. Pies także.

„Widząc, że portier śpi, postanowiłem obudzić go. Załadowałem osiem pocisków do magazynka i przed portiernią zacząłem strzelać. Portier przewrócił się na drugi bok i spał dalej. Pies podniósł głowę i spał nadal.”

Nie było więc sensu droczyć się ze śpiacymi. Noc chyliła się ku końcowi i należało zrobić lepszy użytek z broni niż strzelać na wiawat obok jakiejś tam portierni.

NIEBEZPIECZNE ZABAWY

Zatrzymali taksówkę i kazali zawieźć się na ulicę Telefoniczną. Ale kierowca nie chciał zagłębiać się w ciemną ulicę, wysadził ich zaraz na początku. Po prostu powiedział, że się boi. Tylko się uśmiechnęli.

Gdy wyszli, zaraz zaczęli strzelać na wiawat. „W czasie strzelania pistolet zaczął mi się. Zaczęłam manipulować w lufie, w pewnej chwili. Darek idący obok mnie potknął się i trafił mnie ramieniem, wtedy pistolet wypalił i pocisk zranił Darka w klatkę piersiową. Przeszłam się. Dałem mu bandaż, który zabrałem z magazynu broni „Społem”, przyłożył sobie do rany.”

Rana nie była groźna i następnego dnia znow strzelali na wiawat. Potem pojechali autobusem linią 60 „Na Rogi” i na łące zaczęli strzelać do krowy, „bo chciałem, żeby sobie pobiegała”. Darek strzelał do drugiej krowy. Właściwie strzelał w jej ucho, ale nie wiadomo czy trafił.

Strzelali do wszystkiego co im się napotykało. Kiedy dwaj mężczyźni usiłowali odebrać im broń, Mariusz S. dwukrotnie strzelił do jednego z nich ukrytego za krzakiem, ale nie trafił. Później, kiedy już ruszyła na nich obława, pięciokrotnie wystrzelił do biegnącego milicjanta. Na szczęście chybił.

Na pytanie, po co chciał mieć broń, odpowiedział: „broń była nam potrzebna, gdyż zaplanowaliśmy dokonać napadu na sklep „Pewexu” przy ulicy Marynarskiej. Chcieliśmy sterroryzować pistoletami sprzedawczynię, a właściwie kasierkę.”

Na szczęście polskie riffiti nie dążyło do skutku.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

I bez szopki jest wesoło!

Jak zaraz się okaże, powyższy tytuł jest absolutnie nieprawdziwy. Czytelnik ma prawo być wszakże zaskoczonym. No, bo to już luty, a „Odgłosy” publikują noworoczną szopkę. I na dodatek komentarz do tej szopki opatrzą nieprawdziwym tytułem, do czego się same przyznają. Wyjaśnijmy więc wszystko po kolei.

Dlaczego noworoczna szopka dopiero w lutym?

Przygotowywano ją oczywiście na Nowy Rok, na początek stycznia 1985 roku. Szopkę zamierzała wystawić „Estrada”. Wiesław Machejko napisał tekst, Stanisław Ibis-Gratkowski zaprojektował

lalki. Wszystko wydawało się gotowe. Szukano kompozytora i wykonawców. Zaczęto też liczyć. Okazało się, że według obowiązujących cen lalki będą kosztowały 400.000 zł. Do tego należy dodać honoraria dla wykonawców, autora i kompozytora oraz inne koszty. Podliczono i... zrezygnowano. Interes okazał się nie być interesem. „Estrada” uznała, że nie stać jej na taki wydatek, kiedy nie ma pewności, czy widzowie będą waliłi drzwiami i oknami, pod kasą będą stały kolejki i wydatki zwróca się.

Dlaczego drukujemy tekst szopki? Zaproponował go nam autor, Wiesław Machejko. Zaproponował dopiero teraz. Tekst szopki wy-

dał się nam interesujący i warto go spopularyzować wśród Czytelników „Odgłosów”. Całości nie mogliśmy wydrukować ze względów technicznych. Zbyt to obszerny tekst. Dokonałiśmy wyboru. Ale zapewniamy Czytelników, że wybraliśmy lepsze fragmenty szopki. Resztę można sobie darować!

Dlaczego tytuł jest nieprawdziwy? No, powiedzmy, przekorny. Ano, dlatego, że wcale nie jest wesoło, skoro nie ma możliwości wystawienia szopki noworocznej i trzeba zamiast tego zadowalać się drukiem. Do Krakowa — jak wieść gminna niesie — wożą warszawiaków autokarami tylko po to, aby obejrzeć tamtejszą szopkę. Do Łodzi przecież bliżej. A czy my gorsi?

Nie stać nas jednak na takie ryzyko.

Jest się więc z czego cieszyć? Nie jest więc wcale bez szopki wesoło. Oj nie! I dlatego tytuł był przekorny!

ZENON POROWATY

Prolog — przed kurtyną. Pasterze idący do szopki (Spiewają na melodię „Pójdźmy wszyscy do stajenki!”)

Pójdźmy wszyscy do stajenki
Do Jezusa i panienki.
Łódzka na nas czeka szopka
Gdzie Polaka — Polak spotka.

Ci tu przyjdą co się lubią,
Co się czubią, co się skubią.
Drugiej takiej szopki w świecie
I ze świecą nie znajdziecie!

Szopka

WIESŁAW MACHEJKO

Od Chicago do Opola.
Wiwat szopka made in Poland! (bis)
PASTERZE:
— Gadają, że od planów gospodarczych doceni Twierdzą, że nowa szopka lepsza o sześć procent będzie od zeszłorocznej: wyższe dechy, siano strzechy suta, krów świętych osiołków dostano.
— Więc znowu wraca nowe? Powoli do Żłobka Ten i ów wraca cicho. W telewizji spotkać Można już G. Holoubka, jest Olbrychski Daniel (szczerze mówiąc pod Maura ukrył się przebraniem) Na czaiwo się maskował... Grał przeciw Makbeta... — A może się zaczyna jakiś nowy etap? Do szopki! Nie zwlekajmy! Gwiazdka drogę wskazała — Pójdźmy ekipą nową! Naprzód luminarze!

(Spiewają)

Pójdźmy wszyscy do stajenki
Do Jezusa i panienki
Czeka na nas nowa szopka
Gdzie Polaka Polak spotka!
Od Chicago do Opola
Wiwat szopka made in Poland!

PASTERZE:
— Dawniej to szło się prosto...
— A dziś droga kręci.
— Co dzień znaki zmieniają nasi decydenci.
— Ale kierunek słuszny. Do przodu iść trzeba!
— Potem jednym do piekła, a innym do nieba,
— Każdemu według zasług! Nie odjąć, nie dodać!
— Do szopki, hej pasterze — jedna wspólna droga?
— Wspólna?! Tu droga znaczy polityka.
— Jedyną drogą przez Jałtę, innym przez Watykan!
— A jedno co nam wspólne — to ta szopka-bida
— No i ten Jezusiek co go Maria wydała!
— Zatem spieszymy gdzie gwiazdka błyska nam nadzieja
— Gdzie się zwyczajne sprawy w noc niezwykła dzieją!
— Cuda! Były i będą. Już to nosem czuje...
— Bez cudów, mój grubasie, nie tu nie zwojujesz!
— Ja tylko chcę do żłobka. Blisko przy nim stanąć!
— Nie tylko ty grubasie, wielu chce tak samo
— Nie społeczny komitet, zapisy, skreślanie,
— Tu naszymi własnymi tegie przepychanie!
— No to idziemy kumle, innej drogi ni ma
— Nie sztuka na żłób trafić — sztuka się go trzymać...

(Spiewają)

Maszerujemy do stajenki,
Do Jezuska i Panienki...
MARIA:
Witajcie nam, witajcie, pastuszkowie miłi
Coście z różnych stron kraju do szopki przybyli.

PASTERZE:
— Witajcie nam panienko! Czy dzieciątka zdrowe?
MARIA:
— Ogólnie biorąc zdrowe jest, ale w połowie...

PASTERZE:
— Właśnie słyszę, że kwili Jezus malusienki...
MARIA:
— Płacze z zira, ni dostała matusia sukienki
PASTERZE:
— Co na to przemysł lekki! Zlecenia rządowe? Jakieś medopatrzenie i luki rynkowe...
MARIA:
— Miały być priorytety, mieszkania, wygody i kredyty dla m.m. czyli małżeństw młodych...
JÓZEF:
Zajeżdżają na parking różni oficjele
Nie wszyscy, bowiem zajęć różnych mają wiele.
MARIA:
— Czy przybędą królowie?
JÓZEF:
— Nigdy nie wiadomo.
MARIA:
— Mirra, zioto, kadziko — to byłaby pomoc!
PASTERZE:
— Najlepiej jest jeszcze z dymami kadzidel.
JERZY URBAN:
— Nie wykluczam, że w kadzidlach tak się jeszcze dzieje



Ale rząd robi wszystko i ambre rozwije
Więc ad Rem — proszę państwa — niech Was nie zaskoczy
Gdy już nie dym lecz prawda będzie gryzia w oczy!

Spośród harcowników wielu
Jam najpierwszy w PRL-u,
Gdy pojawił się opinia,
Ze nie taka rzadu linia.
Ja na pierwszą skacze linie,
By rozdeptać tę opizne.
Mych kolegów strach przenika,
Więc się chrońna za rzeźnika
Nie chcą stracić publiczności:
Niech już Urban będzie bity,
Bity z drawa, z lewa bity
Przez agencje prohibity.
Gdy na gorsze jakaś zmiana —
Komunikat to Urbana!
Czy ja jestem kamienicznik
I podniosłem czynszów licznik?
Czy ja wymyśliłem koleje
By z podwyżek brać na olej?
Piekłem co nie chrupia bułki
Czy ja kręcę film na półki?
Ktoś to robi, ktoś to kłec!
A ćwikierkiem Urban świecił
W „Interpressu” spedał sali
Zagranicznych stu szakali
Co jak sępy, sowy, kruki
Rozszarują mnie na sztuki
Sześć mo’ w świecie z Kubankami
A ja jestem nagrywany.
Całe zaś niecheci odium
Się na moim skupia podium.
Potem „Ameryki Głosy”
Mnie szkalują pod niebiosa,
(Choć ja tak się umiem wypląć.
By im brzydka łatka orzypiąć)
Grzesio Woźniak da się lubić
A ja wciąż się muszę czubić?

(Spiewa)

W końcu ojciec do swej Basi
powie zasromany
Popatrz Basiu jak to nasi
Bija znów Urbany...

KARDYNAŁ JÓZEF GLEMP (spiewa na melodię „Chwalcie łaki umajone”)

Chwalcie łaki umajone,
Kościoły słicznie wznoszone,
I niedziejne msze radiowe
I pielgrzymki dolarowe!

Jana Pawła odwiedziły,
Także wszyscy pochwalimy.
Kiedyś znów przyjedzie może,
Chwalcmy, że jest nie najgorzej.
Chwalcmy wszak nietatwy zgoła,
Dialog Państwa i Kościoła
Chwalcmy, pośród różnic mnóstwa,
Wspólny ideał — ubóstwa...
Chwalcmy, KC, chwalcmy PRON-y
I general — pochwalony,
Chwalcmy wszystkich, bowiem w cenie
W Polsce zawsze jest chwaleń!

PAPIEŻ:
— Pochwalony! I cóż tam miły kardynale,
Z ta rolą fundacją idzie wam ospale...
J. GLEMP:
Miałem dostać miliardy — zmalały w miliony,
Lecz niech będzie i za to papież pochwalony.
Ja z pokorą to przyjmuję co mi teraz burczy:
Ale cosik zachodnia ofiarności się kurczy...
PAPIEŻ:
— Módlmy się o azotniak, o superfosfaty,
J. GLEMP:
— O wiel. sadzeniaki, „Ursusy” na raty
PAPIEŻ:
— O widły i gumki, suszarki, parniki
J. GLEMP:
— I sznupek do wiązałek, lemiesz, siewniki
PAPIEŻ:
— Gdy Pan już prób wysłucha — cud pewnie stanie się
J. GLEMP:
— I wszystko będzie wreszcie w państwowym GESIE!

PAPIEŻ:
— Tak to z rolą fundacją w miejscu rde stojmy
Z wesoła więc piosneczka dalej w świat ruszymy...

J. GLEMP:
Ciągle w drodze. Nielekka papieska posada!
PAPIEŻ:
Świat ciągle na wulkanie. Ten strzela, ten biada,

Wzywam więc do pokoju. Gasze, gdzie się pali
I Kościół usiłuje wbudować w socjalizm...
J. GLEMP:
A wlecz wem?

PAPIEŻ:
— Wlecz wem, serce tęsknie bo!

I chciałbym do was przysnąć, lecz mnie Cassaroll

Pilnuje. I się ciągle mym pragnieniom dziwi...

J. GLEMP:
Jest przy Ojcu nasz człowiek, nie Kłosa, ale Dziwisz

A ten już skończy i niejedną rację
By służbowa do nas Ojcu dał delegację...

PAPIEŻ:
Delegacje do mnie wala. Drzwiami i oknami!
Był właśnie Malinowski — przemily poganin...

WOJCIECH JARUZELSKI:
— Witajcie kardynale!

J. GLEMP:
— Mówia, że... towarzysze...



W. JARUZELSKI:
— W części episkopatu. Na nas się nie sparszysz
(Spiewa na melodię „Raz Czerwony Kapturek”)

Nas nie wzruszy bajeczka
I ty co płyną ciurkiem
Co się kryje to się wie
Po Czerwonym Kapturkiem... (bis)

W. JARUZELSKI:
— Zaczynam od bajeczki, w której ważny moral:
Się Czerwony Kapturek ze złym wilkiem uporał
(Spiewa na melodię: „Tam na bioniu bliższy kwiecie”)

Choć mnie podszczypują w świecie
Czujnie stoje na widęcie.
Wspieram się o Honeckera
i Kadara też.
Słó, szalona opozycji!
Nie denerwuj się mińcio!
Jeszcze chwilką, za lat kilka
Kryzys pójdzie stąd!

(Spiewa na melodię „Takiemu to dobrze”)

Gdy mi wręcili tekę premiera
Mówiąc karia ci się otwiera
Nie przypuszczałem, że funkcja nowa
Będzie trudniejsza niż gra sztabowa

Ze tu sam rozkaz nie wszystko znaczy
Ze Sejm i KC — mogą inaczej
Nie wszyscy lubią stawać na baczność
A czasem nawet dyskusje zaczyna...
Refren:
Lecz nie jest niedobrze!
Nie jest niedobrze!
Bariera się teraz otwiera!

II
Moje pamiętne w Sejmie expose
Tu buzi respekt, tam znowu grozę
A ja się jednym rzadze postłodem:
Co żołnierz ma mieć? Ma mieć porządek!

Wojska zwierzchnika
T zecia posade — dostałem, czwartej
Tez dałbym radę
Zobierz gdy dobrze jest wyszkolony
Gdy trzeba — może gadać z ambony...

Refren:
I nie jest niedobrze! Nie jest niedobrze!
Bariera się nieraz otwiera!

JÓZEF:
A po tych dzmarskich nutkach
Posłuchał ballady
Obywatele, który zeszedł był na dziady,
Niejedn tutaj bowiem w starych rent portfelach
Pieniądzy mało-wiele mają, lecz refleksji wiele...

DZIADEK:
Pieknie rozwija się elektronika
Na krótkich falach świat do nas przelika
Ale się tego i w tym cała biada — załuszyć nie da.
U nas — jak dawniej — psychiczna higiena —
Ma czegoś nie być — no to tego nie ma
Wkrąg pemo dymu — „ogień znaleźć sztuka.
Niech głupi szuka...

A tu wieczorem wszyscy zasiadają
Co było w Polsce — z Paryża słuchają.
Dziadek też słucha z rana i z wieczora
Bo ma „Radmorę”.

Zaden zaś działacz spokojnie zaśnie
Nie pozbawiając na fal krótkich paśmie.
Aż się z Londynu czy New Yorku dowie
Co jutro powie...

Różne przepięgi mają i maniery
Kevin z BBC z „Figara” Marguerit,
A niezawodna z Monachium Alusia
Znowu na obslusia...

Dawniej przy szopce dziadek bywał jeden,
No, ale wtedy klepalimy biedę.
Dziś dwóch jest dziadków — rośnie dumna
krzywa

Dziadów przybywa..
MARIA:
Dziadków nam przybywa, ale i zostało
nam co nieco co by się chętnie przypominało

JÓZEF:
— Idźcie tu pan Mieczysław, redaktor przemysłowy
M.F. RAKOWSKI:
— Wolalbym ze względu na drogę przebycia
W tegorocznej być szopce nieco incognito...

(Spiewa na melodie „Mam ochotę na chwilczkę
zapomnienia”)

Mam ochotę na chwilczkę zapomnienia
Mam dosyć spotkań z opozycją, dosyć mów.
Co się ma zmienić, to bez tego też się zmienia
A na zderzenia i wzburzenia szkoda słów
KC — mój i tak wie wcześniej i o co chodził
Więc widzę jasno w chwili tej
Ze przeżyłem już swój niewąsk; epizodzik
I wrócić chciałyby do redakcji swej...
Ale...

(Na melodie „Nie oczekuję dziś nikogo”)

...czy nie okaże się natrętem,
Gdy w „Polityki” wrócę drzwi?
W me biurko Toepflitz wroził z Passentem
„Zajęte”, czy nie krzykną mi?
— A przecież, wspomnę, była taka pora
Gdy za najpierwszego był torreadora!
Ze szpada obnażoną, głuchy na przytyki
Tam gdzie mnie wystawiono — szedłem
zwalczać byki...
(Spiewa na melodie „Ballady o torreadorze” —
W. Mytnarskiego)

Ja jestem kat
Tutejszych byków
W słynnej, na świat
Szkołe uników.
Gdzie jeszcze byk
Zaryczy to
Zawaz mnie śła
Z muleta taj
Muleta wprzódi
A ja nie pekam.
Bvka za róg
Niech byk przykleka
Pod jajo gdy
Władę ci da się
No to: o-o-la-la-la-le!

JÓZEF:
Oto gospodarze Łodzi przynieśli ofiarę:
Lokietc ołotna, pieluszki i rajstopek parę,
A wszystko wbrew zakazom naszego premiera
Dystrybucji sterowanej to on nie popiera.
Choć przerytu towarów w całym kraju trwają,
Coś sobie województwa za coś wymieniają.

PASTERZE:
— Tu węgiel za kartofle, tu za rybki — gatki...
Nie wciągajmy w afere dzieciątka i matkę;
Gdyśmy tak blisko żłobu — to się nie boimy
I wdzięcznie zaspiewamy, pięknie zatańczymy.

J. NIEWIADOMSKI i T. CZECHOWICZ (Spie-
wają na melodie polki „Antek z Łodzi”)

Na Piotrkowskiej przed ratuszem
Gdzie Grand-Hotel trzeszczy w szwach
Burmistrz Józef z Tadeuszem
Tańczą polkę rech, ciach, ciach!
Tu nie staje, tam wystaje,
Konicz z końcem wiażąc trza.
To ciepłownie, to tramwaje
Stara polka, Łódź ja zna!

Refren:
Józek tu Tadeo tam
Przyjechał do Łodzi
To se zobaczyła przemysł
Co bez ludzi chodzil! (bis)

T. CZECHOWICZ:
— Tak jest. Ja w przedziałkach bez ludzi się
duszę
A w duszy jeszcze grają klasowe sojusze...
Zle z robotniczo-chłopskim już sam Gałą
Lyzma
Niespójności wytyka — do różnic się przyznał

J. NIEWIADOMSKI:
— Bo chociaż jest ten sojusz — wspólnota
klasowa
Po cztery stawy za mendeł jaj — brat chłop
se wieszował

T. CZECHOWICZ:
— A weźmy cielicinę co ja nam o świecie
Pod drzwi przynoszą wierni chłopki —
sojusznicze.
Pięćset złotych za kilo gnatków z garstka loju

MARIA:
— To ma być front klasowy? Z robotnikiem
sojusz?

JÓZEF:
— A gatk, czy rajstopy, swetry, biustonosze?
Mają bvc w wlejskich sklepach za rządowe
grosze!

PASTERZE:
— Tak! Wynika to przecież z prawa dialektyki:
Chłop ma dziś swoją ziemię, robotnik —
fabryki!

T. CZECHOWICZ:
— Zmienny temat, Józefie, bo utracę pracę
Gdy ktoś życzliwy z Łodzi doniesie do KC
Ze towarzyszył Tadeusz z szopki w mieście Łodzi
W odchylenie opadłszy w sojusz z chłopstwem
godzi!

(Spiewają)
Budownictwo nam się wali
I na handel tyśiąc skarg.
Tożmy na kark wpackował
Sobie jeszcze Rybny Targ!
Jak do Mekki do Centrum
Z końca Polskiej klient mknę,
Do przerecy czy detalu
Z Łodzi nikt nie dopcha się!

Refren:
Józek tu! Tadek tam!
Przyjechał do Łodzi
To se zobaczycie handel
Co hokiem wychodzi!

J. NIEWIADOMSKI:
Znowu Piotrkowska — promenada.
Niczym Paryż, Tokio, Rzym,
Lecz galezy klody kładą,
Nam pod nogi w dziele tym.
Odpaliłbym coś z budżetu,
Jakieś bistro, Moulin Rouge...
A w „Dzienniku”: „bez szaletu
I parkingów? Anj rusz!”

Refren:
Józek tu! Tadek tam!
Przyjechał do Łodzi.
Zebys po najdluzszej z ulic
Pieszko musiał chodzic!

T. CZECHOWICZ:
Filharmonie mamy w planie
I galerie wszelkich sztuk,
A może by tak lodzianin
Wpierz mieszkanie dostać mógł...
Mamy dworzec też Kaliski
Co PKP wieńczy szlak
Gubie tekst od spraw tych wszystkich...
Dość! Bo mnie tu trafi szlak!

Refren:
Józef tu! Tadek tam!
Przyjechał do Łodzi
To se zobaczycie kolej
Co bez dworców chodzil! (bis)

S. PIETRAS:
Piękne głosy! Na Wielkiej
Scenie już je słysze!
Połacie je z Kaczyńskim i dam na afisze!
(Niech Waldorff i Kydryński wystąpią w
apartach)

Na widowni Plisiecka przy boku Bejarta...
A gdzie miejsce dla Polyn? Oby panom —
świeczkę
A Marii, choć tajlandzką zapalę trocizkę:
(Bo Polyn to po Callas ma vocalu spadek.
Mireczek musi, kadzić na wszelki wypadek).
Nie tylko od kadziel zawirot głowy mięwam...
Jest problem: co dziś śpiewać, ale i KIM
śpiewać:

(Spiewa na melodie „Jadą wozy kolorowe”)

Jadą wozy eksportowe z tenorami
Z sopranami, altistkami i basami
Do Berlina, Filadelfii i La Scali.
Gdzie na moich już artystach się poznali.
Kto chce w cenę być na scenie w PRL,
Niech jak Zyllis-Gara stara przebiec się.
To Kiepara nie nie wskóral,
Buzził grymas bas Didura,
Floritura Ady Sari brzmiała fle...
Turaj Ocpman „w trasę” gonil,
Tu Toczyński się ogony
Przyplinalo, gdy najwyższe brała „ce”

Refren:
Ja mam wiele, i niewiele, lecz w raz sam
Oddam scenę, dam nadzieję, M-3 dam,
Może wysle na wymiane i Los Angeles dostanę
A gdy trzeba to zaśpiewać mogę sam:
Do si la fa mi do
Magistrat kochem bo,
I władze lubią mnie
Za łódzkie pas de deux!

(Spiewa dalej na melodie „Antek z „Figara”)

Brawo Pietrasie! Opery asie!
W gam pełnej krasie!
Nigdy w impasie!
Niech w dobrej passie,
Jak długo da się
W tym wielkim gra się
Teatrze Grand!

Zawsze gotowy do premier nowych,
To dla mnie będą brava crescendo,
Brava crescendo w Teatro Grand!
— Tak trzymaj Sławus! Będiesz się stara!
Kto wie, dostaniesz może Oscara?

FILMOWCY:
— Oscara? Wildca! To w twój manierze!
Oscary u nas w filmie się bierze!

(Spiewają na melodie „Siedzieliśmy jak w
knie”)

Siedziłyśmy na Łąkowej, Drapiemy się po głowie
Skąd forsę wiać panowie, na byt, byt, byt...
Sto filmów w różnych fazach w poporawkach
i montażach
„Umarłych ludzi baza” i kit...
Kręciło się piernery Bombaj i Rivieri
Sajak zdjęć przez Korzydliery wiódł i
Rzym, Rzym, Rzym
A dzisiaj nam zostaje Pcim Dolny z
Górnym Kłajem
Gdy centa już nie staje na film!
Ostatnie „półkowniki” już zeszyły do publiki
Zginęły więc koniki sprzed kas, kas, kas.
Bo z polskiej filmu szkoły zostało się
przedszkole
A jutro będzie żłobek w sam raz!
Grzebiemy się więc w seksie, w Pewexie,
na undeksie
Już w karnym jest kodeksie temat szal?
Szal, szal, szal
Nie bierze polityka i nuży fantastyka
To może erotyka niech gra?
Na różne festiwale nas zapraszają stale
Filmowe trwają gale Rzym czy Krym!
Krym, Krym, Krym
Bierzemy metraż krótki, po 4-ry litry wódkę
I nie ma nam równiutkich — choć w tym!
Siedziemy na kamerach w Toyotach
i Wranglerach
Scenariusz nie dociera, z taśmą pas, pas.
Ze starych filmów duble już nie ładują
w kube
Sa nowe tele-buble dla mas...

JÓZEF:
— Widzę tweed, świetny krawat i binokli
par...

MARIA:
— Zmierza ku nam redaktor... sam Zygmun
Broniarek

JÓZEF:
— Tu fotel, reflektorek, tu mikrofon damy
MARIA:
— Gotowe? Gra! Antena! A więc zaczynamy..
Z. BRONIAREK:

(Spiewa na melodie „Nie oczekuję dziś nikogo”)

Nie oplotkuje dziś nikogo.
Nie zairze mu go drive vie...
Choć chciałby Dziećc lub Grzybową
na warsztat wziąć z Polonia Miss...
Kto za kadrowym jest zakretem
Z góry nie może wiedzieć nikt
Co dziś dostępne, jutro święte
A ja utracę z gąza wikt...
— A oto Henrek Debich — rozrywki maestro
Do szopki zmierza z całą radiową orkiestrą.
H. DEBICH:
— Cała! Mam ją w kieszeni! Na
szesnastołladzie!
Puszczam i na estradzie gramy na podkładzie
z tasemki; co ja skleja mi Targowski Michał
I w ten sposób rozbrzmiewa... POEMAT
DEBICHA!
Choć dawniej było lepiej... Pomnę: con.
sordino
Grałem jak Mantovani lub jak Melachrino:
Gdy skrzypiec kantylena chwytala za krlań
— „Rani, Heniu!”... płynął ku mnie dyskretny
szept pań...

Z. BRONIAREK:
— „Heniu” — imię, a nazwisko markiza? Jak
słychać.
Był de Gaule, jest de Marczyk my mamy
de Fichaa...

H. DEBICH:
— Był inoże napoleońscy jacyś kirasjerzy
w Pabianicach całowali bardziej niż należy?
I choć od tego czasu lat parę zleciało
Przy „Bichu” to z markiza „de” mi się zostało
Dziś kiedy po herbarzach aktyw przodków
szuka
Lubię za francuskiego być branym prawnuka.

(Spiewa na melodie „Bogdan trzymaj się”)

Ja nie jestem Henryk Czyż,
Ja nie jestem Bernstein tyż,
Ja nie jestem... też Leoncavallem.
Z nabianickich jestem school
Nie gram w filmie głównych ról,
Za to gram ja zawsze tam gdzie festiwale!
W Kotobrzegu — krzyczą — graj
Marsze, które kocha kraj,
Graj czasuski nam w Zielonej Górze!
To do „Orfeusza” jedź,
„Bratysławską Litę” śledź
Heniu! Heniu!
— Siucream?
— Trzymaj się!
— Czy to takie proste!

II

Choć nie jestem Jasio Krentz
Jestem jak Mercedes-Benz.
Jest w orkiestrach radia jakaś ślala
Choć sie swoje lata ma
To co trzeba jeszcze gra!
Heniu! Heniu!
Lecz tymczasem pa!
— Pa! Pa! Pa! i tak to się zaczęło
Ze mnie tu na festiwal koled przyciągnęło
Do szopki Jezusowi — muzyki najmita
Przynosiem z wieloślada najnowszego hita...
Z. BRONIAREK:
— Czy to znówu będzie hit dla emeryta?
H. DEBICH:
— Pewnel Praca nad nowym hitem jest
nawzwyczaj ZMUDNA...

Z. BRONIAREK:
— ZMUDA?! Widzew, sportowe tempo się tu
wrzucić uda!

KIBICE:
(Spiewają na melodie „Niech żyje sport” —
I. Dunajewskiego)

Kto piłkarskim jest kibicem
Kocha WIDZEW, ŁKS — dobrze wie,
Ze nie starczy mu szalczek
Chorągiewka klubowa także nie...

Aby ciało tve i duch były zdrowe — kup:
Łanuch, parę śrub,
Rure, kom i drut
Na boisku lej po pysku
Legie, Pogon, Stal,
I Gornika wal i Ruch!

Mecz się dzieje, krew się leje
W zdrowym ciele, na szczęście zdrowy duch!
Gdzie ta Legia się podzieje
Jeśli bramkarz nie wpuści goli dwóch?!

Aby ciało tve i duch były zdrowe kup:
Łanuch, parę śrub... itd.
Więc w arbitra traf kamieniem
I buleki sa dobre na ten strzał,
Jak nie trafisz gada w ciemie,
To spodenki peiniutki będzie miał!

Aby ciało tve i duch były zdrowe kup:
Łanuch, parę śrub... itd.
Niech w Milicji pogotowie!
Na kolejach niech będzie sadyń dzień,
Bo wiadomo sport to zdrowie,
(Gdy ci lekarz w szpitalu zwróci jej)

Aby ciało tve i duch były zdrowe kup:
Łanuch, parę śrub... itd.
Niech żyje sport! Sport! Sport! Sport!
Zyje nam!

Niech żyje nam kibic-pań.
Co silna musi mieć dłoń
By utrzymać w niej kij
Kij i kom Kij i LOM...

PASTERZE:
— Po całodziennym morderczym igrzysku
Spokój oanule już na boisku
W kolejach słone sypia się kary
W klubie puchary, premie, fanfary...

JÓZEF:
Oto Pani doktor Wisłocka — od „Sztuki
kochania”

M. WISŁOCKA:
Naród błądnie poradę: fala pytań wzbiera:
Jak kochać prezydenta, ministra, premiera,
Jaka wybrać pozycję? Grę miłosną jaką?



H. DEBICH:
Jak to robić z Kydryńskim?
Z. BRONIAREK:
Z Obok askim?
M.F. RAKOWSKI:
Z BAKA?
M. WISŁOCKA:
Sami przecież też kochać muszą się nawzajem..
S. PIETRAS:
Trzeba wiedzieć: kto tyran, a kto się poddaje..
M. WISŁOCKA:
Półki co, jedno wszystkim dobrze dzisiaj radzą
M.F. RAKOWSKI:
J. URBAN:
Kochajmy się! Czas najwyższy już pokochać
władze!

(Spiewają na melodie „Usta milczą...”)

Usta milczą — pieśń rozbrzmiewa:
Kochaj rząd!
Czy się peszy, czy się gniewa
Kochaj rząd!
Kto nie kocha rządu wielki robi bład,
Stad PRON-D nowy, uczuciowy
Kochaj rząd!

Z. NIENACKI:
I dobrze! Niech partnerom świeci gwiazda
boża!
I niech znów będzie Polska od łoża do łoża!
I nie ch cmy stolicy mićc diużej w Warszawie;
Przemiesmy ją czym prędzej do mych
Skirolawek!

(Spiewa na melodie „Tańcowała Małgorzatka z
Wickiem”)

Zbych Nienacki — wprost ze Skirolawek
Mój best-seller na światową sławę,
Gnoja go i chwala pod niebiosa
A ja tylko ratuje „Odgłosy”!

Dziś już w kraju tak naiwnych ni ma
Co by czytywali Argentina
Van de Velda, Wisłocka, Brantomie’a
„Dzieje grzechu”, czy „Dekameron”!

J. GLEMP:
Hop! Dsi! Dsi! Dsi! Dsi! Dsi! Dsi! Dsi! Dsi!
Wszystkie co czytały Skirolawki
Z. NIENACKI:
— A spojrzcie! W prasie skąd literackiej
Esseje areknie, recenzje chwackie
Takie z jajami, takie z jądrami
Nie wstydzicie się, bo je lubicie sami!
Skad ta odwaga i skąd ta śmiałość
Co tak autorow podraicowalio?
Ideologii smętne dziedziny?
Nie, proszę państwa! Dupa Maryny!
Gdy tutaj o czym mówić już nie ma
Cztery litery to pierwszy temat!
A na zebraniach o czym gładzimy
Jak nie o d., d., d., Maryny?
Choć nieliczni spluwają, reszta krzyczy hurra!
Są te geny, i ta jurność, seks — temperatura!
D., Maryny źródłem natchnienia!
Piszcie ds naszych d...usz pokrozenia:
Niech Skrzetuckiego przejmuję role
Mój malarz Porwasz! Porwasz idolemi!
J. GLEMP:
Hop, dziś, dziś wszyscy do poprawki
Hop dziś dziś, za te Skirolawki!
Z. NIENACKI:
Choć ja nie Dobraczynski dożyłem pociechy
I moje Skirolawki trafiły pod strzechy
I tam to dziś dziewczęta krećąc kotowrotki
w głos czytają rozdziały, oglądają fotki
ze „świerszczyków” przeróżnych co je borem
lasem
Ze Szweck! lub z Hong-Kongu przemycają
czasem
..Tak ja reporter polny zakuty w powięciu
Swoją jedną powieścią wróciłem seks — życiu!
MARIA:
Doszę już! Dość Józefie! Snu dzieciątku trzeba!
JÓZEF:
Prawda! Gwiazdka się schyla już na krawędź
nieba!

PAPIEŻ:
Czy to świat upragniony spędza mrok znać
kraju?

J. GLEMP:
Czy może coś nowego dzieć się tu zaczyna?
W. JARUZELSKI:
Racja! Bowiem początek ma szopka i finał!
RAZEM:
Wiwat szopka! Wiwat szopka!
Gdzie Polaka Polak spotka!
Od Chicago do Opola
Wiwat szopka made in Poland!
KURTENA!

J. GLEMP:
Czy może coś nowego dzieć się tu zaczyna?
W. JARUZELSKI:
Racja! Bowiem początek ma szopka i finał!
RAZEM:
Wiwat szopka! Wiwat szopka!
Gdzie Polaka Polak spotka!
Od Chicago do Opola
Wiwat szopka made in Poland!
KURTENA!

PAPIEŻ:
Czy to świat upragniony spędza mrok znać
kraju?

J. GLEMP:
Czy może coś nowego dzieć się tu zaczyna?
W. JARUZELSKI:
Racja! Bowiem początek ma szopka i finał!
RAZEM:
Wiwat szopka! Wiwat szopka!
Gdzie Polaka Polak spotka!
Od Chicago do Opola
Wiwat szopka made in Poland!
KURTENA!

PAPIEŻ:
Czy to świat upragniony spędza mrok znać
kraju?

J. GLEMP:
Czy może coś nowego dzieć się tu zaczyna?
W. JARUZELSKI:
Racja! Bowiem początek ma szopka i finał!
RAZEM:
Wiwat szopka! Wiwat szopka!
Gdzie Polaka Polak spotka!
Od Chicago do Opola
Wiwat szopka made in Poland!
KURTENA!

PAPIEŻ:
Czy to świat upragniony spędza mrok znać
kraju?

J. GLEMP:
Czy może coś nowego dzieć się tu zaczyna?
W. JARUZELSKI:
Racja! Bowiem początek ma szopka i finał!
RAZEM:
Wiwat szopka! Wiwat szopka!
Gdzie Polaka Polak spotka!
Od Chicago do Opola
Wiwat szopka made in Poland!
KURTENA!

PAPIEŻ:
Czy to świat upragniony spędza mrok znać
kraju?

Karykatury:
STANISŁAW IBIS-GRATKOWSKI

Z półki recenzenta

PROZA ADOLFA RUDNICKIEGO

Autor ten przeżył własną sławę. Niegdyś niezwykle popularny, dziś przyjmowany bez emocji. Wydany właśnie pierwszy tom pt. „Sto jeden” (z czterotomowego cyklu) zawiera utwory napisane przed wojną i kilka powojennych. Jest to proza nierówna, czasami wręcz miła, czasem znów żywa i wciągająca. Artur Sandauer napisał o niej w 1956 r.: „Ten pisarz, którego pookupacyjna twórczość rokowała tak duże nadzieje, stał się Heleną Mniszek naszych czasów”. Czy miał rację? Poczytajcie sami.

Adolf Rudnicki: Sto jeden. Wyd. Lit. 1984. Str. 566. Cena 250 zł

„BARYLECZKA” I INNE

Ukazał się wybór nowel Guy de Maupassanta pt. „Paryska przygoda”, na który składa się 31 opowiadań, że słynną „Baryleczką”, która doczekała się w przeszłości ekranizacji.

Maupassant miał dar kreślenia ludzkich portretów. Nie tych zewnętrznych, ale owych trudno uchwytnych wewnątrz będących istotnymi cechami charakterów i wizerunków. Niegdyś jego opowiadania były uważane za skandaliczne, dziś wydają się bardzo nobliwymi opowieściami o ludzkich namiętnościach i dramatach. Przekład zbiorowy.

Guy de Maupassant: Paryska przygoda. Czyt. 1984. Str. 352. Cena 140 zł.

O ANDRZEJU BURSIE

W serii „Portrety Współczesnych Pisarzy Polskich” ukazała się publikacja poświęcona Andrzejowi Bursie, który — jak to często bywa — był poetą i umarł młodo, a więc stał się idolem i legendą. Za życia zapoznany, dziś jest nawet nagrodą jego imienia. Czy był naprawdę tak wielki? Czego dokonał? Omawiana tu książka tego nie wyjaśnia, choć wyszła spod pióra przyjaciela Bursy i człowieka o znanym krytycznym spojrzeniu na literaturę. Mimo to książkę warto przeczytać.

Stanisław Stanuch: Andrzej Bursa. PIW 1984. Str. 194. Cena 120.

LIRYKA STAROŻYTNEJ GRECJI

Biblioteka Narodowa jest firmą renomowaną, a wydawane przez nią książki posiadają obszerne opracowania krytyczno-historyczno-literackie. Właśnie ukazała się „Liryka starożytnej Grecji” gdzie zaprezentowano poezję z okresu VII — V w p.n.e. (m.in. Safone, Anakreonta, Pindara, Eurypidesa, Arystotelesa).

Nie ma potrzeby by zachwalać tę książkę, jednakże nie mogą pominać faktu, że poezja ta wcale się nie starzeje, że jest świeża i działa pobudzająco na naszą wyobraźnię. Przekład zbiorowy.

Liryka starożytnej Grecji. Zakł. Nar. im Ossolińskich 1984. Str. 376. Cena 270 zł.

CZTERDZIEŚCI CZWARTY

To już klasyka, choć ciągle nie możemy pozostawać obojętnymi wobec tej książki. Kiedy ukazała się po raz pierwszy — od razu stała się bestsellerem. Dziś emocje opadły, ale spory wciąż się nadal co do oceny dokonanej przez Żaluskiego całego ruchu militarno-wyzwoleńczego Polaków.

„Czterdziesty czwarty” (wyd. XI) traktuje o polskim losie, tym tragicznym, gorzkim, bohaterkim i jakże niejednoznacznym, nawet dla historyka, a co dopiero dla literatury.

Zbigniew Żaluzki: Czterdziesty czwarty. Czyt. 1984. Str. 454. Cena 150 zł.

MISTRZ SĄDU OSTATECZNEGO

Ten zapomniany autor, współczesny Franza Kafki, cieszył się z życia sporym rozgłosem jako pisarz. Jego powieści znajdowały — i znajdują nadal — czytelników, choć oficjalna krytyka ciągle przemilcza ich autora. Mówię o Leo Perutzu, którego książka „Mistrz Sądu Ostatecznego” nie tak dawno pojawiła się na rynku księgarskim. Jest to opowieść o wątku sensacyjnym i kryminalnym, pełna niedopowiedzeń i tajemnic, o wartkiej narracji i dość zręcznej konstrukcji. Czyta się ją dobrze, rozwijająca się akcja wciąga, intryguje, niepokoi. Perutz był tłumaczony na wiele języków, u nas ukazało się sporo jego książek jeszcze przed wojną, po wojnie zaś mieliśmy wznowienia i nowe przekłady.

Tłumaczyła Maria Wydmuchowa.

Leo Perutz: Mistrz Sądu Ostatecznego. Czyt. 1984. Str. 190. Cena 120 zł.



Barbara Marszałek (Gosia) i Ryszard Kotys (Nikt)

Foto: Romuuld Sakowicz

Barierzy ochronne

Najnowsza sztuka Ireneusza Iredyńskiego „Kreacja” dotyka spraw będących stosunkowo rzadko przedmiotem zainteresowania naszych dramaturgów. Ich odkrywcze ambicje ostatnio częściej zwracają się ku zagadnieniom godności i suwerenności jednostki w wymiarze ideologiczno-politycznym, co uznać można za znamienne silnych społecznych napięć, niż — jak tu właśnie — ku uwarunkowaniom niezależności człowieka w bardziej zamkniętym i niejako izolowanym układzie tzw. stosunków międzyludzkich, czyli w znacznym stopniu poza określonym czasem historycznym.

Rzecz dzieje się co prawda w realiach współczesnych i polskich, ale odnosi się do pewnych mechanizmów komercjalizacji sztuki, a tego rodzaju uwikłania bohatera osadzają problematykę również w dniu wczorajszym i zapewne jutro, i to nie tylko pod naszym niebem. Konflikt komplikuje się psychologicznie i pogłębia moralnie przez obecność w nim czynnika eschatologicznego, zarówno bowiem malarz Nikt, predysponowany przez cechy swojej osobowości do skrajnie bezkompromisowego poszukiwania wewnętrznej prawdy, jak i „manipulujący” jego przeżywciami i rozterkami cyniczny marszał — Pan, działają i oddziałują na siebie wzajemnie w utajonych strefach psychiki ludzkiej, aż wreszcie losy ich spłótą się w nierozdzielny węzeł. Nie zostanie on rozwiązany, lecz rozcięty w sposób drastyczny i ostateczny.

Tekst sztuki jest od pierwszych kwestii dialogu gęsty od znaczeń i mimo pewnych miejscie brzmiałych „pusto” wnosi, zdaniem po zdaniu, istotne cechy do charakterystyki postaci i zawiązujących się między nimi zależności.

W niedznej pracowni malarza, służącej mu za mieszkanie, pojawia się wytworny przybysz ze stolicy, wytrawny znawca sztuki. Na podstawie kopii dawnych mistrzów zorientował się, że wykończony życiowo, uzależniony od alkoholu malarz jak w sobie oryginalną wyobraźnię z goskonnym opanowaniem rzemiosła. Oferta Pana brzmi: chcesz zostać kimś i wydobyc się z nędzy, musisz dać sobą pokierować i całkowicie się podporządkować stawianym wymaganiom. Tylko ja potrafię cię zainspirować i wykreować cię na sławnego artystę, stworzę cię i wywiode z nicości, jeśli uznasz mnie za swego boga. Od dziś nazywasz się Nikt.

To jeszcze nie wszystko, ponieważ Pan, który przejrzał kompleksy malarza, pragnie go w nich utwierdzić — w jego poczuciu krzywdy i poniżenia, a pragnąc czuć nad jego osobowością pozostawia mu w darze Biblię, „Zbrodnię i karę” i współczesną powieść, której bohater „szuka absolutu w alkoholu”. Nikt akceptuje wyznaczoną mu rolę, przyjmuje og marszanda określone zamówienie i wraz z oboma bohaterami znaleźliśmy się w świecie pojęć ostatecznych, z pogranicza psychologii i psychopatologii, o wysokiej temperaturze moralnej mistycznych przeżyć Nikta. Wyrzucany intelektualnie, władczy Pan robi na tym doskonały interes i tymczasem płaci za wszystko żywą gotówką, co odmienna warunki życia malarza i jego przyjaciółki Gosi.

Autor zresztą przykrawa trochę na swój użytek myśl plynącą z zaleconych Niktowi lektur. Bo jeśli jeszcze z Biblią (a zwłaszcza ze Starego Testamentu) można wyczytać tezę, iż „zło jest wszędzie obecne”, to już biblijne nauki moralne nie wzbraniają „nienawidzenia zła”, lecz zalecają jego zwalczanie, a co najwyżej zakazują nienawiści do złych ludzi i nawet wzywają (szczególnie Nowy Testament) do miłości bliźniego. Ale mniejsza o wierność biblijnym czy innym przesłaniom, te można różnie odczytywać, ważna jest zasadność filozoficznej motywacji utworu i jego spójność myślowa, a tego nie sposób Iredyńskiemu odmówić. Co szczególnie godne uwagi, że owe światopoglądowe przesłanki stanowią jakby organiczny budulec osobowości Nikta. W jego działaniu i wypowiedziach nie ma pozycji, jest sobą.

Autor mniej chyba zadbał o tak pełne wyposażenie wewnętrzne Gosi i każe nam wierzyć trochę na słowo, że dziewczyna dzieląca z malarzem jego niedostatek i bezinteresownie oddana człowiekowi bez żadnej, zdawałoby się, przyszłości, przemieni się w osobę o diametralnie odmiennym stosunku do swego życiowego partnera, przejdzie drogę od tej, która go kochała, „gdy był taki zagubiony” — do tej co „chce mieć męża, który dobrze zarabia”. BARBARZE MARSZAŁEK, która rozwinęła dużą skalę środków, trudno było jednak całkowicie uwiarogodnić to przeobrażenie, zasygnalizować już na początku załajki późniejszej odmiany.

Niezwykle trafnie obsadzono rolę Nikta przez RYSZARDA

KOTYSĄ. Moralne załamania i rozterki, ciągłe mocowanie się z sobą, wreszcie ujawnienie się wyraźnej dewiacji psychicznej, wszystko to rozegrał artysta w sposób naturalny, powściągliwymi środkami aktorskimi. MACIEJ MAŁEK jako Pan stworzył sylwetkę człowieka świadomego swoich umiejętności postępowania z ludźmi, skrywającego pod maską światowca wyniosłą obojętność wobec drugich. Może nie dość jednoznacznie przekazał proces mimowolnego wciągania się w rozpetaną przez siebie intrygę.

Psychiczne uzależnienie Nikta od Pana osiąga pod koniec sztuki swoje apogeum. Chyba niepotrzebnie wprowadził autor motyw domniemywania się przez Nikta rodzinnego ojca w osobie Pana, jakby dla uprawdopodobnienia chorobliwej fascynacji malarza swoim mistrzem i przewodnikiem. Atmosfera sztuki rozgrzesza przecież udział podświadomych motywacji, mających swoje źródło w niezbadanych i mrocznych stronach ludzkiej natury, toteż reżyser słusznie uczynił tę sprawę niezauważalną.

Opętany szaleńczą myślą Nikt, dążąc do wyzwolenia się og ciężaru zależności, a może do wyniesienia swojego bóstwa na ołtarze, wśród obawów przyciśnienia umysłu powiada złowroźnie „A kiedy dopełni się pana czas, będę głosił pana chwałę” i rozumiemy wtedy, że musi stać się coś przerażającego. I staje się to, co nieodwracalne.

„W zachowaniu człowieka nie ma niczego, co by nie było wyuczone” — pouczał Pan, pragnąc nakłonić Nikta do wyzbycia się wszelkich zahamowań na drodze do całkowitej uległości. Okazało się, że z tego co „wyuczone” składa się jednak norma regulująca współzycie ludzi — kultura, która panuje nad naturą.

Przekroczenie ochronnych barier suwerenności ludzkiego „ja” nikomu ze współczesników nie uszło bezkarnie.

JERZY KWIECIŃSKI

Ireneusz Iredyński: „Kreacja”. Reżyseria — Feliks Falk, scenografia — Marcin Stańkowski. Premiera 24 stycznia 1985 r. w Teatrze im. Stefana Jaracza.

Kronika kulturalna

MUZEUM ARCHEOLOGICZNE I ETNOGRAFICZNE zaprasza Czytelników na otwarcie wystawy „Nowe odkrycia archeologiczne 1983—1984”. Otwarcie wystawy 19 lutego.

W CENTRALNYM Muzeum Włókiennictwa 7 lutego otwarta została wystawa tkaniny, malarstwa i grafiki Izabeli Braniewskiej 1945—1978.

W SALONIE Sztuki Współczesnej 6 lutego otwarta została wystawa grafiki Krzysztofa Więczorka.

8 LUTEGO natomiast w Galerii Wschodniej otwarta została wystawa Sano Filko — białe przesłanie, prace z lat 1973—78.

11 LUTEGO w Pabianicach odbył się koncert kameralny z okazji 150 rocznicy urodzin Henryka Wieniawskiego. Wystąpił polski duet skrzypcowy Osmolińskich.

W OSRODKU Propagandy Sztuki czynna jest interesująca wystawa malarstwa XI Ogólnopolskiego Konkursu im. Jana Spychalskiego.

W MUZEUM Historii Miasta Łodzi czynna jest interesująca wystawa pt. „Szlak bojowy 2 Korpusu Polskiego”. Zgromadzone na niej liczne fotografie, odznaki pamiątkowe, rozpoznawcze i odznaczenia wojskowe z tamtego okresu. Prezentowane eksponaty są własnością Krakowskiego Towarzystwa Fotograficznego — Muzeum Historii Fotografii. Warto przypomnieć, że 2 Korpus Polski był największym ogólnowojskowym związkiem organizacyjnym i taktyczno-operacyjnym Polskich Sił Zbrojnych podległych polskiemu rządowi na emigracji w latach II wojny światowej.

9 LUTEGO odbyła się w Teatrze Powszechnym premiera przedstawienia autorskiego Adama Hanuszkiewicza, realizowanego wcześniej z ogromnym powodzeniem na scenie Teatru Narodowego w Warszawie. Jest to „Śpiewnik domowy” Stanisława Moniuszki. W przedstawieniu udział biorą niemal wszyscy aktorzy Teatru Powszechnego. Solistami zaś są Lidia Skowron i Włodzisław Malcewski. Scenografię przygotowała Xymena Zaniewska i Mariusz Chwedeżuk. Kierownictwo muzyczne sprawuje Bogdan Pawłowski.

W KLUBIE DZIENNIKARZA czynna jest wystawa prac trzech łódzkich artystów plastyków: Konstantego Mackiewicza, Mirosława Hohlhlingera i Ryszarda Rajskiego. Na wystawie zobaczyć można obrazy olejne o bardzo różnej tematyce. Wystawa czynna będzie do końca miesiąca.

6 LUTEGO w 80 rocznicę urodzin Władysława Gomułki otwarto w Krośnie pierwsze w Polsce muzeum jego imienia. Jest ono filią łódzkiego muzeum okręgowego i mieści się w domu wybudowanym w 1923 roku przez rodzinę Gomułków w Białobrzegach, ówczesnym przedmieściu Krosna. Władysław mieszkał tam do 1926 roku. Mały drewniany domek przy ulicy Mostowej 5 w Krośnie składa się z trzech pomieszczeń. W pokojach zgromadzone zbiory ukazujące życie i działalność Władysława Gomułki ze szczególnym uwzględnieniem jego związków z ziemią krosnieńską. Ekspozycja zawiera zdjęcia rodzinne i fotokopie dokumentów, a także krótkie dane biograficzne.

W DDK Polesie w lutym Klub Filmowy zaprasza na projekcje filmowe z cyklu „Sylwetki twórców filmowych — Roman Polański”. Pokazane będą następujące filmy: „Nóż w wodzie”, „Matnia”, „Chinatown”, „Tess”.

W MUZEUM SZTUKI w Łodzi czynna jest wystawa prac najwybitniejszych czeskich fotografików pt. „Czeska fotografia 1918—1938”. Pokazano około 220 prac. Pochodzą one w ogromnej większości ze zbiorów Morawskiej Galerii w Brnie. Prezentowane są różne style i techniki zdjęć.

26 STYCZNIA w Warszawie odbyła się uroczystość wręczenia dorocznej nagrody publicystycznej im. Wojciecha Kętrzyńskiego, ufundowanej przez redakcję Tygodnika Polskiego — organu Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego. Nagrody za rok 1984 przyznano Aleksandrowi Bocheńskiemu oraz Wojciechowi Natansonowi. Nagrody wręczył prezes ChSS, członek Rady Państwa Kazimierz Morawski.

EPILOG DYWIZJONU „OBROŃCÓW WARSZAWY”

Panu Hubertowi Kazimierzowi Kujawie dziękuję za uzupełnienia do mojego artykułu: „Bohaterki dywizjonu „Obróńców Warszawy”, zamieszczone w rubryce: „Polemiki — Listy — Opinie” nr 47 „Odgłosów” z dnia 24.11.1984 r. i wdzięczny jestem za przybliżenie Czytelnikom szczegółów, opisywanych przeze mnie wydarzeń. Niestety, mimo znajomości wielu szczegółów, choć może w mniejszym zakresie, niż Autor uzupełnienia, nie mogę sobie pozwolić na tak drobiazgowo opisywanie faktów, ze względu na limit objętości maszynopisu. Poza tym uważam, że szczegóły opisywanie wydarzeń może zainteresować jedynie historyków lotnictwa, bądź rodziny lub najbliższych przyjaciół bohaterów, wychodzących w moich artykułach. Natomiast przeciętny Czytelnik jest raczej zainteresowany samymi wydarzeniami, tak mało albo w ogóle nie znanych namemu społeczeństwu.

Podziwiam opinię Redaktora dyżurnego „Odgłosów”, że autorzy polemik, dotyczących dziejów lotnictwa polskiego, gubią się w nadmiarze szczegółów, popełniając liczne omyłki i błędy, czego tym razem nie ustrzegł się i p. H. K. Kujawa.

Zacznę więc od wydarzeń z 2 stycznia 1944 roku. Autor polemiki kwestionuje tę datę, informując, że strata dwóch liberatorów miała miejsce nie 2, a 6 stycznia wieczorem oraz ma obiekcje co do czasu sprowadzenia tych maszyn przez por. pil. Bohuszwicz i por. pil. Duńskiego, w grudniu 1943 r. Okół Andrzej Morgała w swej obszernej publikacji, opartej na kilkuset źródłach archiwalnych, publicystycznych: polskich, angielskich i niemieckich, pt. „Polskie samoloty wojenne 1939—1945”, W-wa 1977 r., podaje na str. 391: „...w grudniu otrzymała uzupełnienie dwóch następnym „Liberatorów”, które odebrały z Anglii załogi por. pil. Bohuszwicza i por. pil. Duńskiego...”, i dalej, na str. 394, pisze: „...w nowym roku 1944 — 2 stycznia — utracono dwa „Liberatory”: por. pil. Bohuszwicz i por. pil. Duńskiego. Jeden samolot rozbił się podczas drogi powrotnej o zbocze samotnej góry na płaskowyżu w środkowych Włoszech, a drugi przy podjeździe do lądowania na terenie portu w Brindisi. Pierwsza załoga zginęła na miejscu, a z drugiej uratowano tylko jedną osobę. Przyczyną tragedii były warunki atmosferyczne, a przede wszystkim silny wiatr, osłabiający w porwach prędkość huraganu...”. Zaś Bohdan Arci (znany lotnik i autor wielu publikacji lotniczych), w pracy pt. „Trzysta pierwszy nad celem”, W-wa 1975 r., informuje na str. 84, że: „...5 stycznia 1944 roku cztery załogi wystartowały ze zrzutami do Polski, dwie z nich zginęły we Włoszech — samoloty roztrzaskały się podczas próby lądowania, w czasie fatalnej pogody...”. W tej publikacji na str. 89 Arci pisze: „...w pracy tej posługuję się stosunkowo dużą liczbą relacji i raportów, uważając je za najlepszą ilustrację omawianego wydarzenia...”, i dalej: „...widziany oczyma bezpośrednimi uczestnikami — członkami załóg latających z trzysta pierwszego...”. Ze wstydem przyznaję się do popełnionego błędnie, odnośnie stopnia pilota Zygmunta Duńskiego, który nie był porucznikiem, lecz starszym sierżantem — F/Sgt (Flight sergeant), co przypadkowo znalazłem w jednej z publikacji, w której w czasie opracowywania artykułu nie korzystałem. Bardzo przepraszam tak Czytelników, jak i p. Kujawę za moją pomyłkę. Ale skoro już zatrzymałem się przy stopniach wojskowych w lotnictwie polskim, w Wielkiej Brytanii, to muszę przyznać rację Panu Redaktorowi dyżurnemu „Odgłosów”, ponieważ wszyscy autorzy relacji i publikacji lotniczych z okresu II wojny światowej — aby nie stwarzać chaosu i nie dezorientować Czytelników — posługują się przeważnie stopniami angielskimi, transponując je do stopni na język polski i złączając do swoich publikacji wykaz stopni polskich i brytyjskich w lotnictwie brytyjskim. Przy czym ja również staram się operować tymi stopniami wojskowymi. Chociaż należy wyjaśnić Czytelnikom, że w lotnictwie brytyjskim, jak również w polskim w Anglii, stopnie wojskowe uzależnione były od pełnionej funkcji, a ponieważ najwyższym stopniem personalnym latających był sierżant (Sgt — sergeant) lotnicy polscy w stopniach kaprali i plutonowych, należąc do załóg latających, otrzymywali stopień sierżantów. Zdarzało się również, że polski porucznik, dowodzący dywizjonem posiadał angielski stopień majora (S/L — Squadron leader). Dystynkcje stopni polskich nosili nasi lotnicy na kombinezonach mundurów, zaś na rękawach mieli dystynkcje brytyjskie. Odnośnie stopni załogi kpt. pil. Zbigniewa Szostaka, to nie awansował ani degradował lotników tej załogi, jak podaje p. H. K. Kujawa, lecz powtórzyłem je za listem p. L. Szostakowej oraz skorzystałem z miesięcznika „Skrzydła” z dnia 1 sierpnia 1946 r.

Przed wykazem załogi sierż. pil. Zygmunta Duńskiego, Autor uzupełnienia popełnił zasadniczą omyłkę, pisząc, że „Tego samego dnia wystartował na specjalny lot bojowy nad Polskę „Lancaster” nr BZ 949...”. Przecież mi, ale lancastery nad Polskę nie latały, a poza tym nie posiadały takich numerów seryjnych. Zastanowiło mnie również podanie przez p. Kujawę przy załogach: por. Bohuszwicz oraz pil. pil. Bolesława Urama, po dwóch nawigatorów w jednej załodze. Jeśli pamiętam, to w każdej załodze latał tylko jeden nawigator.

Autor polemiki kwestionuje wyprawę w nocy poprzedzającej Powstanie Warszawskie, jak i niewykonanie zadania przez załogi, lecące tej nocy nad Polskę. Tymczasem Bohdan Arci w publikacji: „Trzysta pierwszy nad celem”, na str. 90 pisze: „W dniu pierwszego sierpnia nikt nawet nie wiedział o rozpoczęciu walki w Warszawie. Eskadra wszystkimi samolotami (3 „Halifaxy” i 3 „Liberatory”) i posiadanymi załogami poletciała do Polski, aby dokonać zrzutów w miejscach odległych od stolicy i nie mających żadnego związku z prowadzonymi na jej ulicach starciami. Zadanie nie zostało wykonane, gdyż dwa samoloty zawróciły z trasy wskutek wadliwego działania silników, trzy nie doleciały do placówek z powodu złych warunków atmosferycznych, a szósty został zestrzelony nad Węgrami...”.

Odnośnie ppor. Kwiatkowskiego, jako dowódcy jednego z sześciu halifaxów, będących na stanie eskadry w przededniu wybuchu Powstania Warszawskiego, to we wspomnianej już publikacji A. Morgały, na str. 378 czytamy: „...Eskadra w tym czasie posiadała zaledwie 5 kompletnych załóg przeszkolonych na „Halifaxach”, a pilotami tych maszyn byli: kpt. Szrajber, ppor. Florian, ppor. Kwiatkowski, chor. Owsiany, chor. Szmaciarczyk, sierż. Lewandowski”.

W polemice p. Kujawa napisał: „Pod datą 12 sierpnia 1944 roku autora poniosła katastroficzna wizja...”. Na moje usprawiedliwienie przytoczę jeszcze jeden fragment publikacji A. Morgały, gdzie na str. 379 podaje: „...Straty rosły w zastraszający sposób. Na przykład w nocy z 12 na 13 sierpnia z kilku „Halifaxów” wysłanych do Warszawy wrócił tylko jeden GR-N JD230 kpt. nawig. Romana S. Chmielea...”. Następnie Autor polemiki uważa za „lekką przesadę” podanie przeze mnie zrzutu nad Warszawą, w nocy z 14 na 15 sierpnia, dokonanego z kilkudziesięciu samolotów, twierdząc, że tej nocy nad stolicą Polski było tylko 15 maszyn. I tym razem odwołuję się do publikacji A. Morgały, który na str. 397 napisał: „...Podczas wielkiej wyprawy kilkudziesięciu samolotów polskich, angielskich i południowoafrykańskich w nocy z 14/15 VIII został zestrzelony nad miejscowością...”. Fakt ten potwierdza Henryk Kwiatkowski (pilot 301 dywizjonu, który latał nad Polskę) w swojej publikacji: „Bomby poszły”, W-wa 1982 r., na str. 245: „W nocy z 14 na 15 sierpnia ruszyła nad stolicę Polski wyprawa składająca się z 60 samolotów, w czasie której alianckie lotnictwo poniosło olbrzymie straty. Z 36 maszyn przybyłych tak niedawno do naszej bazy w Południowej Afryce, z lotu tego aż 12 nie wróciło. Zginęły również 2 polskie i 2 angielskie załogi, co w sumie stanowiło dwa-dziesiąt pięć procent strat”.

Mam pewne zastrzeżenia co do faktów, podanych przez p. Kujawę, dotyczących lotu nad Warszawę chor. Lecha Owsianego (nie Leszka, bo tak nazywali go koledzy, podpisywał się „Lech”) w nocy z 16 na 17 sierpnia 1944 r. Autor polemiki informuje, że załoga chor. Owsianego leciała tej nocy na halifaxie ze znakami GR-C i dokonała zrzutu nad Puszczą Kampinoską. Natomiast sam Lech Owsiany w obszernej artykule pt. „Ewa leci do Warszawy” (jako wspomnienie), zamieszczonym w „Skrzydlatej Polce” nr 34, z dnia 20.VIII.1957, na str. 10 i 11 opisuje ten lot, podając, że leciał na halifaxie GR-E i dokonał zrzutu nad Placem Napoleona. W drodze powrotnej został zestrzelony przez niemieckiego Ju-88. Tymczasem Henryk Kwiatkowski w wymienionej już uprzednio publikacji „Bomby poszły” na str. 250 pisze: „...Następną noc czuli z 16 na 17 sierpnia na Halifaxie ze znakami GR-L, a więc na dotychczasowej mojej maszynie, poleciał do Polski Leszek Owsiany...” i dalej, na str. 252: „...W taki sposób mój „Halifax” GR-L, na którym wylatałem tyle godzin, pozostał na polskiej ziemi”. Doprawdy, nie wiem, komu teraz wierzyć? Pan Kujawa podaje znaki GR-C, sam Lech Owsiany podawał: GR-E, zaś Henryk Kwiatkowski: GR-L, a wszystko dotyczy tej samej maszyny i tego samego lotu!

Co do ostatnich lotów do Polski, to A. Morgała podaje na str. 398: „...Ostatnie dwa loty do Polski (na liberatorach — przyp. Z. Ch.) ze skoczkami wykonano w nocy z 26 na 27 XII 1944 r., zrzucając z pierwszego samolotu...”. Zaś na str. 380 informuje, że: „...Ostatni lot do Polski (na halifaxach — przyp. Z. Ch.) zorganizowano w nocy z 28/29 grudnia 1944 r...”.

Sądze, że p. H. K. Kujawa daruje mi wytknięcie tych pomyłek, ale i ja również je popełniłem bezwiednie, w przeświadczeniu, że relacje i publikacje doskonałych i znanych autorów-lotników są wiarygodne.

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

POCZTA „BIGOSU”

Panie redaktorze.

W „bigosie hultajskim” red. Andrzej Kempa, podając za „Zbiorem różnego rodzaju wiadomości (1770 r.)” usadowił Sokratesa w pokoiku przy książkach.

Jeśli książkami można nazwać gliniane skorupy lub woskowane tabliczki — to wszystko w porządku. Nie wynika to jednak z samej notki i jej tytułu, nastawionych na cenę i szklaną myśl o wartościach utrwalonych treści.

Jerzy Banacki

Pewien umiarkowanie dowcipny wierszopis, piszący pod pseudonimem Bazyli (Włodzimierz Nakonieczny), opublikował w krakowskim czasopiśmie „Liberum Veto” (1903, nr 8) fraszkę, której początek jest następujący:

*Dawniej, by był wesół każdy,
By zapomniał, co go boli,
Do duchowych straw attycki
Dodawano szczyptę soli.*

Bigos hultajski bywa potrawą znakomitą, zwłaszcza gdy ingrediencje dodano w odpowiedniej proporcji; zdarza się wszakże, że się czasem czegoś nie dosoli, czegoś nie dopieprzył i potem czytelnik ze szczyptą zgoli nie attyckiej soli zgoli się do kuchacza, nie bacząc, że porcja „Bigosu” to nie traktat naukowy, bo na to Oberszeń „Odgłosowej” kuchni — Naczelny — nie pozwala, i już...

Jeden z czytelników, p. J. B. z Tomaszowa Mazowieckiego, upomina mnie, że w „Bigosie hultajskim” (Odgłosy, 1985, nr 2) usadowił Sokratesa w pokoiku przy książkach, podczas gdy, zdaniem Czytelnika, przedmiotem westchnień Sokratesa mogły być co najwyżej „gliniane skorupy lub woskowane tabliczki”.

W czasach Sokratesa (V w. p.n.e.) oczywiście nie było książek w dzisiejszym rozumieniu tego słowa, ale i gliniane skorupy też już wyszły z użycia z uwagi na swą nietrwałość. Rozpowszechnioną formą starożytnych ksiąg był zwój (gr. *kylinthros*; łac. *volumen*), zaś jako materiał pisarski służyły, ówczesne, woskowane tabliczki, ale raczej do doraźnych brulionowych notatek. Ważniejsze informacje przenoszono za czasów Sokratesa na trwałe w przechowywaniu i użytkowaniu zwójce papirusowe.

Nie stanowiło zaszczenia dla XVIII-wiecznych czytelników ułożonego przez Ignacego Krasickiego „Zbioru potrzebniejszych wiadomości porządkiem alfabety ułożonych” (Warszawa 1781), gdzie uczonego biskup-poeta tak wyjaśniał znaczenie słowa „Bibliotheca”: „skład ksiąg w jednym miejscu”, odwołując się do przykładów starożytnych księżnic unfojonowanych staraniem Ptolemeusza Filadelfosa w Aleksandrii i Attalosa króla Pergamonu. A w tych bibliotekach księgiami były właśnie zwójce, z rzadka tylko kodeksy papirusowe.

Zresztą dziś książką jest „wydawnictwo zwarte zawierające tekst utrwalony graficznie, obejmujące jedną lub więcej jednostek fizycznych dowolnej objętości; może mieć formę kodeksu, skoroszytu, tekli, luźnej karty, harmonijki lub zwójki” (Polska Norma PN-82/N-01152).

Jeśli zatem Sokrates (choć tak naprawdę nie wiadomo czy rzeczywiście on był autorem przytoczonej za „Zbiorem różnego rodzaju wiadomości” sentencji) wzdychał do książek, to raczej, że miały one raczej formę zwójki, z pewnością zaś nie były drukowane, bo Gutenberg miał przyjść na świat dopiero w dwa tysiące lat później.

Nieocenyony Bazyli napisał jeszcze dalszą i ostatnią (na szczęście) zwrotkę fraszki, która tak mi jakoś pasuje do tekstu:

*Teraz inne podniebienia,
Więc ten kuchacz dziś najlepszy,
Co potrawy mało soli,
Ale za to dużo pieprzy.*

Mam jednak nadzieję, że mimo wszystko zarówno p. J. B., jak i innym Czytelnikom mój „bigos hultajski” smakuje, bo inaczej Naczelny skreśliłby ową „potrawę z „Odgłosowego” ja-dłospisu.

ANDRZEJ KEMPA

OGÓLNPOLSKI FESTIWAL POEZJI

Oddział Łódzki Związku Literatów Polskich oraz Wydział Kultury Urzędu Miasta Łodzi informują, że wromem lat ubiegłych w maju 1985 roku odbędzie się w Łodzi XIV Ogólnopolski Festiwal Poezji. Na Festiwalu rozstrzygnięte zostaną dwa konkursy: na nie publikowane debiutanckie tom poetycki oraz na zestaw wierszy (od 3 do 8 tekstów).

Konkurs ma charakter otwarty.

Zainteresowanych zawiadamiamy, że zestawy opatrzone godłem (w 5 egzemplarzach) należy nadsyłać pod adresem Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich, al. Mickiewicza 15 do dnia 25 marca br.

Skład jury i wysokość nagród podane zostaną w najbliższym czasie.

Sekretarz
Oddziału Łódzkiego ZLP
HENRYK PUSTROŃSKI

STARY, CIĄGLE AKTUALNY PROBLEM

Mieszkania, a raczej ich brak i sprawy budownictwa mieszkaniowego, to temat, który w zasadzie nie schodzi ze szpalet prasy codziennej i tygodniowej. Jest to również problem stanowiący permanentną troskę zarówno władz centralnych, jak i terenowych. Mimo niespotykanego nigdy przedtem rozwoju budownictwa mieszkaniowego (pomijam ostatnie lata, kiedy kryzys społeczno-gospodarczy odbił się ujemnie także na produkcji budowlanej), kolejka oczekujących na własne „m” nie tylko nie maleje, ale wydłuża się.

Kryzys mieszkaniowy nie jest wszakże zjawiskiem ani powojennym, ani tym bardziej lat ostatnich. Gnebił on społeczeństwo także w okresie międzywojennym, i to w stopniu, jakiego dzisiaj nie potrafimy sobie wyobrazić. I wtedy również nie znajdowano recepty na radykalne rozwiązanie problemu, a za sukces uznawano łagodzenie zjawiska bezdomności. Przeglądamo właśnie opublikowane w 1926 roku sprawozdanie Warszawskiego Okręgu Polskiego Czerwonego Krzyża za rok 1925. Zarząd tego okręgu prowadził — jak powiedzieliśmy dzisiaj — 12 sekcji. Jedną z nich był „Komitet Opieki nad Bezdomnymi”, składający się z 17 osób. Jak w sprawozdaniu, w okresie roku 1925 „cały wysiłek komitetu był skierowany w kierunku zwinięcia namiotów i blaszanek, co w końcu zostało uskutecznione. Obecnie wszyscy zamieszkał w barakach”. (W tym miejscu należy wyjaśnić, że „blaszanki” były to po prostu najprymitywniejsze budy, budowane z odpadów blachy, puszek po konserwach, beczek po smole itp., znajdowanych najczęściej na wysypiskach miejskich).

Dalej czytamy: „W chwili obecnej Komitet dysponuje 39 barakami, w których zamieszkuje 2026 osób, w tej liczbie 568 dzieci do lat 14, nie licząc 68 rodzin przeniesionych ostatnimi czasy do baraków „magistrackich” na Woli i Grochowie. Z liczby 568 dzieci korzysta z nauki i opieki szkolnej 261 dzieci. Za czas od 1 kwietnia wydobywano 8 baraków o 14 pokojach każdy. 5 baraków systemu koszarowego przerobiono na system pokojowy, wyremontowano wszystkie dachy. W linii baraków urządzono 2 hydranty na wypadek ognia. Niezależnie od bezpłatnej nauki i opieki, dzieci korzystają z odżywiania. Wydano przeciętnie około 7000 porcji mieszczeniowej w postaci zupy, kakao, mleka i chleba”.

Baraki PCK były „deską ratunku” nie tylko dla najbiedniejszych, żyjących w skrajnej niedzy. Nie tylko tych dotykała bezdomność. Wśród mieszkańców baraków byli również tacy, którzy gotowi byli podjąć trud budowy własnego, choćby najskromniejszego domu, jednakże podlać temu o własnych siłach nie mogli. Oto w cytowanym sprawozdaniu Oddziału PCK czytamy: „Aby dać możliwość zdobycia własnego mieszkania tym spośród mieszkańców baraków, którzy tego pragną i jednocześnie stworzyć częściowy odpływ bezdomnych z baraków. Zarząd Oddziału powołał do życia Współdzielnię Mieszkaniową, którą wziął pod swoją moralną opiekę, udzielając jej godła PCK. Prace zarządu Współdzielni idą w kierunku zdobycia na własność placu i uzyskania odpowiednich kredytów — na postawienie — na wiosnę przyszłego roku, szeregu domków mieszkalnych. Współdzielnia posiada około 180 członków spośród mieszkańców baraków. Obecnie uzyskuje już plac pod budowę...”.

Nie istnieje dzisiaj społeczne zjawisko bezdomności. Chyba nawet nie potrafimy dzisiaj pojęcia tego wypełnić autentyzmem, nie możemy go w jego społecznej — nie wahać się powiedzieć — groźbie. W najtrudniejszych nawet warunkach, w najcięższych i nie posiadających urządzeń technicznych mieszkaniu, nie potrafimy chyba wyobrazić sobie sytuacji, że można nie mieć żadnego dachu nad głową. Ze można, dla zapewnienia najniższej ochrony przed deszczem, śniegiem i mrozem, urządzać „namiot” ze starych worków i szmat czy „blaszankę” — szopa z odpadów blachy i wyrzuconych na śmiećniszko skrzynek. Ze w tych barlogach rodzili się i wychowywały dzieci — i chyba również często umierały, bo gruźlica z pewnością zbierała tam żniwo obficie. Można za to zrozumieć, że przeniesienie mieszkańców tych nor do drewnianych baraków było wielkim sukcesem Czerwonego Krzyża i chyba wielkim światłem dla samych zainteresowanych. A jeszcze większym światłem musiałoby być przemieszczenie ich ze wspólnych, zajmowanych przez wiele rodzin, izb „systemu koszarowego”, do mniejszych izb „systemu pokojowego”, oddzielnych dla poszczególnych rodzin.

Nie bez powodu chyba sprawozdanie Okręgu PCK wspomina w tym miejscu o dzieciach, które korzystają z „opieki i nauki szkolnej”. Dopiero bowiem umieszczenie ich w barakach, przeniesienie z „namiotów i blaszanek”, stworzyło możliwość podjęcia nauki. Po prostu odrabianie lekcji w namiotach i blaszankach nie było możliwe...

To był rok 1925. Następną latą, niestety, nie przyniosły widocznej poprawy sytuacji. W artykule „Z zagadnień polityki mieszkaniowej w Polsce”, zamieszczonym w numerze 3-miesięcznika „Wiedza i Życie” z 1932 roku, czytamy: „...klasa robotnicza, pracownicy umysłowi i inteligencja zawodowa (z małymi wyjątkami) od chwili zakończenia wojny, mieszkała w okropnych warunkach. Na 7 milionów mieszkańców miast w Polsce, około 6 milionów ludności, należących do wymienionych wyżej grup, jest zainteresowanych w rozwiązaniu problemu mieszkaniowego. Oczywiście, iż stopień zainteresowania jest różny: niektóre warstwy mają mieszkania, ale nieodpowiednie (kryzys mieszkaniowy jakościowy), część ludności mieszka kątem u drugich w charakterze tzw. sublokatorów (kryzys mieszkaniowy ilościowy), wreszcie część ludności nie ma w ogóle żadnych godności ludzkiej odpowiadających mieszkań (kryzys bezdomności) i gnieździ się w prowizorycznych barakach, które prawie we wszystkich większych miastach tworzą już oddzielne dzielnice (np. we Włocławku „chińska dzielnica”)”.

Dalej autor artykułu (Jerzy Barski) rozważa możliwość ożywienia ruchu budowlanego i źródła jego finansowania. Wywodzi tych nie przytaczam, gdyż umieszczono są w zupełnie odmiennych od dzisiejszych realiach społeczno-gospodarczych. W każdym razie, autor powołując się na badania przeprowadzone przez działające w ramach ówczesnego Ministerstwa Robót Publicznych „Biuro Analizy Cen” konkluduje, że „na wyrównanie deficytu mieszkaniowego” potrzebna jest kwota 300 milionów złotych rocznie, w ciągu 20 lat”. Perspektywy na rozwiązanie problemu mieszkaniowego w przedwojennej Polsce w tej sytuacji, niestety nie było.

Zdaje sobie sprawę, że to co napisałem, a raczej przepisałem, wyżej, nie przynosi ulgi i nie zmienia trudnej sytuacji tych wszystkich, którzy w długiej, bardzo długiej kolejce oczekują dzisiaj na własne „m-ileś”.

PIOTR SIKORSKI

— Runda jesienna I ligi nie była chyba dla drużyny dobra? Czwarde miejsce w tabeli. Zespół został wyeliminowany z rozgrywek pucharowych UEFA. Trudno dziwić się, że padło sporo krytycznych uwag pod adresem drużyny.

— Krytyki nigdy nie odrzucamy. Pokazuje ona nasze słabe punkty, które muszą być zlikwidowane.

Czy jesień była dobra, czy zła? Różnie można na to patrzeć. Zebrałiśmy 18 punktów. Dużo to czy mało? Kiedyś mieliśmy 24 punkty po jesiennych rozgrywkach, wydawało się, że sukces będzie pełny, a ile było kłopotów ze zdobyciem tytułu mistrza. Właściwa ocena można będzie dać dopiero po zakończeniu całego sezonu.

— W tym roku mija 75 lat od powstania klubu. Kibice spodziewają się, że na jubileusz

— W jakim stopniu na postawie zawodników zaważyły nieporozumienia w zespole? Skąd wzięły się te nieporozumienia?

— Przede wszystkim stąd, że zespół nie osiągnął takich wyników, jakie sobie założyliśmy. Planowaliśmy zdobyć 21, 22 punkty w ligowych rozgrywkach, a osiągnęliśmy 18. Chcieliśmy dojść przynajmniej do ćwierćfinału w Pucharze UEFA i nie udało się. Zaczęły się pretensje. Zamiast do siebie, zawodnicy mieli na ogół pretensje do kolegów. Łatwiej przecież dostrzec słomkę w oku u kogoś, niż zobaczyć belkę we własnym.

— No, i na dodatek ten wywiad Dariusza Dziekanowskiego w „Sportowcu”.

— Tak, to było zaskoczenie. Wywiad ten narobił sporo zamieszania w klubie. Zarząd klubu zajął stanowisko bardzo spokojne. Piłkarze

— Nie. Przeciwnie, uważam, że to bardzo dobrze. Jest konkurencja. Nie można sobie pozwolić na lekceważenie przeciwnika, trzeba dobrze się do sezonu przygotować. Trener i piłkarze muszą mieć tego faktu świadomość. To mobilizuje do pracy i powinno dać dobre wyniki.

Według mnie sytuacja jeszcze bardziej się skomplikuje. Spodziewam się, że niedługo do czołówki dojdzie szczecińska Pogoń. To dobry zespół i pokaże jeszcze, co potrafi. Będzie więc w czołówce już pięć zespołów, a nie cztery. Sądzę, że dojdzie jeszcze szósty — Śląsk Wrocław. Później, dojdzie może jeszcze chorzowski Ruch. Z tego może powstać bardzo dobra klubowa piłka nożna w Polsce. Martwi mnie tylko to, że Wisła jakoś nie może sobie poradzić z trudnościami. Bardzo lubię i cenię ten zespół.

— Czy piłkarze Widzewa podoleją tej konkurencji?

— Nie będzie to łatwe, ale muszą podoleć. Zadaniem nas, działaczy, jest stworzyć takie warunki, aby piłkarze czuli się widzowiakami, a nie tylko grali w Widzewie. Rozumiemy, że piłkarze muszą wyjeżdżać, muszą odchodzić z zespołu. W niektórych klubach piłkarze wyjeżdżają na kontrakty w wieku 31—32 lat. W Widzewie w wieku 28 lat. Ale my o nich nigdy nie mówimy: byli widzowiaki, tylko po prostu widzowiaki. Tak mówimy o Zbyszku Bokiu. Cieszymy się, że jest w dobrej formie, że we Włoszech go lubią, że strzela gole. Przecież ci chłopcy wrócą do Widzewa. Oni w przyszłości będą stanowili kadre trenerów, działaczy. Przejmą stery w klubie i poprowadzą go do nowych zwycięstw. W różnych zagranicznych klubach gra spora grupa widzowiaków. A tu nasza nowi.

— Ale na to trzeba czasu.

— Czasu i pracy. Ciężkość także. Chłopcy zmieniają się, dostają mieszkania. Ożenił się Świątek, Dziekanowski, żeni się Wraga. Myśliński dostał mieszkanie. Ożenił się Wijas. To już są widzowiaki. A że mają kłopoty, niepowodzenia, to jest normalne, ludzkie. Musimy im pomóc. Za rok, dwa, trzy mało kto będzie pamiętał o tych kłopotach. To już będzie stary Widzew i będziemy się martwić o ich następców.

— Czy łatwo dziś pozyskać piłkarza do takiego klubu jak Widzew?

— Mamu do uzupełnienia dwie, trzy pozycje. Pozyskaliśmy już dobrego zawodnika Przybysia. Trzeba będzie pomyśleć o innych. To nie jest łatwe. II liga jest w zasadzie zamknięta dla I ligi. I to jest bardzo niedobrze. Pierwszoligowe kluby powinny mieć możliwość czerpania sił z drużyn II ligi. Jeśli będziemy skazywać tylko na III ligę, to i poziom I ligi może się zrównać z poziomem III ligi. A to byłaby katastrofa.

TRUDNO PRACOWAĆ Z ASAMI

— RTS Widzew bardzo ładnie pożegnał trenera Władysława Żmudę. Trenerzy na ogół odchodzą w niezgodzie z klubem albo kibice takie odnoszą wrażenie. Tym razem było inaczej. Dlaczego jednak trener Żmuda musiał odejść?

— Bardzo cenimy Władysława Żmudę i pozostaliśmy przyjaźni. Powód był prosty. Zdecydowały sprawy rodzinne. Władysław Żmuda ma rodzinę na Śląsku i powinien być tam powrocić, aby być bliżej z rodziną, z dorastającymi dziećmi. Nie będzie tań, że w grę weszły też względy finansowe. Śląskie kluby mają pod tym względem większe możliwości.

— Ale słyszało się wśród kibiców, że niewiele mógł już zrobić. Zresztą i Dariusz Dziekanowski, we wspomnianym wywiadzie, wypowiedział się dość krytycznie o Władysławie Żmudzie.

— Ludzie opowiadają różne rzeczy. Często sędzia z pozorów, nie znając sedna sprawy, albo po prostu plotkują. Nas to ani dziwi, ani oburza. Przywykliśmy już do tego. Władysław Żmuda był w klubie 3,5 roku. W tym czasie dwa razy zmienił się zespół. Odeszli: Boniek, Żmuda, Pięta, Tłokiński, Rozborski, Surlit, Grabos, Jeżewski, Możejko, Młynarczyk. W tym czasie Widzew zdobył tytuł mistrza Polski, dwa razy był wicemistrzem Polski i raz doszedł do półfinału rozgrywek o puchar mistrzów królowych. Czy to mało?

Władysław Żmuda pracował z asami, a z asami pracuje się trudno, ciężko. W Widzewie byli reprezentanci krajowi albo kandydaci na reprezentantów. Ciągłe wyjazdy, zarabowanie kadry a i odpowiedzialność klubowego trenera w przygotowaniu kadrowicza jest duża. Trener miał prawo się zmęczyć. Trenerowi dobrze robi zmiana klubu, a drużynie zmiana trenera. Nie ma w tym chyba nic dziwnego.

— Był do wzięcia duet: Jeziński — Machciński. Dlaczego Widzew z tego nie skorzystał?

— Wysoko cenimy obu trenerów, obaj pracowali w naszym klubie, ale warunki tak się ułożyły, że trzeba było przyjąć inne rozwiązanie.

— Bronisław Waligóra też był już w Widzewie. Dlaczego właśnie on?

— Jest to trener z wysokimi umiejętnościami. Bardzo zdyscyplinowany i wymagający dyscypliny od zawodników. Na kadre klubowych piłkarzy składa się 20 osób. To duży zespół. Z takim zespołem trzeba umieć pracować i Bronisław Waligóra to umie. Jest człowiekiem ambitnym i chciałby, aby prowadzony przez niego zespół przodował nie tylko na krajowych boiskach, ale i pokazał, co umie w spotkaniach z zagranicznymi drużynami. Widzew daje mu szansę spełnienia tych zamierzeń. Nie każda drużyna daje takie możliwości. Naszym chłopcom potrzeba czegoś nowego i trener Waligóra chce im to zaproponować. W tych warunkach był on właściwym kandydatem i sądzę, że skorzysta ze stworzonych mu możliwości.

— Czy jest pan też takiej dobrej myśli, jeśli chodzi o naszą piłkarską reprezentację?



Foto: Grzegorz Gałasiński

— Myślę, że Antoni Piechniczek poradzi sobie z kłopotami. Jest to dobry trener, jest konsekwentny i mimo ostrej krytyki podjął zadanie.

— Czy sądzi pan, że nasza reprezentacja pojedzie do Meksyku?

— Na pewno!

— A mógłby pan powiedzieć, jakie trudności ma do pokonania Antoni Piechniczek?

— Nie stoję tak blisko spraw reprezentacji, abym mógł się na ten temat wypowiedzieć autoritatywnie. Mogę jedynie podzielić się moimi spostrzeżeniami. Przede wszystkim nie potrafimy jakoś utrzymać tego, co już zdobyliśmy. Po każdym sukcesie, zespoły się szybko rozpadają. Poza tym Antoni Piechniczek ma do pokonania duże trudności organizacyjne. PZPN jakoś nie potrafi sobie z tymi sprawami poradzić. Na ile znam ludzi w PZPN, to wydaje mi się, że są oni zdolni do załatwienia spraw organizacyjnych w taki sposób, aby nie powstały trudności i konflikty, ale jakoś to im nie wychodzi.

KRASNOLUDKI TEGO NIE ZROBILI

— 75 lat klubu sportowego — to piękny jubileusz. Jeszcze kilka lat temu Jan Ciszewski mawiał o Widzewie jako o klubie z przedmieścia Łodzi. Dziś to już zupełnie inny Widzew.

— Tak był to skromny klub dzielnicowy, dziś jest to klub polski. Czy pamięta pani boisko, na którym rozgrywaliśmy mecz o wejście do I ligi? Mieściło się tam dwa, trzy tysiące ludzi. Dziś mamy stadion na 20 tysięcy ludzi.

— Wtedy była mała, drewniana trybuna, a dziś jest już sztuczne oświetlenie.

— Nie tylko to. Jak oglądałem mecz między Juventusem i Liverpoolem, to pomyślałem sobie, że przecież obie te drużyny wyeliminował kiedyś Widzew z pucharowych rozgrywek. A jeszcze kilkanaście lat temu kto słyszał o Widzewie?

— Ale nie tylko to zmieniło się w Widzewie. Mamu już drugie boisko, Teren wokół klubu uporządkowany. Myślimy o budowie hali sportowej i hoteliku. Sami nie damy rady. Musimy z tymi projektami wejść do planu GKKFIS. W tym roku to się nie udało. Może w przyszłym. Sami nie damy rady.

— Widzew uważany jest przecież za finansowego potentata.

— To mił. Owszem jakoś sobie radzimy. Pożyczek z banku nie bierzemy. Pomagała nam inni. Miałem nam pomagać, widzewskie zakłady pracy, władze dzielnicy Widzew. Nie jest to taka pomoc finansowa jak niegdyś, ale zawsze. Zresztą często nie o pieniądze chodzi. Bardziej o stosunek przychylności, życzliwości. I taki mamy.

— A jeśli chodzi o pieniądze, o których tyle się mówiło, to pieniądze, jakie wzięliśmy za Bońka, leżą na boisku. Trochę wydaliśmy na inne potrzeby, ale głównie na modernizację boiska. Krasnoludki tego nie zrobili. Pomagali nam działacze sportowi, kibice, sympatycy, widzowiacy.

Mimo, że nasze zamierzenia nie weszły do planu GKKFIS, to robimy już projekt, rozpoznaliśmy pierwsze prace. Nie czekamy, aż inni za nas to zrobią.

Przez ostatnie lata nie zmienił się Zarząd klubu. Ja wiem, czy to dobrze? Może potrzebni byłiby nowi ludzie, ale skoro idzie nam nieźle, skoro mamy dobre wyniki, to widzę dobrze pracujemy w stałym składzie. Ale liczymy, że wróca widzowiacy ze świata i nas wspomoga.

— Czy nie marzy się panu RTS Widzew jako klub wyłącznie piłkarski?

— Marzy się. Myślę, że przyszłość Widzewa to piłka nożna. Ale mamu obowiązki wobec dzielnicy, wobec miasta. Mamu zespół koszykarki żeńskiej w II lidze, drużyna bokserska w III lidze, mamy kolarzy, sekcję gimnastyki artystycznej i koszykarki męskiej. Wydajemy na to 15 milionów złotych rocznie. Nie na tym nie zarabiamy. Zarabiamy piłkarze. Ale młodzież garnie się przecież nie tylko do piłki nożnej, do innych dyscyplin sportowych też i nie mamu prawa odmawiać tej możliwości sportowego wyciszenia się.

— Na zakończenie naszej rozmowy życze Widzewowi w imieniu Czytelników „Odgłosów” sukcesów we wszystkich dyscyplinach, ale przede wszystkim mistrzowskiego tytułu i Pucharu Polski. No, i następnych 100 lat.

— Dziękuję!

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Pieniądze za Bońka leżą na boisku

Rozmowa z LUDWIKIEM SOBOLEWSKIM — prezesem Zarządu Robotniczego Towarzystwa Sportowego WIDZEW.

drużyna piłki nożnej zdobędzie mistrzowski tytuł. Zawodnicy powiadają natomiast, że chcieliby zdobyć i tytuł mistrzowski, i Puchar Polski. Piękne to i ambitne zamierzenia, ale czy realne w świetle jesiennych niepowodzeń?

— Fakt, że wiodło się nam nie najlepiej. Trener nie dysponował pełnym zespołem. Były częste wyjazdy, zdarzyły się kontuzje, jak choćby Romanowi Wójcickiemu czy Włodzimierzowi Smolarkowi. Jestem przekonany, że gdyby Smolarek grał w meczach z Dynamo Mińsk, to wynik byłby zupełnie inny.

Trener Władysław Żmuda przyznał się, że w przygotowaniach do jesiennych rund popełnił błąd. Bardziej go za to szanuje. Przygotowania w Finlandii okazały się niewypałem. Była to wprawdzie wina fińskich organizatorów, ale tak było. Na mecze trzeba było jeździć po 600 — 800 km.

Zespół nie zawsze potrafił mobilizować się. Kiedy mobilizował wszystkie siły, osiągał dobre wyniki. Tak było w meczu ze szczecińską Pogonią, Lechem, choć to był tylko remis, z Legią, chorzowskim Ruchem. Gorzej było z meczami, które wydawało się, powinny być łatwe, a przeciwnik do ogrania. Zabrakło mobilizacji w pierwszym meczu z Duńczykami. Dopiero, gdy zagrała w oczy groźba wyeliminowania, nastąpiła pełna koncentracja. W meczu z Borussia jeszcze do przerwy wisiała nad nami groźba wyeliminowania. Piłkarze zmobilizowali się w drugiej połowie. To był kapitalny mecz. Ale po tym meczu nastąpiła dekoncentracja i mecz z Górnikami Zabrze był fatalny i taki sam był mecz z Dvnamo Mińsk w Łodzi. Ale wystarczyły dwa tygodnie, aby drużyna odmieńniła się. Wszystko więc jest możliwe i wszystko zależy od piłkarzy, od tego, jak będą grali, czy potrafią zmobilizować wszystkie siły.

— I jeszcze żeby byli skuteczni, żeby strzelali gole. Brak skuteczności widać zresztą nie tylko w Widzewie.

— To nas nie pociesza. Ale to rzeczywiście jest jakiś ogólny mankament, który szczególnie ostro dał znać o sobie w ostatnim czasie. Wiem, że kibice mają na ten temat swoje zdanie i gotowe recepty, co trzeba zrobić, aby piłkarze strzelali gole. Według mnie jeszcze jest za wcześnie aby mieć na te sprawy pełny i wszechstronny pogląd, i wiedzieć, jak temu przeciwdziałać.

porozmawiali ze sobą po meksku. Darek Dziekanowski zrozumiał, że kontrakt podpisał do 1990 roku i musi pracować. Rysa się nie powiększyła, a sądzę, że się już zabliznia. Ci, którzy liczyli na sensację, na zalamanie drużyny, zawiedli się. I w tym, jak spokojnie rozwiązaliśmy pisyjący się konflikt, pomógł — mam prawo tak mówić — widzowski charakter naszej drużyny.

— Kibice są jednak niezadowoleni z gry Dariusza Dziekanowskiego. Mówi się, że boi się zdecydowanie atakować, strzela niecelnie. Czasem w ogóle nie jest widoczny na boisku podczas gry. Minęło już półtora roku i nadal czekamy na to, co powinien pokazać. To przecież zdolny piłkarz.

— Ja też czekam, aby pokazał to, co umie.

— I wierzy pan, że pokaże?

— Tak. To jest zdolny piłkarz. Wart jest tych pieniędzy, jakie za niego zapłaciłiśmy. Będzie z niego jeszcze pociecha. Ma trudny charakter. Musi wewnętrznie dojrzeć. Zmężnieć. Dzisiejszy futbol oparty jest na sile. Potrzebna jest doskonała technika strzelania golu. Trzeba dużo i solidnie pracować. I Darek Dziekanowski pracuje. Pracują zresztą wszyscy.

— Do takiego klubu jak Widzew nie przychodzi się jednak po to, aby się uczyć piłki nożnej.

— Zgoda. Tylko trzeba pamiętać, że nie wszyscy, którzy grali w Widzewie od razu stawali się asami, znajdowali dla siebie miejsce w podstawowej jedenastce. Czy Rozborski i Tłokiński od razu byli dobrymi piłkarzami? Siedzieli też na ławce, trenerzy zdejmowali ich z boiska. Donasowywali się do zespołu. To musi być proces. I na to potrzeba pracy i cierpliwości.

RODZI SIĘ NOWY WIDZEW

— To prawda, że człowiek szybko zapomina o tym, co było. To prawda, że w drużynach zmieniają się zawodnicy i nowi nie od razu potrafią się dopasować do zespołu. Ale przecież w innych drużynach dzieje się podobnie. Niektóre zespoły już się ukształtowały i odgrywiają w I lidze czołową rolę. Czołówkę stanowią teraz cztery drużyny. Czy pan się tego nie obawia?



Foto: Grzegorz Gałasiński

— Stosunki między Kościołem a państwem są uregulowane, ku zadowoleniu obu stron. Jak w tych warunkach Wasza Eminencja sformułowałby zadania Kościoła rzymskokatolickiego w dzisiejszym społeczeństwie węgierskim? Interesują nas przede wszystkim poglądy Waszej Eminencji nie tyle na wewnętrzne sprawy Kościoła, co na jego rolę w świecie.

— Stosunki między państwem a Kościołem można uznać za uregulowane pod tym względem, że w istocie nie uzyskało na Węgrzech dokładnie określone granice. Państwo, realizując zasadę wolności wyznania, uznaje wolność działania Kościoła, jako wspólnot wyznaniowych, one natomiast akceptują wolę budowy społeczeństwa w państwie ludowym, a także jego strukturę. Kościoły akceptują między innymi socjalistyczne przeobrażenia na wsi, jak również wcześniejsze postępowania ustawy o nacjonalizacji, zgodnie z którą ziemia i środki produkcji przechodzą w ręce ludzi pracujących; akceptują również to, że państwo w kierowaniu i rządzeniu swym organizmem kieruje się wola ludu, a więc mówiąc inaczej — że pragnie stworzyć socjalistyczną, ludową władzę robotniczą. Dzisiaj jesteśmy na Węgrzech świadkami tego, że dawno już przestała istnieć władza kapitału i wyzysku, że urzędowna została wladza ludu (...). Tak więc porzućmymy zawarte między tymi dwoma podmiotami, między Kościołem i państwem, oparte jest przede wszystkim na wzajemnej akceptacji i wzajemnym uznawaniu siebie oraz chce te wartości utrwalić. Nie ingerując wzajemnie w swoje sprawy obie strony dążą do tego, aby istnieć obok siebie w spokoju; Kościół zdecydowanie chce czynić wszystko, co służy rozwojowi państwa socjalistycznego, natomiast państwo stwarza (lub zezwala na stworzenie) warunki, w których Kościół może kształtować swój byt według jego własnych wewnętrznych prawideł.

Tak więc, w tych warunkach, zadania Kościoła rzymskokatolickiego w węgierskim społeczeństwie sformułowałbyś tak, że pragniemy kształtować świadomość naszych wiernych w taki sposób, aby uznali za swój obowiązek, za własny cel, zaakceptowanie przez państwo porządku społecznego, czyli aby każdy świadomie i w sposób wynikający z wiary, pomagał przy budowie naszej węgierskiej, socjalistycznej ojczyzny.

Patrzac dziś wstecz na kształtowanie się stosunków pomiędzy państwem a Kościołem, musimy stwierdzić, że w kontaktach tych nastąpił zdecydowany rozwój, że pewne początkowe pragnienia, przewidywania, lub — można by powiedzieć — zasady wzajemności podlegały w każdym przypadku rozwojowi i dzisiaj dotarły do stopnia doskonałego; tak, dzisiaj jesteśmy zdania, że współistnienie osiągnęło już wysoki poziom. Dużą pomocą w tym rozwoju był II Sobór Watykański, bowiem na tym najwyższym forum Kościół podkreślił takie zasady nowego otwarcia, które były w stanie stworzyć nowe formy spojrzenia lub podejścia do pewnych spraw; trzeba uznać istniejące prawidłowości i wewnętrzny rozwój świata, a wyopowiadając na nowo zasadę wolności wyznania, należy głosić niezależność i wolność sumienia; podstawa do dialogu, do spotkania — może być każdy humanistyczny światopogląd lub wewnętrzna struktura poglądów. W pojęciu Kościoła dialog istnieje po to, abyśmy mogli nawiązać kontakt z każdym człowiekiem. Dzisiaj losy świata nie pooczywiają w rękach ludzi wierzących czy niewierzących, w rękach chrześcijan czy niechrześcijan, ale raczej w rękach ludzi dobrej lub złej woli. Dialog jest nie tyle rozmowa, co zdarzeniem; trzeba szukać wzajemnie u siebie wartości i bezuważać na nich odnajdować drogę do siebie. Jeśli tak jest, to obecnie największym obowiązkiem każdego wierzącego katolika, a także i Kościoła jako instytucji, jest poszukiwanie wartości w dążeniu świata do wielkich przeobrażeń społecznych, a u nas, w kraju, do działań na rzecz budowy socjalistycznego państwa oraz pozycyna służyć rozwojowi kultury. Obowiązkiem jest do-

strzeżenie tych wartości, uznawanie ich i wzajemne wspomaganie się. Może tu być mowa jedynie o wartościach humanistycznych, nie zaś o materialnych, a te dadzą się z pewnością pogodzić z naukami chrześcijańskimi, z ewangelią Jezusa Chrystusa.

Nadal jesteśmy świadkami pewnej sekularyzacji Kościoła, czy też jego laicyzacji. Kościół szczególnie po uchwałach Soboru świadomie chce być „świecki”. W uchwale Soboru „Sytuacja Kościoła na świecie” zawarto zasady określające w jaki sposób i gdzie Kościół może być pomocny w dzisiejszym świecie. Sobór zwrócił się w stronę ludzi i w ten sposób otworzył szerzej drogę ku światu ludzi, lecz pragnął poprzez nich samych poprowadzić ludzi do Boga i w ten sposób

Sens i praktyka dialogu

poprzez Boga wskazać im drogę do siebie. Tak więc nastąpiła pewna zmiana w widzeniu świata: rzeczy będąc tworem Boga wskazują na Niego, ale nadal pozostają rzeczami tego świata, dlatego dokonując porównania należy ustawić je obok siebie i przekształcić w odrębny świat. Można by powiedzieć, przekształcić w „świat poświęcony”. Tak więc wszystko ma swoją, można by powiedzieć, świecką wartość: natura, ludzkie czyny, świat działalności człowieka, historia, ludzkie ciała, związki miłosne między kobietą i mężczyzną, rodzina wewnętrzna wola istnienia rodziny, kontakty społeczne ludzi. Kościół w związku z tym nie pragnie niczego innego niż to, aby podstawowe prawdy Ewangelii, etyczna zasada granicy między dobrem a złem, realizowane były dla dobra ludzkości, czyli abyśmy umieli spożytkować te, stworzone przez Boga lub przez naturę, wartości.

W ten sposób i praca zyskuje nową ocenę, powstaje nowy system wartości w podejściu do jednostki, kolektywu społeczeństwa czy wspólnoty narodowej, w podejściu do ponownego rozpatrywania zadań dotyczących polityki, kultury i cywilizacji. Mamy przed sobą wielką sprawę, bo to w naszym kraju przy rozpoczęciu na nowo, przy kształtowaniu się naszej dzisiejszej historii oznacza dla nas propozycję, możliwość i to powinniśmy uwzględnić w naszym chrześcijańskim światopoglądzie. W skrócie powiedziałbym tak: w centrum uwagi państwa socjalistycznego stoi ocena człowieka, jego wyniesienie, kształtowanie moralnego sumienia jednostki w duchu odpowiedzialności za społeczność, „uczynienie osobowości człowieka wolną” w celu uformowania na nowo kultury i cywilizacji. Tak więc, w tym ujęciu, pojęcie jednostki i wspólnoty wymaga nowego przewartościowania i nowego ugruntowania. I w tym właśnie Kościół chce i może coś ofiarować ze swojego liczącego dwa tysiące lat humanistycznego, religijnego sposobu widzenia.

Tyle chciałbym powiedzieć w związku z pierwszym pytaniem godając, że zdaje sobie sprawę z wielu trudności pojawiających się przy tworzeniu państwa socjalistycznego i budowie socjalistycznego społeczeństwa. Potrzeba byłoby więcej konstruktywnej krytyki, bardziej radykalnego obstawania przy zjawiskach pozytywnych, piętnowania istniejących grzechów społecznych, lepszej obrony prostego człowieka. Niestety nie zawsze daje się odczuć, że etyka socjalistyczna jest faktycznie „moralna”, a więc, że jest to podstawa moralna oparta na zbiorowym poczuciu odpowiedzialności, potrafiąca odróżnić dobro od zła. Niestety na razie musimy walczyć z egoizmem i nadużywaniem władzy przez niektórych ludzi. Mój stosunek, moje nastawienie do dzisiejszej sytuacji jest pozytywne i taka jest sytuacja w przypadku 90 proc. duchowieństwa. Nie sądzę, aby w naszym kraju znalazło się stu takich duchownych, którzy pragnęliby przywrócenia poprzedniego stanu.

— Kulturalne posłannictwo Kościoła, podejmowanie przezeń tego typu zadań było zawsze — oczywiście w zmienionych formach i rozmiarach — w ciągu wieków, w węgierskim życiu umysłowym znaczące. Jak Ksiądz Biskup widzi dzisiejsze możliwości Kościoła w tej dziedzinie? W jaki sposób kultura katolicka może stać się częścią dzisiejszego powszechnego węgierskiego życia duchowego?

(...) Moim zdaniem pierwsze co także i dzisiaj może robić Kościół — a co wynika z jego istoty — to nauczanie, ukazywanie skarbów umysłowych, kulturalnych i duchowych, inspirowanie do zagładania we własne życie, odkrywanie dotychczas, być może, niekniętych skarbów wartości. (...)

A jeśli myśli o teraźniejszości, co może zrobić Kościół dla życia duchowego na Węgrzech? Może z ambony formować ludzi czystych, humanistów, pragnących jasnego widzenia świata, dla których najważniejsze jest podejście do ludzkiej, społecznej odpowiedzialności, która może być tylko identyczna z tą jakiej podjęło się dzisiejsze węgierskie państwo wobec narodu węgierskiego. Kiedy w niedzielnym kazaniach jest mowa o tym jak trzeba wypełniać swoje powinności, jakie powinno być poczucie odpowiedzialności wobec społeczeństwa, wobec imienia człowieka, czy towarzysza pracy, co należy czynić, aby nasza praca mogła być oceniona jako służąca narodowi, kiedy uswiadomiamy naszym słuchaczom, że wspólnie musimy walczyć z naszymi węgierskimi problemami, takimi jak alkoholizm, jak niechęć do posiadania więcej niż jednego dziecka w rodzinie — to mamy do czynienia z walką o kształtowanie narodu. I dzisiaj grzechy narodowe ujawniają się nieprzejętym w pewnym wygłoszeniu, mówiąc, inaczej w lenistwie, w bujaniu w obłokach, w planowaniu ponad miarę i możliwości; możemy powiedzieć, że objawiają się one także we wzajemnej nieufności. Nadszedł wreszcie czas, abyśmy na nowo, lub w inny niż dawniej sposób mogli ukazać brak węgierskiej jednostki. Musimy więc czynić w imię jedności, w imię jedności naszego narodu. (...)

Dla Kościoła, rodzina jest niewątpliwie największym punktem; tutaj Kościół otrzymał najcięższe wyzwanie, przed wszystkim z powodu liczących rozwodów. Jeśli rokrocznie rozpada się jedna trzecia związków małżeńskich, to wciąż pozostają osierocone, przerwane — przynajmniej przez jedną stronę — dzieci, które wprowadzić nie traflają na ulicę, ale spadają na barki społeczeństwa, a społeczny aparat wychowawczy, nawet doskonały, nie zastąpi ciepła domu rodzinnego, jedności rodziny. Pragnęlibyśmy więcej zajmować się rodziną, ale jak to jest możliwe, jeśli dotychczas niejednokrotnie kontakty Kościoła lub duchowieństwa z niektórymi rodzinami sledzone były z podejrzliwością; od razu przypięto etykietkę: ten lub tamten ma kontakty z klerem.

Chcielibyśmy głębiej wniknąć w dusze młodych, ale jak możemy osiągnąć efekty, jeśli nie możemy zajmować się młodzieżą w sposób bezpośredni? Nie w głowie nam tworzenie katolickiego ruchu młodzieżowego. Mamy do rządu jedynie taką prośbę, żebyśmy mogli więcej i bardziej bezpośrednio zajmować się młodzieżą, tylko ta młodzież, która chodzi do Kościoła, tymi młodymi, którzy chcą czytać Pismo Święte, którzy w tej czy innej sprawie potrzebują wskazówek księdza, ponieważ chcieliby zgłębiać ducha chrześcijaństwa i nauki Chrystusowe.

Pragnęlibyśmy, bez jakichkolwiek ubocznych tendencji, bez polityki, zaproponować całemu węgierskiemu Kościołowi, także i społeczeństwu, takie metody pracy, abyśmy i my mogli przyczynić się do

wychowania młodzieży myśliciel krytycznej, pragnącej wolności człowieka, umiejącej aktywizować jego kreatywne siły. Jest to zagadnienie bardzo delikatnej natury, ale młodzieży trzeba ratować; Kościół naprawdę chętnie służy pomocą chcąc ukształtować w młodych chrześcijański światopogląd wypracować cechy chrześcijańskiego humanizmu lub chrześcijańskie cechy ludzkie, nie chcąc z nikogo ożniczyć ani niechętnego dążeniem węgierskiego socjalizmu. My też chcemy tylko jednego: nowego człowieka o cechach spręczeniowych, podstawy nowego społeczeństwa, w którym ludzie żyją dla siebie, gdzie nie ma wyższości, gdzie wielkim celem jest raczej rozwój i pomnażanie wartości: nowych ludzi, nowych osobowości, ludzkich

indywidualności, nowego zwarcie społeczeństwa. Jest to także i nasz cel. (...)

Jako odrębne zadanie wyznaczymy wychowanie w duchu patriotyzmu. Węgierska młodzież także przeżyła pewien kryzys wartości. Praktycznie od nowa musimy tuńczyć młodzieży, co naprawdę oznacza rodziną, co oznacza intelektualny i etyczny związek kobiety i mężczyzny, co to jest miłość, młodość poetycka, piękna i będąca źródłem ciepła dla duszy ludzkiej, co to jest przyjaźń, co oznacza przynależność do społeczeństwa, co wspólna praca, wspólna odpowiedzialność, jak również co to jest państwo, co to jest naród. Są to wszystkie określenia dotyczące kultury i wartości, musimy je wciąż przedstawiać węgierskiej młodzieży, oczyszczając z naleciałości.

— Żyjemy w kraju socjalistycznym i ideologia Kościoła — jeśli wolno nam się tak wyrazić — naturalnie zderza się ze sformułowanymi w duchu marksistowskim celami państwa. Zderzenie to w dzisiejszych warunkach nie oznacza opozycji, ale w każdym razie stwarza potrzebę dialogu między światopoglądami. Jakie jest zdanie Waszej Eminencji na temat obecnego stanu prowadzonego dialogu i ewentualnych zadań na przyszłość?

— Na to pytanie to już częściowo odpowiedziałem, kiedy wcześniej była mowa o dialogu. Dialogiem zajmowałem się bardzo dużo, przekonalem się o jego wadze, rzekłbym o jego praktycznej niezbędności. Dialog jest przede wszystkim spożkaniem intelektualnym, duchowym. Zasiadają do rozmowy dwie — lub więcej — osoby, zaczynają o czymś rozmawiać, niekoniecznie dyskutować, i powoli dochodzą do wniosku, że w różnych poglądach odkrywają wspólne wartości i cechy dające się połączyć i czują, że najbardziej przeciwstawne poglądy można czasami doprowadzić do zdumiewającej jedności. I to już jest dialog, gotowy dialog. Dialog ma wiele okoliczności poprzedzających wiele przygotowań. Podstawa dialogu jest pewne samowychowanie, wychowanie siebie na rzecz bycia szczerym, otwartym, gotowym do rozmowy. Aby coś rozstrząsać, na początek potrzeba jest otwartości, szczerości i gotowości. Druh niezbędnym czynnikiem jest rozpoznanie realiów: musimy uznać fakt, że istnieje sprzeczność i że nie wzięliśmy się z powietrza, lecz wynikają z realiów rozwoju historycznego i kształtowania się losów ludzkich, które różnią się między sobą. Prawda jest jedna, ale jest wielowarstwowa, ma wiele składników. W prawdzie kryją się nie antagnizmy, lecz przeciwności i należy zebrać wspólne cechy w jedność na tyle, na ile to możliwe. Dzisiejszy świat świadomie pragnie być wielowarstwowym, wielowartościowym, słowem pluralistycznym. Szczególnie widoczny jest obecnie pluralizm religijny: dzisiejszy świat akceptuje chrześcijaństwo, ale akceptuje także marksizm, akceptujemy dążenia buddyzmu jako wysiłki wielkiej religii w kierunku oczyszczenia duszy, akceptujemy mahometan w ich pragnie-

niu oczyszczenia się i w moralnej świadomości. W dialogu między Wschodem a Zachodem takie podejście ma zasadnicze znaczenie. W skali wartości ludzkich zestrzymamy ze sobą napięcia między jednostką i społeczeństwem. Różne barwy, różne dźwięki. I w ten sposób powstaje ten jedyny człowiek i tego jedynego w swoim rodzaju człowieka, ludzka rodzinę chcemy powołać do życia przez wykrebowanie człowieka wielostronnego — to oznacza bowiem nowe społeczeństwo.

Naturalnie wielka sprzeczność pomiędzy marksistowską interpretacją człowieka a interpretacją etyki chrześcijańskiej pozostanie. Ta dwoistość istniała zawsze: jedni wierzyli w Boga, poszukiwali transeendentnych sił, aby w oparciu na nie układać swoje życie; są to ludzie wierzący i jeszcze dzisiaj świat pozostaje w znacznej części wierzący. Zawsze istnieli ludzie, którzy bez Boga, całkowicie immanentnie, na gruncie materialistycznym starali się ukształtować takie prawa moralne i społeczne, wypracować takie wskazówki światopoglądowe, które także miały na celu szczęście człowieka. Istotę chrześcijaństwa na ogół określa się tak, że chrześcijanin to człowiek, człowiek ochrzczony na obraz i podobieństwo Chrystusa, który potrafi żyć dla innych, tak jak Chrystus był „człowiekiem który żył i umarł za innych”.

Tak, w tym się kryje w zasadzie wielkie zadanie, to pomaga ludzkości przetrwać obecny kryzys: nadzieja, że mimo wszelkich sprzeczności ludzkie wartości spotykają się jednak i przy ich spajaniu zaplonie wielki ogień, w którym spłonie wszelki żużel, wszystko co nie stanowi wartości, ponieważ w końcu zapytamy jakiegoś marksistę w co wierzy, to w zasadzie odpowiada: w to samo co chrześcijanin: w lepszego, moralnie oczyszczonego człowieka, w człowieka budującego ludzkie społeczeństwo. Według słynnego neomarksisty z Tübingen, E. Blocha ratunek dla ludzkości tkwi w nadziei, w takim kształtowaniu się sił ludzkich, gdzie dobro zwycięży zło. Niemala to praca, trzeba włożyć wiele wysiłku, aby właśnie spośród dzisiejszych zdarzeń odnaleźć wspólne pierwiastki, wspólne wartości i sprawić aby one zaowocowały.

Na parafach na nowo organizują się związki międzyludzkie z jednej strony w postaci wspólnoty ludzi zgromadzonych wokół ołtarza, z drugiej zaś strony pragną oni wspólnie w duchu krzyża chrystusowego, dźwigać swoje ciężary i kłopoty. Kościół w jednym chciałby uzyskać coś więcej: nowoczesną i współczesną jest to, że Kościół tworzą także wierni, a więc nie tylko kler. Kościół to nie duchowni, ale wspólnota wiernych i duchownych. Mówimy tak: godzina laików, ludzi świeckich wybiła właśnie teraz, kiedy zbliżamy się do końca godziny dwudziestej czwartej. Rola wierzących będzie głębsza, bardziej wszechstronna, ponieważ dla nich jest Kościół. Oni też muszą nauczać się wzajemnie, oni także muszą podjąć się służby duszpasterskiej nie w tym samym znaczeniu, ale z tą samą treścią, choć oczywiście nie służby wyswięconych księży. Wszyscy jesteśmy dla siebie wzajemnie duszpastkami, nauczamy się wzajemnie, modlimy się za siebie, ponosimy dla siebie ofiary, kierujemy sobą wzajemnie, pilnujemy i strzeżemy się wzajemnie. Tak więc w Kościele stróżowanie księży, pasterzy przejmują częścią wierni i będą je kontynuować. Tak sobie wyobrażamy wspólnotę kościelną, sądzimy że potrafi ona być przykładem dla wielkiej wspólnoty ludzkiej, jak mówią o tym nauki Kościoła płynące z postanowień II Soboru Watykańskiego: w Chrystusie trzeba jednaczyć ludzi z Bogiem i ze sobą wzajemnie. Chcielibyśmy, aby ta jedność rozkiwiła na całym świecie, wierzymy, że wspólno-

ta zgromadzonych wokół ołtarza wiernych może być przykładem dla tej wielkiej obywatelskiej społeczności ludzkiej, jej „zaczytni”.

Po tym co powiedziałem, spróbowałbym podsumować, co sądzą o obecnym stanie dialogu. Dialog między państwem a Kościołem w naszym kraju przybrał na sile, ale w rzeczywistości raczej rozszerzył się aniżeli pogłębił i obecnie oczekujemy właśnie tego pogłębienia, co moim zdaniem byłoby, wraz z ponownym uzgodnieniem zasad, bardzo istotne. Trzeba koniecznie zaspokoić pragnienia, potrzeby i życzenia wiernych: prawdopodobnie nie czytali oni dokumentów II Soboru Watykańskiego, a jednak jakby stamtąd wiedzieli, że dzisiaj Kościół musi udowodnić w społeczeństwach wiernych swoją żywotność i gotowość do służenia dla dobra ludzkości. Na dalszym etapie dialogu obecność katolików świeckich w odnawiającym się życiu Kościoła byłaby takim krokiem naprzód, z którego państwo miałoby co najmniej takie same korzyści, jak Kościół.

Papież, przy okazji wystąpienia pożegnane przed wyjazdem z Polski, stwierdził w Krakowie wspólnie z generałem Jaruzelskim, około północy: obecność papieża była pożyteczna, dialog należy kontynuować na nowym gruncie, biorąc pod uwagę aktualne realia historyczne. U nas także trzeba kontynuować dialog, obie strony muszą brać pod uwagę nowe potrzeby i wzajemne, uzasadnione oczekiwania. Na podstawie dobrych doświadczeń, w całkowicie już odmiennych warunkach społecznych. (...)

Więliki zwrot historyczny który u nas nastąpił, spowodował, że kształtowanie się procesu historii ukierunkowane zostało na zwykłego, biednego człowieka. Miało to na mnie nie lada wpływ; wiedziałem o istnieniu ponad dwu i półmilionowej rzeszy proletariatu wiejskiego, wiedziałem o robotnikach pracujących przy pracach ziemnych, o pracownikach najemnych na wsi, o pracujących nocami przy wyładkach, wiedziałem co to jest niedostatek, znalazłem cierpienia w obejsiach tych biedaków. (...)

Teraz kiedy więcej zajmujemy się stosunkami Kościół — państwo oraz Kościół — społeczeństwo widzę, że to początkowe — w pierwszych latach 30 wojnie — ustalenie się na pozycjach przeciwnych praktycznie zankto. Rozdwojenie to było zrozumiałe; zderzyły się jednak ze sobą dwa światopoglądy, dwie podstawy społeczne.

Od początku wiedziałem, że musi dojść do zbliżenia, że liczące dwa tysiąclecia wartości Kościoła muszą spotkać się z wartościami nowego porządku społecznego. Pomimo wewnętrznych sprzeczności i trudności Kościół od samego początku potrafił, na gruncie Ewangelii, ocenić pryncypia i dążenia państwa socjalistycznego w dziedzinie budowy społeczeństwa. Z własnej potrzeby, z wewnętrznej przymusi, z przekonania stanął po stronie tych wartości i pragnął popierać państwo w ich osiaganiu. Kościółowi bliższe było społeczeństwo zbudowane na równości i sprawiedliwości społecznej. Kościół chciał dzielić los z całym społeczeństwem; podjął się losów narodu, losów biednego szarego człowieka. Na nowo staliśmy się biedni, bo staliśmy się równi. Ale jednocześnie stało się to naszym bogactwem; Kościół docenił to, bo potrafił to docenić.

I właśnie w tych powodów, z powodu mojej wewnętrznej postawy, mojego nastawienia, na podstawie historycznego spojrzenia, z wielką wewnętrzną radością opowiedziałem się za taką formą pracy kształtującej węgierskie losy która chce zapewnić narodowi węgierskiemu wyższą pozycję, chce przyczynić się do jego rozwoju, aby dalsze koleiny historii móc budować na wartościach etycznych i duchowych. Kościół zawsze pozostawał w dobrych stosunkach z narodem i teraz też Kościół musi wspierać ten naród, a naród docenia obecność i pomoc Kościoła. (...)

(Kolejny odcinek „W imieniu Boga” — tajemnicza śmierć Jana Pawła I zamieścimy w następnym numerze naszego pisma).

W kręgu fantastyki

Wiatr wył mi w uszach. Siedziałem okratem na krawędzi obrzymiej tarczy wahadła, z nogami oplecionymi wokół jego ramienia, którego drugi koniec znajdował się poza Układem Słonecznym. Wahadło opadało ku Ziemi, przycinając z gwizdem atmosferę i nabierając predkości, by pokonać siły grawitacji i wynieść mnie w przestrzeń kosmiczną, gdzie mógłbym doznawać nieograniczonej swobody. Poda mna leżała rozległa równina podziurawiona jak ser platanina podziemnych korytarzy, perforowana gesto otworami szczyrzych nor i kretowisk. Nad tą równiną unosiły się trujące wyziewy i opary, radioaktywne obłoczki i dźwięki muzyki orkiestrowej. Wkrótce też zobaczyłem te orkiestry. Składała się z kompanii bolnych myksy zawieszce dmacych w roli, pużony, traby oraz tuby i z przebiegiem walących w bebny i taletze. Zbliżyłem się do niej z zapierająca dech szybkością.

Orkiestra dźwiękowa androidalny robot ubrany w mgielna podomke z napisem: KLUB SPORTOWY „JASIO WĘDROWNICZEK”. Na prawo od niego z zadarta głowa stał SzeF. Od czasu do czasu podskakiwał w miejscu i rzycał. Dzielilo mnie od niego już zaledwie kilkadziesiąt metrów, więc wyraźnie słyszałem, co rzyca.

— Zostałeś wyjęty spod praw! — rzycał. — Zostałeś wyjęty spod praw!

Palcem wskazywał mnie ZoJce, która stała obok niego z dubeltówka w swoich biegłych dloniach.

— Odrzutel mu! — ryknął SzeF do niej. — Jego jaja są potrzebne naszemu Instytutowi! Odrzutel mu je! On prowadzi niekontrolowane reakcje jądrowe!

Tak szybko, że obraz rozmazał mi się przed oczyma, minalem ich ze świstem i wtedy huknęły strzały. Otoczył mnie rój bzyuczających kulczek struty, które przez chwile asystowały mi w locie, by zamienić się w różnokolorowe konfetti i osiaść na moim ciele.

— Jesteś mój! — wrzasnęła za mna Renata. Droge przejechali mi spirale papierowych serpentyn. Dwie z nich były kobiecymi rekoma, które od tyłu objęły mnie w pasie, wyciągając się na niewiarygodną długość.

— Jesteś mój! — wrzasnęła powtórnie Renata słabnym głosem.

Dzielała nas odległość rosła teraz gwałtownie i jej rece na moim brzuchu, wzorem papierowych serpentyn, napięły się i pękły. Pozostał z nich tylko furkoczający do obu moich stróżach fragment: który w końcu skurczył się, przyciwał mi do rozporzka i przybrał dwuczynny kształt. Rozsunąłem nogi i położyłem ten fragment na dloni, żeby mu się lepiej przyrzec. Był wiśniowy, jakby nabiegł krwią. Wiśniowy w delikatny biały desec. Jeszcze trochę rozsunąłem nogi i nagle straciłem pod sobą oparcie.

Wiatr nadal wył mi w uszach i znowu opadałem ku Ziemi — z tym że teraz pionowo w dół. Zachowując swoją poprzednią pozycję siedzącą, ścisnąłem w garści krawat Kudatego. Ten krawat trzepotał na wysokości mojej twarzy. Przede mna wisiało wahadło, z którego właśnie zesłiznęło się nieopatrnie. Było wielkości słonecznego krzaka, wykonywało szybki miarowy ruch i mówiło:

— Trdyk-dak, trdyk-dak, trdyk-dak.

Przeniósłem wzrok wyżej i zobaczyłem tarczę prądziadkowego zegara. Dochodziła siódma. Kał, pod jakim promienie słoneca wadwały do mieszkania świadczył, że jest to siódma po południu. Gdzieś wyleciało mi z życia ponad dwanaście godzin.

Siedziałem na tapczanie w swoim pokoju, ubrany w koszulke polo z krótkimi rękawami i w sztruksowe spodnie. Strażnik również tu był. Stał przy oknie i patrzył na ulicę. Miał chyba ponad sześćdziesiąt lat; ożrzała twarz pokryta zmarszczkami i kilkudniowym zarostem o srebrzystym zabarwieniu, małe usta, krótki, prosty nos i wypukłe czoło, na które opadały gędziorzy siwych włosów przylegających do głowy. Było w nim coś z greckiego posaga.

— Nie zdążę — powiedział.

— Nie zdążysz? — zapytałem.

Wydawało mi się, że jest to pytanie, jakiego ode mnie oczekiwało.

— Z tą zybą. Nie zdaje jej wstawić do jutra.

— Dlaczego do jutra?

— Mówię ci przecież — odparł patrzeć na ulicę. — Jutro wieczorem świat wróci do punktu wyjścia.

Mgliste i fragmentaryczne wspomnienie nawiedziło mnie przelotnie. Przypomniałem sobie, że niedawno wzięłem kąpiel i zrobiłem małą przepierkę, rozmawiając przez otwarte drzwi ze Strażnikiem który szykował dla nas obu obiad w kuchni. Ale temat naszej rozmowy wleciał mi z pamięci. Miałem przerwać w żyworwie. Jako zanotowaniowiec nie po raz pierwszy miałem taką przerwę.

— Zostawie ten sklep w takim stanie, w jakim jest — kontynuował Strażnik. — Zreszta ty tam na domiar zniszczyłeś instalację alarmową, a ja się nie znam na elektronice.

— Uhm.

— Musisz tylko odnieść ten sztucer i naboje. I usunąć swoje odciski palców ze wszystkiego, czego dotykałeś w tamtym sklepie.

Zapaliłem papierosa. Palenie papierosów pomaga mi w koncentracji.

— Ty też zostawiłeś odciski — odezwał się. — Na drzwiach „Amaltei”. Masz bliźnię na palcu, prawda?

dnioi.

Z roztargnieniem spojrział na swoją prawa — Wyczyszczone te drzwi jutro rano — powiedział — kiedy ty będziesz już w drodze do Miasteczka.

Skąd mu przyszło do głowy, że ja jutro dokądkolwiek wyjadę? Strzeżnałem popiód do twista pełniące funkcje popielniczki i mrukałem na wszelki wypadek:

— Uhm.

— Pamiętaj, że musisz znaleźć się w Miasteczku dokładnie o tej samej porze, o której przyjechałeś tam tydzień temu — ciągnął Strażnik. — Dokładnie o tej samej porze i dokładnie w tym samym miejscu. To ważne. W przeciwnym razie zmienisz bieg wydarzeń. Trudno przewidzieć, jakie by to miało następstwa. — Uśmiechnął się smutnie. — Mogłbyś nawet zniknąć w tak zwany tajemniczy sposób.

— Mogłbym zniknąć?

— Oczywiście w poleceniu wszystkich tych ludzi, którzy jutro o godzinie dziesiątej wie-

JACEK SAWASZKIEWICZ

Wahadło

czorem wróca do tego świata. „Wróca” to może zreszta niewłaściwe słowo. Oni się w tym świecie zmaterializują.

Z parapeetu okna Strażnik wziął swoją szklankę z sokiem i usiadł na krześle. Stony oparł na transporterze z butelkami „Czystej żytniej”, który rąbnałem z supersamu. Zawiesił na nim spojrzanie.

— Pojutrze — rzekł — w wielu miastach na łamach popołudniowych gazet znowu ukaza się doniesienia o serii włamań, o kradzieżach i aktach wandalizmu, których sprawców nigdy nie uda się ustalić. O ofiarach nagłej śmierci, osobach zaginionych w niewyjaśnionych okolicznościach, zagadkowych awariach i katastrofach, o tych wszystkich niewytłumaczalnych zjawiskach i osobliwych zdarzeniach bulwersujących za każdym razem opinie publiczną w różnych rejonach świata.

— Jak to, „za każdym razem”?

Jego zamysłone spojrzanie spoczęło na mojej twarzy.

— Zdawało mi się, że słuchałeś tego, co do ciebie mówiłem, kiedy byłeś w łazience — powiedział. — O tych trojgu, na których natknąłem się podczas trwania poprzednich anomalii.

— Aha, o tych trojgu — odpowiedziałem z głębokim zrozumieniem.

W gruncie rzeczy rozumiałem tyle, ile może zrozumieć Europejczyk, do którego przemawiała w języku suahili.

Jeden z mężczyzn, prezes bardzo ważnej instytucji, sprofanował zwłoki młodej kobiety w kostnicy i splądrował osiemnaście sklepów. Część łupu przeniósł do swojej willi, część ukrył w rodzinnym grobowcu, część zakopał w lesie i wreszcie powiesił się na własnym pasku od spodni. Ten drugi... to był jakiś komendant... wpięty okradł swoich sąsiadów, potem włamał się do kilku sklepów jubilerskich, a potem usiłował wyjechać za granicę. Akurat w czasie, kiedy ta anomalia dobiegała końca. Nazajutrz jego samochód znaleziono na boku drogi, w pobliżu przejścia granicznego. Silnik samochodu pracował na biegu jałowym, w bagażniku znajdowały się zagrabione kosztowności, ale facet zniknął bez śladu. A tamta dziewczyna... przez trzy dni buszowała w salonach mody, w cukierniach i antekach. Czwartego dnia lyknęła za dużo środków narkotycznych i wypadła z okna swojego mieszkania na ósmym piętrze. Miała na sobie kradzione futro z norek... bo to było zima... i kolie ze szmaragdów. Sztucznych.

Strażnik potrząsnął głową jakby opędził się wspomnieniom.

— Czy myślisz dostali się w jakiś strumień czasu ujemnego? — zapytałem. Było to pytanie w formie refleksji. — Może przesunęliśmy się o tydzień w przyszłość i teraz świat powoli nas dogania? Bo to mi wygląda tak jakby Bogu na jego stole montażowym coś się rozstroilo. Jakby klisza animująca ludzi i zwierzęta w pewnym momencie zaczęła biec szybciej względem pozostałych klisz ukazujących losy innych elementów materii ożywionej i nieożywionej, a teraz Bóg powolutku to wszystko synchronizuje na nowo. Tylko że wobec tego, na której kliszy znajdujemy się my dwaj i ci podobni do nas? Może nasze postacie umieszczono w ostatniej chwili, na pierwszej lepszej kliszy, jako uzupełnienie krajobrazu?

— Widzę, że nie daje ci to spokoju — zauważył Strażnik. — Nie, przyjacielu, te anomalie nie mają nic wspólnego z rojeniami domorosłych fantastów. Coś ci poradzę. Kiedy już złatwisz swoją Sprawę, zapytaj o to docentów z twojego Instytutu. Nasi docenci, doktorzy i profesorowie są specjalistami od wyjaśniania. Ziemsy uczeni to jedyne w całym Wszech-

(8)

jego fiata z jej wymyślanym wozem i na jeździe na nią tak, by znalazła się na siedzeniu obok mnie. Pewna szatynka dojrzała po trzydziestce, prowadząca swój samochód jedną ręką, zachowywała się w sposób szczególnie swobodny i nieskrępowany, co błogo rozpraszało mi nuda samotnej jazdy przez blisko sto kilometrów.

— Bedzie lało — zauważył fiat.

Popatrzyłem na niebo. Od zachodu nadciągały chmury zwiastujące burzę.

— Dokładnie tak samo jak tydzień temu — powiedziałem.

Ulewa lunela z nadejściem zmierzchu, ale zanim przybyłem do Miasteczka, potoki wody z wolna zamieniły się w pojedyncze krople, aż w końcu deszcz ustał całkowicie.

Przy rozgatkach wpałem na grupę nieszych, którzy tego nawet nie spostrzegli. Ich kontury obrysowane były cienką wiazką opalizujących prążków. Przechodzili na drugą stronę ulicy, stawiając stopy na pasach zebrzy i może tylko podeszwy ich butów niezmiernie zagłębiały się w asfalcie.

Dochodziła dwudziesta druga. Zatrzymałem samochód przy parku komunalnym, u wlotu głównej alei strzeżonej przez betonowe pachoty. Z drzew deszcz padał nadal i kiedy dotarłem do znanego wiazu, koszuła przemokła na mnie do suchej nitki. Poklepałem schorowany pień bez przesadnej czułości, niemniej ze współczuciem.

— Znów jesteście razem, stary — rzekłem.

W milczeniu strząsał z siebie resztki wody.

— Może kiedyś wrócę tutaj — zwierzyłem mu się w sekrecie. — Na stałe. Jako emeryt mógłbym siadać na tej koślawej laweczce przy tobie i spędzać tu każde popołudnie. Mogłbym... Może mógłbym nawet zostać Strażnikiem Miasteczka.

Ponownie klepnałem pień i wtedy poczułem, że powietrze wokół mnie zaczyna gęstnieć i tężeć. Okrył mnie klosz z grubego kryształu i nastąpiła taka cisza, jakby cały świat wstrzymał oddech. W te cisze wkradł się wysoki, przenikliwy dźwięk i nagle nade mna wybuchła bomba decybeli. Rozbiła okrywający mnie klosz i do moich uszu wdarła się kakofonia ludzkiej mowy, pokrzykiwań, szumu, warkotu i dudnienia.

Miasteczko ożyło.

Jeszcze chwile stałem pod wiazem przyjacielu, a następnie puściłem się pedem na spotkanie ludzi. Stratowałem dwa klomby, pokonałem gęstwinę krzewów ciowych, wyostałem się z parku i wbiegłem na ulicę.

Pojedynczo lub parami, rzadziej w narooosobowych grupkach obojętnie mijali mnie przechodnie. Nie było ich wielu, wszyscy jednak byli materialni i żywi, którzy mnie nawet potrafił i z uśmiechem przeprosił. Oszołomiony postąpiłem jeszcze kilka kroków do przodu.

Ostatnie z rzeczy, które zamierałem, to światła reflektorów nadjeżdżającego samochodu, pisk opon, uderzenie i zimno wilgotnego asfaltu.

W szpitalu spędziłem niemal pół roku, zaliczając kolejne trzy oddziały: chirurgiczny, internistyczny i psychiatryczny. W tym czasie Renata definitywnie postanowiła mnie opuścić, spakowała manatki i przeprowadziła się do Kudatego, a kierownik biura kadr w naszym Instytucie zaproponował mi przejście na rentę inwalidzką. Przyjąłem te propozycje.

O ile dobrze wiem, nikogo więcej od nas nie wyślano do Przedsiębiorstwa o wahadło neutronowe. Nie było takiej potrzeby. W magazynie Instytutu znajdowały się trzy zasobowe wahadła — zmodernizowane zgodnie z wymogami. Nikt o nich nie pamiętał. Odpowiedzialnością za ten balagan obarczone mnie, ponieważ magazynier był szwagrem Szefa, mnie zaś i tak było wszystko jedno.

Szpital opuściłem zaraz po Nowym Roku. Był słoneczny, mroźny dzień, na ulicach leżał śnieg, a z wystaw nie zdjęto jeszcze świątecznych dekoracji. Wracałem do domu pieszo, okrężną drogą wiodącą przez Park Kultury i Wypoczynku, stując w myślach plany na przyszłość. Miałem zamiar przenieść się do Miasteczka i tam poszukać sobie jakiejś pracy na pół etatu.

Minałem miejsce, gdzie sześć miesięcy temu znalazłem zastrzelonego psa, oknałem się z zadumy i stanąłem.

Poznałem go natychmiast. Ubrany w watawaną kurtkę i w spodnie z grubej wełny Strażnik siedział na lawce ustawionej pod zadaszeniem utworzonym przez ośnieżone galezie drzew. Miał gołą głowę i twarz bez wyrazu. On także mnie poznał. Ale nie uczynił najmniejszego ruchu. Czekal.

Zabrzęnąłem uściskać mu rękę, usiąść obok niego i wdać się z nim w rozmowę. Miałem mu mnóstwo do opowiedzenia. Wiedział o tym. Ale nie uczynił najmniejszego ruchu. Czekal.

Wypadało coś zrobić. Jeszcze chwila i będzie za późno, by z całą prostotą położyć sobie dłoń na ramionach. Bedzie też za późno, by po prostu odejść.

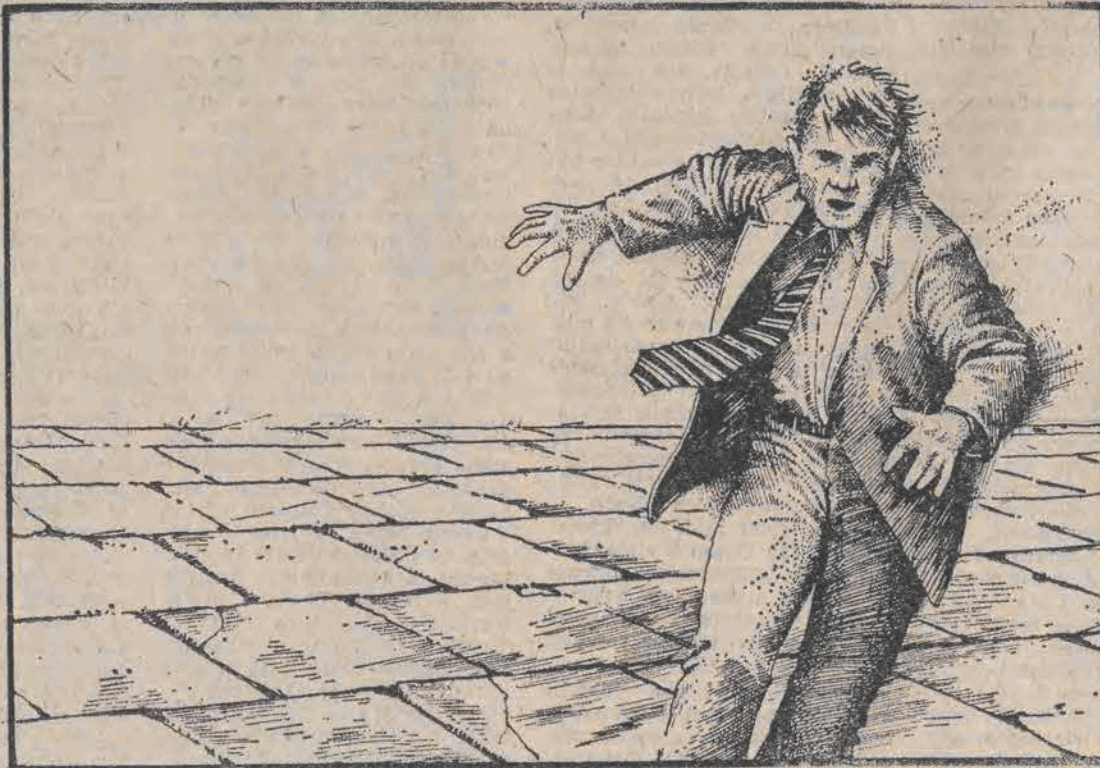
Byliśmy związani wspólna tajemnica. Mówiliśmy tym samym językiem. Staaliśmy po tej samej stronie barykady. W szpitalu bardzo długo nad tym wszystkim rozmyślałem.

Wypadało coś zrobić. Przechodnie zaczęli już zwracać na nas uwagę.

Wahałem się...

KONIEC

Powieść ta ukaże się w 1985 roku nakładem Wydawnictwa „Glob” w Szczecinie.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

Lewym okiem

Głos na stronie

W „Polityce” z 19 stycznia b.r. ukazał się artykuł Jerzego Tomaszewskiego pt. „Nieprzejmne wydarzenie”, polemizujący z artykułem Jerzego Bronisławskiego, zamieszczonym w „Wiadomościach Historycznych”, a dotyczącym sytuacji Żydów w Polsce pod zaborem i przed drugą wojną światową. Profesor Tomaszewski wytyka Bronisławskiemu szereg nieścisłości a między innymi pi...
...nieścisłości a między innymi pi. sze:

„Na tej samej zasadzie „odnalazł” utwory Juliana Tuwima, pisane — jak sugeruje — w języku hebrajskim lub jidysz; czytamy o kilku twórcach, w tym o Tuwimie: „osoby te tworzyły zarówno w języku ojczystym jak też w polskim.” Może autor byłby łaskaw podać te rewelacyjne przykłady twórczości Tuwima, ale przypuszczamy że zmyślił”.

Może jednak nie całkiem zmyślił? W „Gazecie Literackiej”, miesięczniku redakcyjnym niegdys w Krakowie przez Jerzego Brauna i Witolda Zechentera, w numerze ze stycznia 1932 roku, znajduje się informacja, że dwa lata wcześniej, to znaczy w 1930 roku, łódzkie piśmno żargonowe, „Polish Manchester”, drukowało wspomnienia Juliana Tuwima pt. „Majn kindhaft yn Łodz” (zeszyt III do IX z roku 1930) oraz artykuł pt. „Prof. Aleksander Brückner der laureat fyn Łodz far 1930” (zeszyt V z 1930 roku). „Żargonowe” to artykuły w żargonowym czasopiśmie są społeczeństwu polskiemu nieznane i przeczytał je nawet skrzętny i sumienny bibliograf „Ruchu Literackiego” — pisał kronikarz „Gazety Literackiej”. Informacji tej nie mogłem sprawdzić i podaję ją w trybie „relata refero”; myślę że zasłużyła ona na zbadanie przez tuwimologów, z Januszem Stradeckim na czele.

Przy okazji pragnę podzielić się z Czytelnikami bibliofilską ciekawostką na jaką natknąłem się przypadkowo. Otóż sławetny a przekorny publicysta okresu międzywojennego, Adolf Nowaczyński, twierdził w jednym ze swych felietonów („Myśl Narodowa” nr 42 z 1932 roku), że językiem jidysz władał trochę sam Johann Wolfgang Goethe, który przecież Żydem nie był. „Jego ojciec — pisze Nowaczyński — kazał kształcić go w hebrajszczyźnie, ba nawet w żargonie. Działo się to we Frankfurcie, kolebce Rothschildów. Goethe poznał frankfurckie getto, nauczył się nieco mówić w żargonie, a nawet pisać. Do Charlotty Stein wywnętrzyl się kiedyś; wkrótce zbiorze już wszystkie wydatne rysy żydowskie i mam wielką ochotę umieścić Żyda w swojej powieści.” Powieści tej nie napisał, ale jako młodzieniec napisał jakąś nieznaną dotychczas recenzję o poezjach jakiegoś poety żargonowego i Polski (rzecz do zbadania), a nadto w żargonie „Kazanie żydowskie”. Kazanie to nie znajduje się nawet w najkompletniejszych edycjach Olimpijskiej.

Skoro nigdzie się nie znajduje, to skąd o nim dowiedział się polski pamfletista? I nawet strzeżąc i komentując złośliwie rzekome kazanie, powołując się na broszurę niejakiego Samuela Majzelsa pt. „Goethe in Getto”. W sumie mamy znów „rzecz do zbadania”, zwłaszcza że niewolna od polonizmu Goethe jako autor recenzji z poezji polskiego Żyda!

Na zakończenie jeszcze pozwolę sobie nawiązać do mego felietonu sprzed tygodnia i uzupełnić listę pism, które dają się porwać fali gigantycznej ankiety. Oto „Przekrój”, a ściślej skromnówka rubryczka Jana Kalkowskiego „Jedno danie”, ogłasza konkurs-ankietę: „Jakie przepisy z rubryki „Jedno danie” weszły na stałe do Twojej kuchni?” Konkurs jest z nagrodami, ale nie bardzo wiemy, za co te nagrody. Chyba po prostu za to, że się napisze byle co, włoży w kopertę, wyśle, a potem koperty będą losowane i na którąś tam coś tam padnie. A co z tego wszystkiego ma wynikać, też nie wiemy.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

2

Spojrzenie z nadzachownicy

W dziennikarskim światku

Mnóstwo różności dzieje się w naszym dziennikarskim światku i bezwzględnie muszę je odnotować, bo inaczej wygląda, że odrywam się od rzeczywistości i bujam w całkiem nieprzypożytych obłokach. Zeglądając na przykład do „Odgłosów” (numer 5 z bieżącego roku) i co widać? Andrzej Karol znów wiska ciemnoty ukochanym czytelnikom; dopiero co chciał importować Japończyków, a teraz z wdziękiem bawoli hulą po moim szachowym podwórku i strąca figury z szachownicy. Zeglądając do Muzeum Historii Miasta — „Dziennik Łódzki” obchodzi czterdziestolecie. Nastroj arcy miły, gości huk, gospodarze ładają szyku, panie w takich fryzurach, że trudno opisać, panowie w takich garniturach, że trudno uwierzyć. Niby znajome twarze, a wszyscy jakby uduchowień, niby powinni się postarzać, a wszyscy jakby młodzi; pewno dla potwierdzenia zacytowanego przez szefa gazety powiedzonka, że tak naprawdę to życie zaczyna się po czterdziestce. Zeglądając do „Expressu”, a tu dla odmiany coś wrze i kipi. Na pozor czarujak, ale nie, to wrze dyskusja — przenosić się na Sienkiewicza, bliżej „Odgłosów” i bliżej nieba, czy nie przenosić. A jeżeli przenosić, to pod jakimś, dajmy na to, warunkami. Doradzam, że by postawić ultimatum: albo Wydawca dołoży barek razem z panią Zosią, albo zastąpi ją szybką koleją podziemią Sienkiewicza — Piotrkowska 98. Na to mi mówią, że „Ultimatum” jest Kidawy i że bębnem się nie wygłupiał. No dobrze, „Ultimatum” jest Kidawy, ale bez pani Zosi nie ma życia.

Uporządkujmy to jakoś. Andrzejowi Karolowi tak wyjaśniam: Franciszek Kaszak (też szachista!) na łamach „Przeglądu Tygodniowego” zaczął ostatnio dawać takie popisy erudycji ekonomicznej, że na wszelki wypadek jego felietony czytuję obecnie wyłącznie na kłęczkach. Człowiek, który potrafi ułożyć tabelkę obrazującą relacje cen cukru do cen alkoholu na przestrzeni trzech dziesięcioleci, a także wyliczyć, ile groszy komu wypada za stronę maszynopisu — z pewnością wysoko zajdzie i gotów zapamiętać, kto jak go czytał i czy śmiał się we właściwym miejscu. Otóż przypuścimy, że w najbliższym skubieniu i na kłęczkach czytamy właśnie Kaszaka, a jednocześnie gram w szachy z Rysiem Binkowskim, „pol-

skim Chandlerem”, albo „mającym Chandlerem”, jak chce Andrzej Karol. Przypuścimy, że Rysio oszukuje i dla zwiększenia zamętu sprowadza trzy całkiem gołe panie wyjątkowej szpetoty oraz zespół rockowy o niezwyklej wprost sile uderzenia. Zrozumiałe, że w takich warunkach giuchnę, ślepą, wariuje, a także dostaje mała, jednak nawet głuchy, ślepy, zwariowany i zamotowany wem nadal, gdzie stał mój szlachetny biały koń, a gdzie parszywa czarna szkapia Binkowskiego. Bądź odwrotnie, jeżeli to ja grałem czar-nymi. Zważcie bowiem Andrzejowi Karolowi i zapamiętajcie. Szachiste można zwędzić portfele, uwieść żonę i co tam tylko, nie można jednak gwizdnąć najmniejszego nawet pionka, żeby nie zauważył, nie mówiąc już o królowej. Nie wiem dlaczego tak jest — może red. Kaszak w wolnej chwili uzasadni to jakoś ekonomicznie — ale tak jest i kwita.

A teraz odczepiam się od Andrzeja Karola i na krótką chwilę raz jeszcze zglądam do „Dziennika”. To naprawdę bardzo sympatyczna gazeta, którą czytywałem jeszcze jako maślak, nadto redagowana przez bardzo sympatyczny zespół; zresztą jak zespół mógłby nie być sympatyczny, jeżeli obiektywna statystyka wykazuje wyjątkowo wysoki stopień jego zażerzenia, czyli jędrzowatości, jako że w co drugim, trzecim pokoju siedzi jakiś Jerzy! Malkontenci narzekają, że „Dziennika” nie można dostać, ale przy bliższym wejrzeniu ta pozorna wada okazuje się być zaletą. Wierny czytelnik „Dziennika” nie leniuchuje bowiem, nie gnije w betach do południa, a zrywa się bladym świtem, iżby wykonać jakże zalecany przez lekarzy bieg po zdrowie, czyli do kiosku. W rezultacie jest wesół, rumiany i nad paździewrost krzepki, choć być może nie wie nawet, komu to zawdzięcza.

Niestety, sielskie czasy, kiedy to można było niekiedy nie tylko dobrze napisać o kolegach, ale nawet o kolegach dobrze pomyśleć — zdają się odchodzić w przeszłość. Już niezadługo, zaczniemy pewno mówić o sobie „ci z Piotrkowskiej” i „ci z Sienkiewicza”, jako że „Express” i „Kartuzela” mają ponoć przeprowadzić się jeszcze w tym roku. „Odgłosy” — przez lata hartowane zimnym wychowem w czterech niedogranych pokojach z kuchnią — wykstałcyli wprowadzić rzadką odmianę dziennikarzy zdolną wyżżyć nawet na pustyni gastronomicznej a o zwykłej bułce z kawalkiem szynki, ale nie wiem doprawdy, jak panika z „Kartuzeli” i chudopacholki z „Expressu” poradzą sobie na tym wygnaniu. Bez pana Marka, który robił dające się zjeść obiady prawie z niczego, bez barku i bez pani Zosi. Nie chciałbym być złym prokiem, ale wojna trojańska też zaczęła się o kobiecie. I to o kobiecie, która nie umiała parzyć kawy, nie była też zapewne skłonna dać na kredyt spragnionemu Grekowi nawet marnej butelki „granżady”.

JERZY P.

3

Nagle zastępstwo

Wyszczekany jamnik

Kongres Kultury Języka spowodował szereg artykułów w wielu czasopiśmiech — wszyscy piszą z troską i nadziejami, że oto rozpocznie się wielka krucjata na rzecz polszczyzny pięknej i prostej. Jestem sceptykiem z natury, a w tej sprawie przejawiam sceptycyzm

szczególny. Obserwuję od lat „śucie się” języka ojców naszych i uważam ten proces za nieodwracalny. Obawiam się że „wylączenie” na zawsze wyprze „wylączenie”, że straszliwy sposób akcentowania słów „matematyka” i „fizyka” na sylabie przedostatniej wyprze akcentowanie prawidłowe, że pozostanie w naszym języku na stałe, uznane jako dopuszczalne a później jako norma „ubieranie sukienki” zamiast „ubieranie się w sukienkę”. Dlatego tak sądzę? Dlatego, że o normie językowej nie decydują filologowie, nie decydują Komisje Polskiej Akademii Nauk ani żadne inne szacowne gremia. Decyduje — niestety — większość, choćby, co często się zdarza — ta większość wciąż nie miała racji.

O normie językowej decyduje język codziennej gazet. komunikatu PAP, decyduje polszczyzna prezentera telewizyjnego i spikera radiowego. Decyduje — co najgorsze — język urzędowo-zawodowy. Językoznawcy mogą tylko przestrzegać, wyklócać się, walczyć. Muszą jednak ulegać w końcu, kiedy już okazuje się, że formy nieprawidłowe się utrwały, wyparły formy poprawne i same stały się normą.

Tak, jak normą niemalże stał się ostatnimi laty taki, na przykład akcent emfaticzny, tj. kładziony na pierwszą sylabę. Słyszałem niedawno w TV jak pewna pani doktor, jak wyunkała z tematyki jej wypowiedzi specjalistka od literatury anglosaskiej (a więc filolog!), akcentowała w ten sposób co najmniej połowę słów swojej wypowiedzi. I co tu się dziwić tzw. szarym ludziom, którzy, indagowani przez reporterów TV, wygłaszają teksty brzmiące mniej więcej tak: „Na odcinku racjonalizacji, w temacie wdrożeń zrobiliśmy spory krok ku nowoczesności.” (oczywiście akcent kładziony na pierwszą sylabę).

Jakby tego wszystkiego było mało pojawiają się czasem, diablo wiedza skąd, formy hiperpoprawne. Przed laty straszyla w publikatorach „nowoczesna” forma nazwy „Indie”. Była to „India” mianowicie, brzmiała głupio i niewygodna w odmianie, obca polskiemu zwyczajowi językowemu. Na szczęście „India” zniknęła i powróciła „Indie” — co podobno, wedle poliglotów, nie jest prawidłowe.

Jest prawidłowe, bo uświęcone tradycją!

Ostatnio święci triumfy inna forma hiperpoprawna: „studia w uniwersytecie”. Kł diabeł! Od setek lat Polacy studiowali „na uniwersytecie” i było dobrze, ostatnio studiują „w uniwersytecie” i jest źle (co prozę rozumieć tylko jako krytykę omawianej formy). Pewnikiem ma to być przejaw szczerze gołej ezuzności „na odcinku języka, w temacie jego poprawności” i jest swoistym produktem ubocznym wybiepiecia słynnego niegdys „na fabryce”. Otóż prozę państwa, tak jak „na fabryce” jest niepoprawnie, tak akurat „na uniwersytecie” jest poprawnie, taki to już złośliwy ten duch języka naszego...

Moim zdaniem w pokongresowej batalii o język cychają na nas dwa — co najmniej — niebezpieczeństwa. Pierwsze, to próby zinstytucjonowania tej walki. Już widzę te pisma przesyłane przez jednostki nadzędne do jednostek podległych, zalecające szczególną dbałość o formę językową pism, formularzy, sprawozdań itp. To będzie dopiero okazja do wykazania się, do mnożenia dziwo-lągów w rodzaju owej „Indii” i „studiów w politechnice”. Do zastępowania ogólnie zrozumiałych, choć cudzojęzycznego pochodzenia, wyrazów różnymi „zwisami męskimi”, „podgardłami dziesięcimi” itp.

Drugie niebezpieczeństwo widzę w tępieniu wszelkiej prostoty, a nawet chropowatości językowych. Miałem ci ja kiedyś szefa, który zalecał mi zastąpienie w artykule słów „potrzytyć gazetą” słowami „do-

stepnić egzemplarz gazety” — Poprawne? — poprawne, tylko po co...

Wreszcie spodziewać się można prawdziwej nagonki na słownictwo nieparlamentarne, które temu zawdzięcza swą nazwę, że istotnie w parlamencie nie powinno mieć miejsca — co nie znaczy, że nie ma miejsca w życiu. Bo np. „kurwa”, proszę panów purystów to nie jest to samo co „prostyutka” i właściwie niczym sensownym zastąpić się nie da...

Wreszcie rzecz ostatnia, jakoś przy okazji tego kongresu przegapiona. Gadulstwo! Międlenie słów w mowie i piśmie. „bicie piany”, „trucie”, „pięczenie” i jak to się tam jeszcze nazywa.

A przykładów wokół aż nadto. Ot, choćby w poprzednim numerze „Odgłosów”... list „Jamnika”, polemizujący z blabą notatką, licząc siedem wierszy. List rozprawia się z tą notatką w stu czterdziestu wierszach — kto nie wierzy, niech policzy. Taki ten Jamnik wyszczekany...

ANDRZEJ KAROL

4

Sport

Dlaczego Jerzy Wijas został w domu?

Była już taka sytuacja, że piłkarz RTS Widzew — Jerzy Wijas wsiadł do samochodu i wracał do Łodzi, zamiast wsiąść z kolegami do samolotu i polecieć na mecz do Danii. W ostatniej chwili, gdy samolot już miał startować okazało się, że jest paszport dla Jerzego Wijasa i goniono go milicyjnymi radiowozami na trasie do Łodzi, a na Okęciu czekał samolot. Jak wiadomo drużyna RTS Widzew wyeliminowała wtedy Duńczyków z pucharowych rozgrywek. Oplaciło się więc gonić Jerzego Wijasa wracającego do Łodzi.

Tym razem sytuacja nie potoczyła się. Trener reprezentacji Antoni Piechniczek musiał powiedzieć łódzkiemu piłkarzowi smutną prawdę: — nie ma paszportu. Choć, przez chwilę była nadzieja, że paszport będzie. Ale nie. Do Ameryki Południowej z polską reprezentacją piłkarską poleciał Jan Urban z sosnowieckiego Zaglebia.

Nie jestem naiwna i nie uważam, że polska reprezentacja przegrała w Meksyku z Meksykiem 0:3, bo nie grał Wijas. Taki wynik mogła uzyskać (?) również z Jerzym Wijasem. Był to pierwszy mecz na amerykańskiej ziemi i różne przyczyny mogły się na wynik tak zły złożyć. Został wszak zapisany w historii piłkarstwa i nie ma się z czego cieszyć.

Jerzy Wijas wrócił na krótko do Łodzi, wsiadł w samochód i pojechał na Śląsk do rodziny. Minę miał fatalną. Nie było mu do śmiechu, raczej do płaczu, choć prawdziwy mężczyzna ponoć nie płacze.

Nie do śmiechu było też trenerowi Antoniemu Piechniczekowi, gdy tuż przed odlotem

do Ameryki Południowej dowiedział się, że nie będzie miał w składzie stopera Jerzego Wijasa.

— Panowie! — powiedział, jak pisał to „Przegląd Sportowy” — Tak dać pracować nie można. Ktoś tu nam wyraźnie utrudnia robotę. Przecież to nie pierwszy raz Wijas zostaje w kraju. Nie wnika, kto tu jest najbardziej winien. Widzew, władze wojskowe, sam Wijas. Fakt pozostaje faktem, że było wystarczająco dużo czasu, aby tę kwestię definitywnie rozstrzygnąć. A tak, jadąc na bardzo ważne mecze bez podstawowego zawodnika.

Trudno dziwić się Antoniemu Piechniczekowi, że się zdeenerował. Za trzy miesiące decydujący mecz z Belgią, a tu „cuda” się dzieją z Jerzym Wijasem. Choć mam wątpliwości, czy są to takie znów „cuda”?

M. Strzelecki napisał w „Expressie Ilustrowanym” takie oto zdanie:

„Nie mógł widzowiak wyjechać, chociaż nic nie przeszkadzało, bo depcze mu po piętach, jak wszyscy o tym wiedzą (łącznie z trenerem Piechniczkiem) „warszawska Legia”.

Ale (star) ze „Sztandaru Młodych” widąc tego nie wiedział, bo zaczął rozpytywać różnych ludzi, dlaczego to Jerzy Wijas nie dostał paszportu? Pytał w RTS Widzew, ale tam też nie wiedzieli, bądź nie chcieli powiedzieć. Pytał w COS, pytał w MSW. Po tych rozmowach, które zresztą opublikował w „Sztandarze Młodych” napisał uczciwie i szczerze:

„Co zatem po licznych rozmowach wiemy. Ano, konkretnie tyle samo, ile „przed ich przeprowadzeniem”.

W kilka dni później w tymże „Sztandarze Młodych” ukazało się wyjaśnienie zastępcy dyrektora Biura Paszportów MSW, płk mgr Romualda Pańskiego. Z wyjaśnienia tego wynika, że Rejonowa Wojskowa Komisja Lekarska w Łodzi „orzeczeniem z dnia 22 lutego 1984 roku uznała go, za „czasowo niezdolnego do służby wojskowej” na okres 6 miesięcy, tj. do dnia 22 sierpnia ubiegłego roku”. W wyjaśnieniu tym piłkarz Jerzy Wijas występuje jako poborowy, który od 22 sierpnia 1984 roku nie stawiał się w wojsku „mimo wielokrotnych wezwań” i — w związku z tym Prokurator Rejonowy Łódź-Górna prowadził przeciwko niemu postępowanie karne. A wobec kogo prowadzić to postępowanie karne nie może wyjechać za granicę. Niby prawie wszystko jest w porządku.

Nie mam zamiaru nawoływać do naruszania prawa. Przeciwnie. Dotyczy to wszystkich. Ale w tym wypadku podzielim zanie trenera Antoniego Piechniczka, że „było wystarczająco dużo czasu, aby tę kwestię definitywnie rozstrzygnąć”. Jeśli Wijas naruszył prawo, musi ponieść tego konsekwencje.

Ale jednocześnie nie mogę powstrzymać się przed wyrażeniem pewnej wątpliwości. Czy przypadkiem partykularne interesy jednego z klubów sportowych nie przesłaniają interesu reprezentacji narodowej. Polska drużyna reprezentacyjna ma jeszcze szansę zakwalifikować się do rozgrywek mistrzowskich piłki nożnej w Meksyku. Wszystkim nam powinno na tym zależeć. Drużynie narodowej trzeba stworzyć takie warunki, aby mogła szansę tę wykorzystać. Interesy klubowe muszą w takiej sytuacji zejść na plan dalszy. Jest to konieczne. Już niejedną raz interes ogólny ginął pod nawałą partykularnych interesów. Czy musimy w nieskończoność powtarzać te błędy?

BOGDA MADEJ

RAPIER NAPOLEONA

(15)

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

Nasi znakomici polscy fotoreporterzy umieją przedstawić pięknie zachód słońca i dziewczynę maszerującą z pieskiem brzegiem morza. Wścibstwo i odwaga znakomych polskich fotoreporterów jest wprost wstrząsająca — nie to dla nich upolować na targu bezżebną babinę i lwa ryczącego zakrąkami w miejscowym zoologu. Mistrzostwo jednakże znakomych polskich fotoreporterów uwidacznia się najlepiej w zdjęciach sztywnych — pojedynczych i grupowych, portretowych, przyjaznych, takich jak uścisk dłoni, przecięcie wstęgi i dyskretnie uchylony rozprek prowincjonalnego działacza.

Krótko mówiąc: znakomici polscy fotoreporterzy to jednostki pozytywne, czyste, nieskazitelne moralnie, mile widziane w każdym towarzystwie, bo przysparzają ludziom wagi i splendoru, a taki jeden z drugim zachodni skurwysyn to czyha tylko, aby podstawić człowiekowi nogę. Aparat w ręku znakomych polskich fotoreporterów jest narzędziem sztuki, zaś w brudnych łapskach tych zachodnich skurwysynów zmienia się w zionącą ogniem spłuwę. Tak jest, szanowne obywateli! Jak znakomity polski fotoreporter przedstawia nam, dajmy na to, sławnego aktora, a że miło popatrzeć, ile w tym uwielbienia i powagi, a zachodni skurwysyn to musi nakryć zaraz tego aktora w krzakach z niepełnoletnim Arabem. Albo weź, my piękne nożną. Trener w odzianiu znakomych polskich fotoreporterów wygląda jak ksiądz w pięć minut po zejściu z kazalnicy, a w odstępie tych zachodnioeuropejskich granic widzimy naraz dwóch trenerów o gangsterskim wejściu, zawiązujących się pięć minut przed meczem na remis w mistrzostwach świata Espania'82 po to, aby wejść ramię w ramię spacerkiem do następnej grupy. Jak znakomity polski fotoreporter chwyci na muszkę zawodnika to zawsze wtedy, kiedy ten meczennik sportu siedzi w szatni albo ugania się z piłką po boisku, paparazzo zaś, okazaduszka, wytropi takie go meczennika sportu w dyskotece z papierosem w zębach i kielichem gorzality w pysku.

Straszy to zaprawdę ludzi, ci zachodni rewolwerowcy obiektywu. Fuji! Cyngle rzekł. A to strzela premiera na randce, a to córka królowej w objęciach jakiegoś kundla, a to znowu burmistrza w chwili przyjmowania łapówki lub Napoleona, któremu jak gdyby poplątały się drogi i trafił do nocnego klubu w Monachium.

Praca ich jest brudna i niewdzięczna, często przecież służą sprawiedliwości, często zwalają z piedestałów mocarzy, często, narażając życie, uławniają mordercy i niegodziwość świata: głód, brud, kalectwo i bitewne krajobrazy, nad którymi unoszą się stada pancernych helikopterów, aby ewentualnie dobić rannych i zmasakrować nieżywych.

Często również polują nocami dla chleba. Nie wiadomo dokładnie, kim był paparazzo, który zdybał Napoleona w monachijskiej knajpie — Niemcem? Amerykaninem? Francuzem? Włochem? Nie Włoszką w każdym razie, nie piękną Giną, która skończywszy karierę aktorską chwyciła z powodzeniem za obiektyw błyskając gdzie się dało fleszem tak, jak kiedyś błyskała biustem. Gdyby była to piękna Gina, zamiast otworzyć ogień z obiektywu otworzyłaby Polakowi ramiona, a ten, tak sprawny w obcowaniu z sikorkami, mógłby nagle wobec podsejki w leciech aktorki poczuć drobne oznaki tego, co nazywa się impotencją.

Nie była to jednak Gina. Był to zimny, bezwzględny, wytrzesowany w zawodzie szakal, który zrobił swoje i opuścił klub tak szybko, jak się w nim znalazł, slyszal bowiem, iż przed paroma tygodniami mały, ale krewki Polak zmasakrował kamerę amerykańskiemu dziennikarzowi w momencie, kiedy ten fotografował go w Culver Town nad grobem tragicznie zmarłej żony.

Złapał taksówkę, a potem, będąc już blisko domu, zamknął się w kabine telefonicznej i wywołał Los Angeles.

Facet po drugiej stronie przewodu był jego kumplem — dziennikarzem. Paparazzo straszczal się:

— Cześć.

— Cześć.

— Powiedz no mi, ale szybko, gdzie przebywa obecnie ten wasz... — wymieniał nazwisko Napoleona.

— Kręci film na wyspach samoanckich — padła niezbyt serdeczna odpowiedź, jako że dziennikarz przyjmował telefon we własnym domu, we własnym łóżku, z własną szklanką whisky w wolnej ręce i z żoną, własnego redakcyjnego przyjaciela u boku. — A o co chodzi?

— O to, że zrobiłem mu przed chwilą zdjęcie z dziewczynami w Monachium.

— Nie wygłupiaj się!

— Dobrze! — uciął paparazzo.

— Mogę wam to zdjęcie przesać błyskawicznie z opisem, ale to kosztuje.

— Ile?

— Dziesięć patyków.

Dziennikarz wychłapał trochę whisky na rozbraną żonę przyjaciela.

— Musiałbym w tej sprawie porozmawiać z sekretarzem redakcji...

— Słuchaj no, ja nie mam czasu! — huknął paparazzo. — Co mnie obchodzi twój sekretarz?! Chcę mieć jutro do dziesiątej rano pięć tysięcy na koncie z adnotacją, że drugie pięć otrzymam natychmiast po...

— Koncert mógłby zapłacić dychę, ale tylko wtedy, gdyby zdjęcie miało ukazać się jednocześnie w kilku stanowych gazetach — mruzczał dzienni-

karz obserwując z wyraźnym niesmakiem duży, mocno już przywiedły biust żony swego serdecznego przyjaciela. Wdzięki niewieście straciły nagłe dla niego wszelki powab; myślał teraz intensywnie, jak tu wykroić dla siebie z tej transakcji parę doliców. — Godzisz się na anonimowość publikacji?

— Na anonimowość to ja się godzę — oświadczył lodowatym głosem szakal-paparazzo. — Ale jeśli moja robota ma iść do kilku gazet jednocześnie, twój pieprzony koncert musi zapłacić dwunacze.

— Oszalałeś?!

— Okey... Przerwywamy rozmowę i dzwonię do Nowego Jorku. Serwus!

— Zaczekaj, idioto! Lękiesz dwanacze. Podaj numer swojego konta.

Paparazzo uśmiechnął się jedną tylko stroną twarzy i zaczął dyktować:

— AX-062120-869-000061. Zapisałeś?

— Tak. Chcesz mieć szóstkę o dziesiątej rano?

— Ehe.

— Jaka jest różnica czasu między Kalifornią i Europą?

— To już wasza sprawa, nie moja — odparł paparazzo. — Dwoja, przyjacielu, była moim podstawowym stopniem z geografii.

Kalifornia

Paparazzo otrzymał widocznie swoje wysokie honorarium, gdyż 29 września, w jedenaście zaledwie dni po ostatnim przesłuchaniu Napoleona, kiedy to sędzia nakazał mu udać się na południowy Pacyfik i ukończyć czyn przedjętym filmowe dzieło, kilka kalifornijskich gazet zamieściło na pierwszych kolumnach fotografię Polaka w otoczeniu młodych dziewcząt i w uścisku ze śliczną, szesnastoletnią najwyżej panią, która później okazała się być ową wschodzącą gwiazdą ekranu, występującą u boku reżysera na konferencji prasowej w Cannes.

Sędzia, a także prokurator, który wyraził zgodę, aby Polak ukończył film na Samoa, otrzymali cios w spłot słońca, gdyż pod fotografią ukazały się złośliwe komentarze, iż paru naiwniaków z Los Angeles wierzy, że Napoleon haruje w pocie czoła na Południowym Pacyfiku, a tak naprawdę, to on hula w Europie i zgodnie ze swoim nawykiem deprawuje młode dziewczyny. Krótko mówiąc: wystawij wszystkich ludzi do wiatru, więc może pan sędzia mógłby ewentualnie poinformować dziennikarzy, co tu jest właściwie grane.

Sędzia, znany z mowy potocznej i gładkiej, zaczął nagle bluźnić jak sofer, któremu

dzieciaki poprzebiły na podwórku opony. Bluźnił w domu, bluźnił w sądzie, niewiele brakowało, żeby zaczął bluźnić na spotkaniu z prasą, a na obronę Napoleona patrzył z miną mordercy.

— Chcę mieć tego ptaka na przesłuchaniu! — wrzasnął.

— Kiedy? — zapytał niewinnie adwokat.

Sędzia czuł wewnętrzną potrzebę pociągnięcia wrzasku. Jego dusza wrzeszczała: — Już! Natychmiast! Pojutrze! — Rozsądek wszelako podseptywał, iż ma teraz na wokandy kilka ważniejszych spraw, którym bardziej przyglądać się politycy. Do diabła z politykami! Gdyby mógł, powadziłaby drani do więzienia. Chętnie widziałby również w więzieniu obrońcę.

— 21 października — syknął złowieszczo.

— Dobrze.

— Okazuje się jeszcze, czy dobrze. Chciałbym też zobaczyć producenta, jako że i on dawał mi gwarancje.

— Zobaczy go pan.

No i masz! Wedle życzeń sędziego chłopaki przyjechali punktualnie na rozprawę opalone i uśmiechnięte. Tak jest, szanowne obywateli! Przyjechali i rozpoczęła się kolejna aria z nie napisanej jeszcze opery „Możesz nam, bracie, nadmuchać”.

Cóż to w ogóle za śmieszne pretensje?! Dlaczego pan się dźbia daje się wyprowadzać z równowagi nieodpowiedzialnym reporterom? Owszem, Napoleon bawił w Europie, nie na żadnej randce jednakowoż, lecz służbowo, z polecenia producenta, który będzie inwestorem jego kolejnego filmu. W Monachium spotkał się na kolacji z innymi, niemieckimi inwestorami tego wielkiego przedsięwzięcia. Paniatno! Te cztery uśmiechnięte dziewczyny wpały na niego po prostu do stolika nie proszone i nie należały do towarzystwa. Ta piąta, która Polak leciutko przygarnął, to przyszła odwrotność głównej roli. Niepełnoletnia? W porządku! Nim rozpoczyna produkcję skończy chyba siedemnaście lat.

Sędzia miał na końcu języka replikę, iż w chwili, kiedy rozpoczyna produkcję, ma skończy lat siedemdziesiąt, bo Napoleon pójdzie do kłosa na pół wieku i jeśli nawet stamtąd wyjdzie, to będzie w ścisłej czołówce najstarszych ludzi świata. Polknął jednak te niewczesne obelgi i zachrypiął, że z miejsca, bez żadnej dyskusji, wysłał Polaka do więzienia w Chino, ale tak się nieszczerliwie składa, że tamtejsza Stacja Psychiatryczna jest akurat w remoncie, więc niechże oskarżony wraca do pracy nad swoim samoanckim filmem i spieszy się, na Boga! niechże się spieszy, bo 19 grudnia ma zgłosić się w Chino nieodwołalnie. Zrozumiano?! — przytaknęli chłopaki.

— Badanie może potrwać na wet sto dni.

— Trudno.

— A potem zapadnie wyrok!

— Tak jest.

— I żadnej mowy, żadnych odwołań, żadnych prób o odroczenie badania!

Chłopaki, czyli Napoleon, adwokat, i włoski, gładko ułożony, szalenie bogaty producent, który przy odrobinie wysiłku mógłby sobie zatknąć sędzięgo zamiast kwiatka w butonierce — pochylili czoła i opuścili salę w pokornym milczeniu.

Adwokat pozostał w tym milczeniu, Włoch z Polakiem natomiast rechotali wesoło. Nie wierzyli po prostu, aby reżyserowi mogło jeszcze cokolwiek zagrażać. Amerykańskie orawo potrafi zrobić jednak srogię niespodzianki.

Paryż

Korsyka, aby jeszcze wyprzedzić o dwa lata główny wątek powieści, przyjechała do Paryża z Cannes, pogodziła się ze swoim wiarołomnym kochankiem i wysłała przy chłodnej aprobacie obydwojmu rodzin za Patricka, perkusistę jazzowego, w połowie czerwca 1979 roku, lecz już w parę dni po ślubie system trawienny pana młodego uległ lekkiemu zaburzeniu z zazdrości, muzyk dowiedział się bowiem od zaprzyjaźnionych filmowców, że kiedy on próbował zrobić karierę w Nowym Jorku i nie zrobił jej, podobnie jak wielu innych europejskich muzyków, z tego prostego powodu, że jazz jest mimo wszystko wynalazkiem Amerykanów i żaden obcy frajer nie ma prawa im podskoczyć — Korsyka orboowała robić karierę na festiwalu w Cannes, i też jej bodaj nie robiła, ale coś jak gdyby była tego blisko. Widziano ją w każdym razie tu i tam w towarzystwie różnych sławnych panów: reżyserów, aktorów i tego małego, ruchliwego, obciążonego skandalami Polaka, który, co tu dużo gadać, był ze swoją dziewczyną, ale roził do Korsyki oko i kto wie, czy nie nastąpiła w nocy jakaś mała wymiana sztonów.

Patrick uczeplił się tego fałszywego tropu. Cierpiał jak pies. Był z pochodzenia Irlandczykiem, a Irlandczycy bardzo cenią sobie cnotę, szczególnie u żon i córek. Sam oczywiście korzystał z każdej okazji — w Nowym Jorku kosił na lewo i prawo białe czarne i brązowe rekompensując sobie w ten sposób słabą kośćbę na perkusji. Pił, kosił i wyplakiwał na piersiach przelotnych kochanek swoje żale, że to ni-by jest jednym z trzech najlepszych bębniistów świata, a podli Amerykanie nie chcą go w ogóle słuchać. On jednak czeka im jeszcze! Ho, ho! Wyżej nożki, kochana!

Mężczyzna może. Mężczyzna musi. Żeby jednak kobieta, zo-

na, narzeczona, choćby nawet porzucona chwilowo, miała się jedynie pocałować... Błada, zdrada, kurestwo! Daiby w mordę, ale bał się Unii Korsykańskiej, o której wiedział to i owo. Cierpiał zatem jak pies, w milczeniu, słowa przecięć docisnęły się w końcu do krtani.

— Spalał z nim?

— Z kim?

— Z tym małym polskim filmowcem w Cannes?

— Zwariowałeś?!

Strzał był jednak celny, blisko tarczy, i tak raptowny, że piękna Korsyka zaczerwieniła się nagle. Czula dosłownie, jak wykłują jej na policzkach czerwone, gorące rumieńce i w żaden sposób nie mogła nad tym zapanować, zaczęła więc dla ratowania sytuacji, która weale nie wymagała ratunku, mnożyć błędy.

— Skąd ci to w ogóle przyszło na myśl?

— Co? — zapytał Patrick, wylawiając ku swemu osłupieniu całą gamę fałszywych tonów w ustach ukochanej kobiety.

— Ze...

— No?...

Patrzył jej badawczo w twarz. Wczoraj nie mógł jeszcze uwierzyć, dzisiaj był pewny — balowała. Filmowcy mieli rację. Pierwszy raz widział ją tak zakłopotaną. Czerwień na policzkach ściemniała, piękne orzechowe żrenice uciekły w bok, a wargi drżały, kiedy próbowała się bronić:

— Spałam?

— Tak.

— Dałbyś sobie za to uciąć głowę?

— Sobie: nie, jemu: cwszem — rzekł Patrick. I dodał: — Zabije drania!

— Nie mów nawet takich rzeczy, idioto. Kocham cię!

— Dobra.

— Och, Patrick!

Chciała go pocałować, a on wtedy pomyślał o Napoleonie, bo o tym, że mogłaby to zrobić z kimkolwiek innym: szferem, sekretarzem, aktorem czy aferzystą, nie było nawet mowy. Odsunął ją.

— Uważaj, kochanie — powiedział.

— Na co?

— Na to, co robisz i na to, co mówisz.

— Będę uważał — przyrzekł.

— I nie strasz nigdy, że odchodisz.

Odzyskała już właściwą barwę głosu. Patrzyła na niego bez mrugnienia powieką. Jest silna — myślał. — Jest dumna. Jest wspaniała. Ale ten polski łobuz, piekielnie sławny i piekielnie bezczelny, wyposażony w biguly i kokainę, umie sobie radzić z babami.

Zerzytnął zębami i powtórzyl w duchu:

Zabije drania!

C.D.N.

